

HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 42/2023



Paweł Warchol - „Całun 4” 100 70 tusz, papier.
/praca prezentowana na XXII Salonie POLARTU/

HYBRIDA

• Joanna Krupińska-Trzebiatowska Słowo od redaktora	3
• Olaf Müller Ptaki wolności ze szponami przeszłości. J.Trzebiatowski w Akwizgranie	5
• Piotr Dzik Miasto 15-Minutowe. Zielone i odporne. Nowe koncepcje w urbanistyce	7
• Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska Różne oblicza wirtuozerii. Relacja z Konferencji "Muzica Prctica, Musica Theoretica"	10
• Mariola Sternahl Zakopiańskie ślady Witkiewiczów	
• Katarzyna Dominik Wiersze	13
• Marek Sołtysik Zazdrosny talent. Bracia Gierymscy	16
• Beata Zalot Kostka	17
• Krystyna Habrat Nieznajoma z siedemnastki	23
• Elżbieta Isakiewicz Żywe życie	27
• Józef Baran Wiersze	29
• Bolesław Faron Gorce Juliana Kawalca	34
• Ignacy Fiut Poezja Platona -dzisiaj	37
• Janusz Orlikowski Wiersze	41
• Edward Kurleto Przegląd współczesnej australijskiej prozy	42
• Tomasz Fopke Kultura przetrwała pandemię. Najważniejsze kaszubskie wydarzenia cykliczne	45
• Anna Woźniakowska Różne drogi w świecie muzyki	50
• Joanna Krupińska-Trzebiatowska Kiedy miłość była zbrodnią	57
• Irena Kaczmarczyk Łatwiej pisać czy krytykować?	61
• Marek Sołtysik Wielki Świat wobec męczeństwa Wiktorii Berg	66
• Wojciech Antoni Sobczyński Dziura w niebie i materii A może coś o tej wystawie	69 71
• Maria Eichler Trzebiatowski w Siennicy Różanej	76 75
• Rafał Skapski POLART żegna profesora Aleksandra Krawczuka	77

**XI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL
ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY
SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG
WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MALARSTWIE I LITERATURZE**

POLART 2023

KLUB DZIENNIKARZY "POD GRUSZKĄ"

**PROMOCJA POWIEŚCI "KIEDY MIŁOŚĆ BYŁA ZBRODNIĄ"
JOANNY KRUPIŃSKIEJ-TRZEBIATOWSKIEJ
23 CZERWCA 2023 G.18.00**

ZAMEK KRÓLEWSKI W NIEPOŁOMICACH

**WYSTAWA MALARSTWA - LUDWIG ANGERER DER ÄLTERE
RECITAL FORTEPIANOWY - IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA
10 WRZEŚNIA G. 18.00**

**KONCERT SYMFONICZNY BONNER JUGENDSINFONIEORCHESTER
IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA - FORTEPIAN
ANDREAS WINNEN - DYRYGENT
L. VAN BEETHOVEN - III KONCERT FORTEPIANOWY, M. BRUCH - III SYMFONIA
9 PAŹDZIERNIKA G. 18.00**

FILHARMONIA KRAKOWSKA

**KONCERT SYMFONICZNY BONNER JUGENDSINFONIEORCHESTER
IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA - FORTEPIAN
ANDREAS WINNEN - DYRYGENT
L. VAN BEETHOVEN - III KONCERT FORTEPIANOWY, M. BRUCH - III SYMFONIA
10 PAŹDZIERNIKA G. 18.00**

**MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE
GALERIA BRAMA BIELAŃSKA**

**XXII SALON SZTUKI POLARTU WYSTAWA MALARSTWA I RZEŹBY
5 - 29 WRZEŚNIA**

**WYSTAWA MALARSTWA LUDWIG ANGERER DER ÄLTERE
3 PAŹDZIERNIKA - 3 LISTOPADA**

MUZEUM ŻUP KRAKOWSKICH W WIELICZCE

**XXII SALON SZTUKI POLARTU WYSTAWA MALARSTWA I RZEŹBY
15 PAŹDZIERNIKA - 15 LISTOPADA**

SŁOWO OD REDAKTORA



Szanowni Państwo,

powinnam zacząć od tego, że rok 2023 zapowiada się wspaniale. Realizujemy XI Międzynarodowy Festiwal "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze", a w tym aż cztery wystawy malarstwa i rzeźby: w Warszawie, Niepołomicach i w Wieliczce.

We wrześniu 2023 roku pokażemy wystawę malarstwa znakomitego niemieckiego artysty Ludwiga Angerera der Ältere w Muzeum Niepołomiczym, a to dzięki pomocy dyrektora Museum am Schafstall Huberta Sawatzkiego, a następnie przeniesiemy ją na cały październik do Galerii Brama Bielańska przynależnej do Muzeum Niepodległości w Warszawie. Tam też tradycyjnie już we wrześniu zaprezentujemy Wielki XXIII Salon Sztuki POLART 2023 z udziałem dwudziestu wybitnych artystów należących do Stowarzyszenia oraz zaproszonych gości. W październiku 2023r. prace te powędrują do Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce, z którym od lat współpracujemy i które również i w tym roku, pomimo wciąż trwających tam prac remontowo-modernizacyjnych, nie odmówiło nam gościny. A wszystko to dzięki zaangażowaniu trzech dyrektorów tych placówek muzealnych: pani Marii Jaglarz oraz panów Tadeusza Skoczka i Jana Godłowskiego.

Nie może XI Międzynarodowy Festiwal obyć się bez koncertów więc, tak jak podczas poprzednich dziesięciu edycji, zachowana zostanie formuła wzajemnego przenikania się sztuk, silnie akcentowana od samego początku istnienia POLARTU *Correspondance des arts*.

Tym razem, po trzech latach przerwy wywołanej pandemią, zapowiedziała swój przyjazd Bonner Jugendsinfonieorchester, która tradycyjnie już pod batutą Andreasa Winnena zagra wraz z Izabelą Jutrzenka-Trzebiatowską *III Koncert fortepianowy* Ludwiga van Beethovena, najpierw w Zamku Królewskim w Niepołomicach a następnie w Filharmonii Krakowskiej.

Z całą pewnością też otwarciu wystawy Ludwiga Angerera der Ältere w Muzeum Niepołomiczym 10 września 2023 r. towarzyszyć będzie recital chopinowski.

W ciąg imprez festiwalowych wpisze się również jubileusz znakomitego organisty, profesora Akademii Muzycznej w Krakowie Krzysztofa Latały oraz promocja powieści piszącej te słowa, która zaprezentowana zostanie podczas Walnego Zgromadzenia Członków Stowarzyszenia Twórczego POLART 23 czerwca 2023 w Klubie Dziennikarzy "Pod Gruszką" w Krakowie.

Nie brakuje jednak nuty goryczy, bowiem jedenasta edycja naszego festiwalu nie otrzymała kolejny już raz wsparcia finansowego ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pomimo poprawnie i wysoko ocenionego wniosku w pierwszym naborze do programu "Muzyka", podobnie zresztą jak wychodząca od ponad dwudziestu lat HYBRYDA. Pomocy odmówił również Zarząd Województwa Małopolskiego przy rozpatrywaniu wniosku złożonego w konkursie "Mecenat Małopolski", co nie jest zaskoczeniem biorąc pod uwagę niewiele mające wspólnego z rzetelnością i transparentnością mechanizmy działające przy rozdziale środków pomiędzy organizacje pozarządowe. Ma to jednak również aspekt pozytywny - zachowujemy atrybut wolnych mediów i w sposób nieskrępowany możemy wyrażać na łamach naszego pisma własne opinie.

Niegdyś POLART hołdował zasadzie stronięcia od polityki, kiedy jednak polityka zabija kulturę, trudno milczeć! Trudno nie widzieć sytuacji twórców na tle ogólnej sytuacji społeczeństwa dotkniętego szalejącą inflacją w kraju pograżonym przez awanturujących się i wzajemnie obrzucających się błotem polityków w totalnym chaosie. Niech nikt nie opowiada, że zagrożenia nie ma, że nie nadciąga kryzys gospodarczy i recesja i nie twierdzi, że możemy być pewni jutra. To jutro staje pod coraz większym znakiem zapytania, kiedy nie widać końca wojny w Ukrainie, kiedy Putin grozi rozmieszczeniem na terytorium Białorusi taktycznej broni jądrowej, a jednocześnie coraz jawniej manifestują swoje imperialistyczne zakusy Chińczycy.

Czy w tej sytuacji polityka konfrontacji z Unią Europejską może nas uspokajać?

Obawa o przyszłość kraju trawionego wewnętrznymi konfliktami narasta, pomimo że punktuje się znaczącą albo wzrastającą rolę Polski na arenie międzynarodowej.

Kultura na szczęście rządzi się swoimi własnymi prawami i wciąż widoczne jest dążenie do międzynarodowej wymiany artystów i ich dzieł, czego dowodem niech będzie wystawa malarstwa Janusza Trzebiatowskiego w Akwizgranie (Aachen) w tamtejszej Wyższej Szkole Muzyki i Tańca czy wystawa Ludwiga Angerera der Ältere w Muzeum Niepołomickim.

Cieszymy się więc chwilą. Podziwiamy dzieła sztuki i słuchajmy muzyki, ale nie bądźmy głusi i ślepi! Nie chowajmy głowy w piasek jak ten struś!

JOANNA KRUPIŃSKA -TRZEBIATOWSKA

**WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW
STOWARZYSZENIA TWÓRCZEGO
POLART**

23 CZERWCA 2023

W KLUBIE DZIENNIKARZY POD GRUSZKĄ W KRAKOWIE



OLAF MÜLLER

(na zdjęciu razem z żoną Margo Müller)

PTAKI WOLNOŚCI ZE SZPONAMI PRZESZŁOŚCI JANUSZ TRZEBIATOWSKI W AKWIZGRANIE

O wystawie otwartej w niedzielę 22 stycznia 2023 r. w Wyższej Szkole Muzyki i Tańca w Akwizgranie, szef tamtejszego Wydziału Kultury - dziękując artyście za udostępnienie swoich prac, profesorowi Wernerowi Huppertzowi za możliwość ich prezentacji oraz swojej żonie Małgorzacie Müller za skontaktowanie z żoną artysty - mówił tak:

Janusz Jutrzenka Trzebiatowski pochodzi ze środka trójkąta miejskiego Gdańska, Bydgoszczy i Koszalina. Urodził się w 1936 roku w Chojnicach. Tam też znajduje się muzeum z przekrojem jego twórczości. Jego ojca wywieziono do Mauthausen. Okrutne ramię nazistowskich Niemiec dosięgało również jego rodziny. Janusz Jutrzenka Trzebiatowski został artystą i studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Miasta, które go zafascynowało, nigdy nie opuścił i do dziś mieszka tam razem ze swoją żoną, utalentowaną organizatorką, poetką, powieściopisarką.

Janusz Trzebiatowski rozwijał swoje umiejętności w różnych dziedzinach: malarstwie, plakacie, rzeźbie, poezji. Przez dziesięciolecia powstało ponad 3000 prac. Jest obecny w ponad 100 muzeach i 30 krajach. Ze względu na zaawansowany wiek niestety nie może być dzisiaj z nami.

Gdzie są dzieła artystów z Europy Środkowo-Wschodniej?

Piotr i Irena Ludwigowie kolekcjonowali swoją sztukę jeszcze przed upadkiem muru berlińskiego. Dzięki nim znamy Pawła Althamera i Dana Perjovschiego. Ale po 1989 roku, po przystąpieniu krajów Europy Środkowej i Wschodniej do UE w 2004 i 2007 roku nikt już nie przedstawia ich tutaj, na Zachodzie?

Gdzie awangarda i gdzie ważne dzieła artystów z Budapesztu, Bukaresztu, Kijowa, Pragi, Rygi, Tallina, Wilna i Warszawy? Dominuje orientacja zachodnia, skierowana na Paryż, Nowy Jork, Madryt, Rzym, Wenecję, Amsterdam, Berlin, często też zorientowana na rozwój wydarzeń na innych kontynentach. Czy Indonezja jest naprawdę dużo bardziej „ekscytująca” niż Bałkany i kraje bałtyckie? Czy postawa

polityczna przeważała nad trwałością estetyczną? Czy artyści Europy Środkowo-Wschodniej nie są wystarczająco zaawansowani? A może zachodni rynek sztuki nie patrzy wystarczająco uważnie? Gdzie są historycy sztuki, którzy specjalizowali się w rozwoju estetycznym za Łabą, Odrą, Dunajem i Renem?

Wydaje się, że twórczość Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego towarzyszy nam przez okres zimnej wojny do współczesności. Oddycha historią Europy i kusi nas do zastanowienia się nad naszym spojrzeniem na to, co widzimy, czego doświadczamy i co czujemy. Nacisk kładziony jest na kształt, a nie na to, co ma znaczyć. Nie chodzi tu o pokazanie postawy wyznającego feminizm czy postkolonializm. Dominuje tu nowatorska forma artystyczna, która jednocześnie ma charakter artykułujący potrzebę.

Janusz Jutrzenka Trzebiatowski przysłał nam do Akwizgranu prace z dwóch cykli: „Ptaki” i „Muzyka”.

Gdy patrzemy na prace z cyklu „Ptaki”, naturalnie przychodzi nam na myśl upadek Ikara, ale też film Krzysztofa Kieślowskiego *Trzy kolory: niebieski* z 1993 roku. Nie, to nie jest piękny obraz gatunków ptaków, ilustracja bukolicznych pejzaży realistycznym obrazem akrylowym. Ptaki Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego należą do królestwa powietrza, królestwa, które wraz z wysokością nabiera głębokiego błękitu. Czy jego ptaki są nieśmiertelne?

Tak, przeżyją nas jako dzieła sztuki, wśród których próżno szukać często kiczowatego obrazu gołębiczy pokoju. Nie, nie ma jej tutaj. Widzimy stylizowane ptaki drapieżne, które wzbijają się w niebo z daleka jako gra kolorów między kolorami niebieskim i białym. Im bardziej się do nich zbliżamy, tym ostrzejsze stają się ich pazury i dzioby. Być może już polują na zdobycz, być może przynoszą pożywienie życia, tak jak mały orzeł przyniósł nektar młodemu Zeusowi. To ptaki o podwójnej twarzy. Nie myli się też ten, kto myśli o Alfredzie Hitchcocku i jego filmie *Ptaki*.

Wariacje w kolorze niebieskim i białym, abstrakcyjni władcy powietrza, skąd pochodzą, dokąd lecą? Symbol ptaka można interpretować na wiele różnych sposobów. Należą do królestw powietrza i światła. Patrz na nas z góry, na nas, którzy pamiętamy zdanie z Ewangelii Marka: „Zanim kogut dwa razy zapieje, trzy razy się mnie wyprze”.

Szesnaście obrazów z cyklu „Ptaki” czeka na studentów, profesorów i gości tej szkoły muzycznej. Tutaj wkraczasz w krainę tonów, które unoszą się w powietrzu niczym ptaki Janusza. I te ptaki wyciągają pazury do tego miejsca, miejsca, w którym studiuje się muzykę, gdzie nie dominuje piękny flet, ale żywiołowa, poruszająca, niepokojąca, urzekająca i wrażliwa sztuka dźwiękowa stuleci. Niektóre dźwięki przypominają dźwięk ptaka, niektóre śpiew ptaków w oczekiwaniu na kompozycję.

Janusz Jutrzenka Trzebiatowski z Chojnic, małego miasteczka na skraju Kaszub, na starość fascynuje odbiorcę swoją ponadczasową sztuką. Dostarcza odpowiedzi na ponadczasowe pytania. Trzeba je stawiać. Odpowiedzi leżą uśpione w naszej zbiorowej pamięci.



Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

Otwarcie wystawy Janusza Trzebiatowskiego w Hoh Schule für Music und Tanz towarzyszyło **Matinee Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej Alles Walzer**, który znaczące pismo "Kunstgeschichte" określiło jako *Schwungvollvirtuozes Konzert*.



PIOTR DZIK

MIASTO 15-MINUTOWE ZIELONE I ODPORNE.

NOWE KONCEPCJE W URBANISTYCE

W polskich mediach przetoczyła się krótkotrwała burza dotycząca wypowiedzi posła Grzegorza Brauna na posiedzeniu 73 posiedzeniu Sejmu (7 marca 2023¹), w której to wypowiedzi pan poseł uznał koncepcję miasta 15-minutowego za drogę do zniewolenia i porównał ją do (jeśli dobrze rozumiem) technik i sposobów zarządzania obozem koncentracyjnym w Auschwitz. Nie ma większego sensu w wykpiwaniu p. posła, wie on, że dzwoni, choć niekoniecznie w którym kościele. Rzeczywiście niektóre nowe koncepcje urbanistyczne sprowadzały się w gruncie rzeczy do dość zaawansowanych technik nadzoru i kontroli nad mieszkańcami, wystarczy wskazać, że w najnowszym przeglądowym studium na temat bezpieczeństwa w „smart city” słowo „surveillance” (nadzór) jest użyte ok. 90 razy (Laufs, Borrión i Bradford, 2020). Niemniej koncepcja miasta 15-minutowego nie ma z tymi pomysłami nic wspólnego, wiąże się natomiast z dwoma innymi nowymi koncepcjami przemian miejskich, tj. zielenią i odpornością (*resilience*). Warto więc podsumować skąd wzięły się te koncepcje, na czym polegają, jakie budzą wątpliwości i co przewidują.

Wprowadzenie

Co dwa lata wielki wydawca literatury naukowej, firma Elsevier, organizuje światowy kongres naukowy „Urban Transitions”. Miałem okazję uczestniczyć w jego ostatniej edycji, która odbyła się 7-10 XI 2022 r., w Sitges niedaleko Barcelony (osobom mniej zainteresowanym nauką miejsce to może kojarzyć się z Robertem Lewandowskim – odkąd gra w FC Barcelona, to mieszka właśnie tam). Reprezentacja badaczy, praktyków, w tym członków miejskich władz i teoretyków była imponująca, zakres prezentowanych badań, interwencji społecznych i koncepcji teoretycznych również. Zanim przejdę do szczegółów, warto powiedzieć dwie rzeczy:

- Katastrofa klimatyczna jest faktem. Literalnie wszystkie referaty, postery i warsztaty przyjmowały tę tezę za oczywistość już nie wymagającą dowodzenia, rozmawiano jedynie

o tempie, skali i zakresie szkód, które z całą pewnością nastąpią. Negowanie zmian klimatycznych ma we współczesnej nauce status podobny do astrologii, wiary w płaską ziemię lub w to, że nasza planeta rządzą reptilianie (lub inne gady).

- Interwencje społeczne ograniczające lub łagodzące konsekwencje zmian klimatycznych, dostosowujące miasta do tego co nadejdzie, albo w zasadzie już nadeszło (to ostatnie było jasno artykułowane przez referentów z krajów tzw. globalnego południa) nie mają szans na sukces i nie będą udane bez włączenia lokalnych społeczności. Przez „włączenie” należy rozumieć przy tym rzeczywisty wpływ na podejmowane przez władze decyzje, a nie, modne także w Polsce, niewiążące konsultacje. Planowanie urbanistyczne wbrew woli mieszkańców kończy się wyłącznie, coraz gwałtowniejszymi, konfliktami.

Trzy główne zespoły tematów, o których rozmawiano na kongresie, to z grubsza (dlaczego z grubsza – o tym dalej) miasto 15-minutowe, rola zieleni oraz koncepcja „resilience”. Ten ostatni termin można na polski przetłumaczyć jako „odporność”, jednak polskie słowo nie oddaje w pełni wielowymiarowości tej idei.

Miasto 15-minutowe. Lub coś koło tego.

Tekstem uchodzącym za najlepiej wykładającym istotę tej koncepcji jest opracowanie *Introducing the “15-Minute City”: Sustainability, Resilience and Place Identity in Future Post-Pandemic Cities* (Moreno, Allam, Chabaud, Gall i Pratlong, 2021). Jej istotą była obserwacja autorów, że trajektoria rozwoju miast w XX wieku spowodowała sytuację jak z „Paragrafu 22” – podział miast na strefy (mieszkalną, przemysłową, centralną, itp.) powoduje konieczność coraz dłuższych dojazdów, a to z kolei napędza przystosowanie miast do samochodów a nie do ludzi. Pomysł autorów był w swej istocie mocno konserwatywny i sprowadzał się do idei, by wszystkie ważniejsze usługi (po angielsku używa się terminu „amenities”) były dostępne dla mieszkańców w promieniu 15-minutowego spaceru od

miejsca zamieszkania. Z grubsza jest to zmiana myślenia planistycznego – udogodnienia oferowane przez miasto mają być nie tyle dostępne („accessible”) ile bliskie. Paradygmatem staje się nie tyle istnienie np. apteki, ale to czy apteka ta jest na tyle blisko („proximity”) by można było do niej dotrzeć w 15 minut (Pozoukidou i Chatziyiannaki, 2021).

Ta, wstępna i dość niejasna, ale interesująca idea wymagała jednak konkretyzacji. Przegląd dyskusji i stanowisk można znaleźć, między innymi, w opracowaniu Silva, King i Lemar (2020), którego autorzy piszą, że nawet przedmieścia zbudowane wokół idei dostępu samochodowego mogą być dość łatwo przekształcone tak, by podstawowe udogodnienia były dostępne piechotą, rowerem lub komunikacją publiczną. Idea, rzecz oczywista, jest krytykowana, testowana i precyzowana. Interesującą ewaluację można znaleźć w opracowaniu Logan i inni (2021), a dość brutalną, publicystyczną, choć rzeczową krytykę przeprowadził Edward Glaeser².

Obecny stan koncepcji nie pozwala na traktowanie jej jako w pełni skonkretyzowanej, nierozstrzygnięte pozostają chociażby następujące problemy:

1. Ile minut? Cytowani wcześniej autorzy piszą o mieście 10-, 15- czy 20-minutowym.

2. Dla kogo należy mierzyć ten czas? Czy te, powiedzmy, 15 minut, dotyczą młodego, sprawnego fizycznie człowieka czy też osoby na wózku a może matki z dzieckiem? Nie jest jasne w tej koncepcji, jak dostosować infrastrukturę miast do potrzeb osób z niepełnosprawnościami (Brüchert, Quentin, Baumgart i Bolte, 2021)

3. W jakich warunkach? W czasie dyskusji nad referatami konferencyjnymi wielu dyskutantów pytało o rzecz, wydawałoby się, oczywistą tj. o pogodę. O ile (to prawdziwy przykład z dyskusji w czasie „Urban Transitions”) w marcu 15 minutowy spacer w Seville może być przyjemny, o tyle w lipcu, przy temperaturze powyżej 40 stopni, może być wręcz morderczy.

4. Po ostatnie, ale nie najmniej ważne – nie jest wcale jasne jakie udogodnienia powinny być dostępne w owym 15-minutowym promieniu. Szkoła? Apteka? Przystanek komunikacji publicznej? Biblioteka? Lokalne centrum kultury? A może po prostu sklep spożywczy? Jak na owo pojęcie „bliskości” wpływa i będzie wpływać *e-commerce*?

Warto może wspomnieć, że koncepcję tę w Polsce przyjęły i zaczęły wdrażać władze Wielkopolskiego Pleszewa. Prezentację tego jak widzą tę koncepcję w praktyce i jak ją wdrażają władze miejsce można znaleźć na oficjalnej stronie <http://miasto15.pl> (link jest na stronie głównej <https://pleszew.pl>).

Zieleń. Parki, skwery, pasy.

Zieleń w mieście to temat, wydawałoby się, mało kontrowersyjny. Wszyscy kochamy drzewa, kwiatki i ptaszki. W praktyce jednak, w kraju, w którym liczba tzw. rewitalizacji polegających głównie na wycince drzew jest tak duża, że doczekała się własnego słowa i dokumentującej to zjawisko książki *Betonoza* (Mencwel, 2020), sprawa tak prosta nie jest. Mając nadzieję, że podobne pomysły się skończą, warto jednak się przyjrzeć

jakie kontrowersje ta – wydawałoby się – niekontrowersyjna kwestia budzi w badaniach praktyk rewitalizacyjnych. Interesujący tekst przeglądowy (Brilhante i Klaas, 2018) oraz dyskusje toczone w czasie "Urban Transitions" wskazują na problem zupełnie pomijany w polskich dyskusjach, a mianowicie związek zielonych rewitalizacji z rozrywaniem więzi społecznych i gentryfikacją.

Proces z grubsza przebiega następująco:

1. Miasto planuje rewitalizację (lub powstanie) terenu zielonego (parku, skweru, miniparku).

2. Dowiadują się o tym prywatne firmy deweloperskie (jak się łatwo domyślić, mają one swoje sposoby).

3. Wykorzystując słabości planistyczne (a dotyczy to także naszego kraju – lokalnymi planami zagospodarowania przestrzennego objęta jest ok. 1/3 powierzchni miast³), deweloperzy kupują działki i/lub domy w pobliżu planowanej rewitalizacji. Wiedzą oni bowiem, że apartamenty „z widokiem na zieleń” sprzedadzą się lepiej i po wyższej cenie.

4. Zaczynają inwestycję, wyrzucając starych mieszkańców, czyszcząc kamienice i wykonując wszystko inne, doskonałe nam znane.

5. Kiedy park już jest to i wokół stoją wypieszczone, lepszej klasy, wygodne i dobrze skomunikowane lokale. Są one oczywiście stosownie wycenione.

6. Kupują je bogaci, fundusze inwestycyjne, banki i tym podobni klienci. Przy zieleni zamieszkują zamożni lub lokale stoją puste, bo są „inwestycją”.

Efekt: stare, zasiedziałe, dobrze zorganizowane i bezpieczne społeczności lokalne zostają zniszczone. Park często, zbyt często, oznacza zniszczenie społecznej tkanki miejskiej.

Wniosek: projekty rewitalizacyjne należy konstruować tak, by służyły lokalnym społecznościom, nie inwestorom skądinąd.

Resilience

To z kolei koncepcja wynikająca wprost z narastających zagrożeń klimatycznych (powodzi, huraganów, fal upałów, itp.). Idea również w skróto wym opisie jest zwodniczo prosta – chodzi o to by miasto było zarządzane w sposób biorący pod uwagę możliwe zagrożenia oraz by było na takie zagrożenia przygotowane. Istnieją nawet stosowne modele (Labaka, Maraña, Giménez i Hernantes, 2019), nic tylko wdrażać. Jednak, również ta koncepcja, jak się jej dokładnej przyjrzeć, budzi wiele wątpliwości. Na przykład Tom Logan z University of Canterbury w Nowej Zelandii przedstawił prezentację pokazującą różnicę między tym co powinno dotrzeć do domu (chodzi głównie o wodę i elektryczność) i tym co powinno być dostępne stosunkowo niedaleko od domu (głównie jedzenie i opieka medyczna). Rzecz jasna „dostępność” oznacza nie tylko to, że żywność dowieziono do jakiegoś punktu, ale także i to czy lokalna społeczność jest o tym poinformowana, czy ktoś jest w stanie ją dostarczyć osobom niepełnosprawnym, czy istnieją na tyle rozwinięte sieci kontaktów by – mówiąc w skrócie – nikt nie umarł z głodu w odległości 100 metrów od

magazynu. Konceptyjnie różni się odporność infrastrukturalną od odporności społecznej. Biorąc pod uwagę fakt, że za naszą wschodnią granicą mamy pełnoskalową wojnę, warto byłoby się przyjrzeć naszej infrastrukturze w kontekście chociażby tego, że Rosji nie udało się zniszczyć sieci energetycznych Ukrainy, że koleje tam działają i że miasta sobie radzą. Jak byłoby u nas?

Zamiast podsumowania

Najogólniej rzecz ujmując, te trzy pomysły powinny doprowadzić do tego by zapewnić miastom „sustainability”. Termin ten najczęściej się tłumaczy jako „zrównoważony rozwój”, ale chyba lepsze byłoby określenie „długoterminowe przetrwanie” bo o to tak naprawdę chodzi, w świecie katastrofy klimatycznej, epidemii i powrotu pełnoskalowych wojen. Rzecz jasna owe pomysły na przetrwanie nie ograniczają się do wyżej omówionych. Są i inne. Jednym z najciekawszych, omawianych na "Urban Transitions" pomysłów były tzw. *digital twins*. Biorąc pod uwagę gigantyczne bazy danych (tzw. big data) i rozwijające się algorytmy sztucznej inteligencji, jest już dziś możliwe stworzenie „cyfrowego bliźniaka” dowolnego miasta i testowanie pomysłów infrastrukturalnych, urbanistycznych, planistycznych i architektonicznych na owym bliźniaku, a nie na żywej tkance miejskiej. Raz wybudowaną linię tramwajową trudno przenieść na sąsiednią ulicę, koszty byłyby prohibicyjne. A gdyby to sprawdzić na cyfrowym bliźniaku? Szybko, tanio, łatwo ocenić konkurencyjne rozwiązania. Rzecz jasna oczywistą wadą cyfrowego bliźniaka byłoby odkrycie, że genialne pomysły tego czy owego burmistrza nie są aż tak genialne, ale może jednak byłoby warto?

Jeszcze innym zestawem pomysłów i koncepcji są tzw. *serious games* (warto zajrzeć na stronę <https://www.playthecity.eu>). Jednym z ważniejszych problemów jest niski poziom partycypacji społecznej w różnego rodzaju projektach konsultacyjnych. Mieszkańcy są zniechęceni polityką ugłaskiwania („tokenism”), która głównie sprowadza się do tego, że mieszkańcy sobie pokrzyżują a władze i tak zrobią swoje. Prowadzenie projektu partycypacyjnego w postaci specjalnie zaprojektowanej gry pozwala na jednoczesne zaangażowanie władz, podmiotów rynkowych, organizacji społecznych i samych mieszkańców, a wyniki takiej gry są traktowane poważniej niż wyniki spotkań konsultacyjnych czy ankiet. W Polsce „grywalizacja” czy też „gamifikacja” jest interpretowana jako mechanizm marketingowej manipulacji, „serious games” mogą przemodelować to myślenie.

Pozwolę sobie zakończyć ten artykuł osobistą anegdotą. Jedną z prezentacji na "Urban Transitions" dotyczyła budowy systemu komunikacji miejskiej w Dar es Salaam (administracyjnej stolicy Tanzanii). W tym, ponad pięciomilionowym mieście od 2016 roku jest rozwijany system szybkiego transportu autobusowego to jest Bus Rapid Transport – BRT. System jest oceniany jako sprawny, nowoczesny i wydajny (Alfred i Kaijage, 2019). Gdy rozmawiałem z osobą go prezentującą, jedyne co wiedziała o Polsce to, że w czasie pandemii COVID i po niej zaczęliśmy ograniczać transport publiczny. Komentarz można sobie wypowiedzieć...

Przypisy:

1 Pełny tekst: <https://www.sejm.gov.pl/Sejm9.nsf/wypowiedz.xsp?posiedzenie=73&dzien=1&wyp=93&view=1> (dostęp 04.04.2023)

2 <https://blogs.lse.ac.uk/covid19/2021/05/28/the-15-minute-city-is-a-dead-end-cities-must-be-places-of-opportunity-for-everyone/>, 28.05.2021, dostęp 04.04.2023

3 Ranking jest dostępny na stronie [www.pisma „Wspólnota”](http://www.pisma.wspolnota.pl). Omówienie: <https://www.money.pl/gospodarka/minister-chce-zrobic-porzadek-z-budownictwem-te-przepisy-zmusilyby-miasta-dozdialania-6883516230114240a.html> (dostęp 04.04.2023)

Bibliografia

1 Alfred, R. i Kaijage, S. F. (2019). *Design of an Integrated Android Mobile Application and Web-Based System (LAMAWBS) as a Solution to Concerns of Passengers Using Bus Rapid Transit System for Public Transportation in Dar Es Salaam*. *I.J. Information Technology and Computer Science*,(2), 30-37.

2 Brillhante, O. i Klaas, J. (2018). *Green City Concept and a Method to Measure Green City Performance over Time Applied to Fifty Cities Globally: Influence of GDP, Population Size and Energy Efficiency*. *Sustainability*(10), 2031.

3 Brüchert, T., Quentin, P., Baumgart, S. i Bolte, G. (2021). *Barriers, Facilitating Factors, and Intersectoral Collaboration for Promoting Active Mobility for Healthy Aging—A Qualitative Study within Local Government in Germany*. *International Journal of Environmental Research and Public Health*(18), 3807.

4 Labaka, L., Maraña, P., Giménez, R. i Hernantes, J. (2019). *Defining the roadmap towards city resilience*. *Technological Forecasting and Social Change*(146), 281-296.

5 Laufs, J., Borrión, H. i Bradford, B. (2020). *Security and the smart city: A systematic review*. *Sustainable Cities and Society*(55), 102023.

6 Logan, T., Hobbs, M., Conrow, L., Reid, N., Young, R. i Anderson, M. (2021). *The x-minute city: Measuring the 10, 15, 20-minute city and an evaluation of its use for sustainable urban design*. *Cities*(131), 103924.

7 Mencwel, J. (2020). *Betonoza. Jak się niszczy polskie miasta*. Warszawa: *Krytyka Polityczna*.

8 Moreno, C., Allam, Z., Chabaud, D., Gall, C. i Pratlong, F. (2021). *Introducing the “15-Minute City”: Sustainability, Resilience and Place Identity in Future Post-Pandemic Cities*. *Smart Cities* (4), 93–111.

9 Pozoukidou, G. i Chatziyiannaki, Z. (2021). *15-Minute City: Decomposing the New Urban Planning Eutopia*. *Sustainability*(13), 928.

10 Silva, D. C., King, D. A. i Lemar, S. (2020). *Accessibility in Practice: 20-Minute City as a Sustainability Planning Goal*. *Sustainability*(12), 129.



Kapela Maliszów: od lewej Zuzanna, Jan, Kacper Malisz.

IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA

RÓŻNE OBLICZA WIRTUOZERII. RELACJA Z XIX MIĘDZYNARODOWEJ KONFERENCJI "MUSICA PRACTICA, MUSICA THEORETICA"

Międzynarodowa Konferencja z cyklu „Musica Practica, Musica Theoretica” pod hasłem „Topos wirtuoza – dzieło, wykonawstwo, dydaktyka” odbyła się w dniach 4-5 kwietnia w Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego w Poznaniu. To już dziewiętnasta konferencja w tym cyklu, organizowanym przez tamtejszą Katedrę Teorii Muzyki.

Konferencję otworzył *spiritus movens* przedsięwzięcia, dr hab. Mikołaj Rykowski, profesor AMP, zapraszając do wysłuchania wykładu inauguracyjnego *Socjologia talentu – „produkcja talentu”* prof. Izabeli Wagner, reprezentującej Collegium Civitas w Warszawie. Prof. Wagner wprowadziła w tematykę społecznych warunków rozwoju talentu muzycznego, odwołując się m. in. do metody etnograficznej. Szczególną uwagę zwróciła na rolę otoczenia – m. in. rodziny, nauczycieli, akompaniatorów – w rozwoju talentu muzycznego, przytaczając wyniki swoich badań, które opublikowała w pracy *Producing Excellence: The Making of Virtuosos*.

W dwóch kolejnych dniach wystąpienia zostały zestawione w pięć bloków tematycznych:

(1.) Epoka wirtuozów, (2.) Wirtuozeria w kulturze, (3.) W stronę etno, (4.) Wirtuozeria wobec współczesności oraz (5.) Studium przypadków

Sesja pierwsza, **Epoka wirtuozów**, skupiła zagadnienia historyczne, koncentrując się wokół XIX-wiecznego modelu wirtuoza i romantycznego pojmowania wirtuozerii. W wystąpieniu prof. Rykowskiego *Wirtuozeria jako dyplomacja dźwiękowa – o eksporcie kultury muzycznej z Europy do Stanów Zjednoczonych na przełomie XIX i XX wieku* pojawił się wątek wirtuozerii jako elementu negocjacji międzykulturowej. Romantyczny obraz pianisty-wirtuoza był tematem referatu Aleksandry Biśty, natomiast dr Vadym Rakochi poruszył problem relacji wirtuozowskiej partii fortepianu w stosunku do orkiestry w koncertach fortepianowych Ferdinanda Riesa. W tym bloku znalazł się również mój referat – Strategie kosmopolityczne w twórczości fortepianowej XIX wieku, zwracający uwagę na cechy wspólne utworów powstałych w różnych znaczących ośrodkach muzyki europejskiej.

W sesji **Wirtuozeria w kulturze** przedstawione zostało funkcjonowanie toposu wirtuoza w literaturze i w filmie. Temat budowania postaci wirtuoza w powieści podjął dr Stefan Drajewski, a Małgorzata Grzywacz przedstawiła przykłady funkcjonowania postaci Jana Sebastiana Bacha we współczesnej literaturze niemieckiej. W tym nurcie zmieścił się również referat dra Łukasza Kaczmarka *W poszukiwaniu związków między osobowością a sztuką wykonawczą* bazujący na psychoanalizie freudowskiej, a poruszający wątki biograficzne Marii Callas, Andrzeja Czajkowskiego i Carlosa Kleibera.



Prof. Violetta Przech, na tle portretu prof. Bettiny Skrzypczak.

Zupełnie odmienne oblicza wirtuozerii zaprezentowano podczas sesji **W stronę etno**. Etnomuzykolożka, dr Ewelina Grygier, zajęła się zagadnieniem bretońskiej muzyki tradycyjnej, a dwójka badaczy reprezentujących Konserwatorium Tito Schipy w Lecce podjęło temat *Tańców Rumuńskich* Bartòka (Maria Stella Buccolieri) oraz włoskiej taranteli (Massimiliano Morabito). Pierwszy dzień konferencji zakończył referat prof. dr hab. Violetty Przech *Maestria kompozycji fortepianowych Bettiny Skrzypczak – perspektywa założeń twórczych i interpretacji wykonawczych*. Szczególna uwaga poświęcona została Daphnes Lied kompozytorki, włącznie z analizą strukturalną dzieła, interpretacją w szerokim kontekście kulturowym i wreszcie porównaniem wykonań.

Podczas sesji **Wirtuozeria wobec współczesności** padły ważne pytania o przyszłość wirtuozerii w kontekście dekonstrukcji języka muzycznego. Manuel Domínguez Salas podjął zagadnienie *macro timbre* w muzyce Julio Estrady, Andrii Merkhel zainteresował się interakcją pomiędzy kompozytorem a wykonawcą w dziele muzycznym w referacie *Mechanizmy unicestwiania wirtuozerii*, natomiast Adam Porębski postawił problem funkcjonowania komputera jako instrumentu muzycznego, który także może zostać opanowany w stopniu „wirtuozowskim”. Maria Majewska-Mocek podjęła zagadnienie wirtuozerii w operach kompozytorów polskich w XXI wieku.

Wiele referatów zebrano pod hasłem **Studium przypadków**. Ponownie pojawiły się wystąpienia w perspektywie historycznej, do których należy zaliczyć referat *Kompozytorska, wykonawcza i pedagogiczna działalność Marcela Dupre w kontekście wirtuozowskiej gry na organowej klawiaturze nożnej Jana Surmy*, *Wirtuoz w służbie Jego Królewskiej Mości – o fenomenie twórczości klawesynowej François Couperina* Moniki Woźniak oraz wystąpienie Jana Bielaka pod tytułem *Piętno wirtuoza – wpływ Pawła Kochańskiego na Karola Szymanowskiego, Mściława Rostropowicza na Witolda Lutosławskiego oraz ich obu na Sergiusza Prokofiewa*. Zagadnienia natury wykonawczej pojawiły się w referacie *Odkrywanie “24 Etiud – kaprysów” op. 64 Émile’a Saureta podczas pierwszego nagrywania* prowadzącej aktywną działalność koncertową Nazrin Rashidovej. Z kolei Malwina Marciniak przedstawiła wyniki swoich badań w zakresie polskich koncertów fortepianowych XXI wieku, zaskakując zgromadzonych faktem, że utworów, które można zaliczyć do tej kategorii powstało ponad sto pięćdziesiąt. Szczególnie zapadło mi w pamięć wystąpienie dra hab. Tomasza Kienika omawiającego *Koncert skrzypcowy* Johna Corigliano, od jego źródeł w muzyce filmowej do obrazu *Purpurowe skrzypce* w reżyserii François Girarda, aż do wirtuozowskiego koncertu, który zajął stałe miejsce w repertuarze koncertowym.



Prof. Mikołaj Rykowski.

Konferencję uświetnił koncert muzyki tradycyjnej w wykonaniu Kapeli Maliszów. Pochodzący z Męciny Małej w Beskidzie Niskim zespół został założony przez Jana Maliszę i jego dzieci: Zuzannę i Kacpra. Kapela pokazała zupełnie nieoczekiwane oblicze wirtuozostwa instrumentalnego. Zazwyczaj wirtuoz jest kojarzony z wielką estradą sali koncertowej, lub sceną teatru operowego, ale po wysłuchaniu koncertu nikt nie mógł odmówić tytułu wirtuoza Kacprowi Maliszowi, dysponującemu pełną blasku techniką skrzypcową, ale wykorzystującemu ją w ramach muzyki tradycyjnej. Kreująca atmosferę intymności Zuzanna urzekła publiczność wokalem o przyjemnej, cieplej barwie. W tworzeniu nastroju znaczącą rolę odegrał także bęben obręczowy. Kapela zagrała muzykę z powiatu gorlickiego oraz regionu Karpat. W tej okolicy mieszały się kultury polska, łemkowska, węgierska i żydowska. Starannie zakomponowany program złożony był z tańców, takich jak mazurek, haciok, furtok i poleczka, przeplatanych bardziej nostalgicznymi przyśpiewkami i improwizacjami. Szczególne wrażenie zrobiła na publiczności, powtórzona także na bis, najstarsza polska pieśń obrzędowa *Oj chmielu, chmielu*. Koncert zwieńczyły owacje na stojąco, a przecież nie tak łatwo porwać publiczność w murach poznańskiej Akademii Muzycznej.

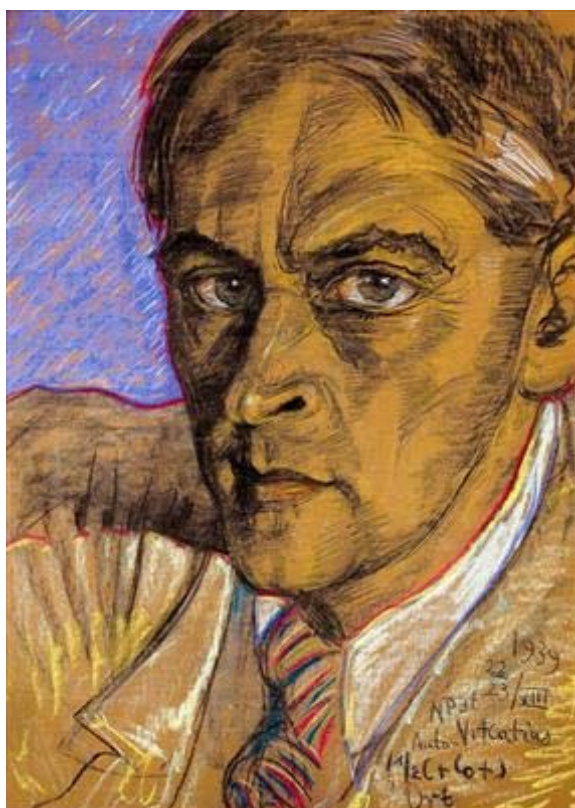
Zaproszenie organizatorów konferencji do refleksji nad tym jak „pojawienie się idei wirtuozerii wpłynęło na dydaktykę”, niestety nie znalazło rezonansu w tematach wybranych przez uczestników. A szkoda, bo współczesna metodyka nauczania gry stanowi istotny problem w kontekście coraz bardziej kompetytywnego rynku muzycznego.

W mowie końcowej prof. Mikołaj Rykowski nawiązał do słów, którymi otworzył Konferencję „Musica Practica, Musica Theoretica”: *inter arma silent Musae*, odnosząc się do ostatnich wydarzeń politycznych w Ukrainie. Postawił ważne dla nas wszystkich pytanie o rolę muzyki, ale i w szerokim rozumieniu kultury, w czasie kryzysu, i w sytuacjach granicznych. Profesor Rykowski nie zgodził się z tradycyjną łacińską sentencją, stanowiącą grę słów z pochodzącym od Cycerona cytatem *inter arma silent leges*, gdyż jak mówił: „powinniśmy dyskutować o muzyce, powinniśmy wykonywać utwory muzyczne, a muzyka ma wielkie znaczenie”. Odwołał się przy tym do reportażu CNN *Music That Makes a Difference*, dokumentującym aktywność muzyków w czasie wojny w Ukrainie. Wielu muzyków tworzy utwory, mające za zadanie podniesienie na duchu walczących. Także wielu koncertujących artystów na różne sposoby stara się zwiększać świadomość społeczną, m. in. organizując koncerty benefisowe jak amerykański pianista Kevin Kenner, czy skrzypaczka Anastasia Kozlova, czy też umożliwiając uciekającym przed wojną muzykom dalsze kształcenie i rozwój artystyczny, jak osoby zrzeszone wokół projektu Help Musicians Ukraine (m.in. Aleksandra Bobrowska, Danae Eleni, Myroslava Khomik, Sofia Livotov).

Pozostaje zgodzić się z prof. Rykowskim, że muzyka daje nadzieję, a „dyskutując o muzyce, grając utwory muzyczne, bronimy tego, co w pewien sposób zostało zakwestionowane, co jest zagrożone”, i wyrazić wdzięczność za to, że dzięki organizatorom wydarzenia powstaje miejsce i przestrzeń na tego rodzaju dyskusję.

MARIOLA STERNAHL

ZAKOPIAŃSKIE ŚLADY WITKIEWICZÓW



Stanisław Ignacy Witkiewicz
pseud. artystyczny „Witkacy”
(1885-1939),
Ostatni Autoportret

Rok 1886 stał się dla Zakopanego decydujący, biorąc pod uwagę propagowanie uzdrowiska w społeczeństwie. To właśnie wtedy, za radą Chałubińskiego przyjechał tu po raz pierwszy Stanisław Witkiewicz. Szukając pod wierzchami Tatr zdrowia, odnalazł w tym miejscu wspaniałą kulturę regionalną, którą rozszławił w całej Polsce i do której sam wniósł bardzo cenne wartości. Stanisław Witkiewicz w pamięci przyszłych pokoleń już na zawsze pozostanie twórcą stylu zakopiańskiego, pierwszego polskiego stylu narodowego w architekturze i sztuce użytkowej.

Przez wiele kolejnych lat ojciec - Stanisław Witkiewicz - i syn - Stanisław Ignacy Witkiewicz - pozostaną wierni Zakopanemu. To właśnie tutaj mieć będą swoje zaprzyjaźnione domy i rodziny, będą chodzić w Tatry i przez lata poznawać tę niezwykłą okolicę. Obydwaj będą uczestniczyć w życiu społecznym i towarzyskim uzdrowiska, dla dobra którego stworzą wiele niezwykłych dzieł:

- wielkie i bezcenne projekty architektoniczne – ojciec.
- cenne portrety i obrazy inspirowane ludźmi, życiem, przyrodą i ciekawym wizerunkiem psychologicznym, nierzadko bardzo zagmatwanym – syn.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, nigdy nie ujawnił swoich zainteresowań architekturą. Ta pasja i prawdziwa miłość zawsze już kojarzyć nam się będzie z jego ojcem.

W lesie, w górnej części Zakopanego stoi drewniany dom zwany Chatą, w którym mieszkali etnograf Bronisław Dembowski wraz z żoną Marią. Małżeństwo na stałe zapisało się w historii zakopiańskiego środowiska kulturalnego. Chata stoi w okolicy domu doktora Chałubińskiego i bez wątpienia była jednym z najważniejszych zakopiańskich towarzysko – kulturalnych „salonów” końca XIX wieku. Najbliższym przyjacielem tego domu, obok Henryka Sienkiewicza, stał się Stanisław Witkiewicz. Maria Dembowska jeszcze za panny zaprzyjaźniła się z żoną noblisty, a zjeżdżały tutaj takie wielkie polskie nazwiska jak: Stanisław Żeromski, Władysław Matlakowski, Wojciech Brzega, Helena Modrzejewska, Brat Albert i wielu innych.

Chorujący na gruźlicę Witkiewicz przyjeżdżał do Zakopanego od 1886 roku rokrocznie, a osiadł na stałe w 1890. Zakochany bez pamięci w Tatrach i w Zakopanem, oraz prawdopodobnie w Dębowskiej, zresztą z wzajemnością, spędził w tym miejscu wiele kolorowych i bardzo twórczych lat. Dopiero u schyłku życia, kiedy jego stan znacznie się pogorszył opuścił zakopiańskie chłody, deszcze, wiatry i zimy i wyjechał na kurację do Lovranu na półwyspie Istria nad Adriatykiem, gdzie już do końca jego



Willa Witkiewiczówka

dni opiekowała się nim właśnie Maria Dembowska. To dzięki jej staraniom ciało Witkiewicza spoczęło na cmentarzu w Zakopanem na Pęksowym Brzyzku.

W tym miejscu dochodzimy do momentu naszej krótkiej historii, który dopełniać ma portret syna: Stanisława Ignacego Witkiewicza. Człowieka tragicznego, wrażliwego, cierpiącego i jakżeż samotnego. Lekceważonego przez współczesnych, a swoim błżeństwem zagłuszającego swój dramat. W zasadzie przekleństwem jego było właśnie to, że urodził się w Europie Środkowej i utknął w Zakopanem. Snute przez niego ostrzeżenia i wizje wyprzedziły Huxleya i Orwella. Relacje osób, które zostawiły po sobie wspomnienia o tej nietuzinkowej postaci ukazują go jako przenikliwego, dalekowzrocznego proroka i wizjonera. Kogoś, kto już wtedy przewidział los epoki i nadchodzące wydarzenia: wojnę, totalitaryzm, kryzys europejskiej kultury, unifikację, zanik „uczuć metafizycznych”. Dodatkowo obdarzony został fenomenalną intuicją psychologiczną, którą potwierdzają liczne malowane przez niego portrety. Spokojne w swojej formie, ale kryjące w sobie dramat, przecucie kataklizmu, narastające z czasem w człowieku starszym i coraz bardziej znerwicowanym.

Witkacy podobnie jak ojciec kochał Zakopane, w którym znajdziemy wiele miejsc związanych zarówno z ojcem jak i z synem. Miejsc, o których opowieści są barwne i ciekawe, a ich sława pomimo upływu czasu nie przemieniała.

Willa Witkiewiczówka ufundowana została przez brata Stanisława Witkiewicza, Jana, w roku 1903-1904. Dzieje tego budynku związane są ściśle z rodziną Witkiewiczów. Wybudował ją według projektu Jana Witkiewicza Koszczyca, Wojciech Roj, a przy budowie uczestniczył Stanisław Witkiewicz. Nazwano ją „Na Antałówce”, od miejsca, w którym powstała. Witkacy wprowadził się do niej po śmierci matki na początku lat trzydziestych i to właśnie wówczas przyjęła się nazwa „Witkiewiczówka”. Wraz z wyprowadzką z Olmy, w kwietniu 1933, Stanisław Ignacy Witkiewicz przenosi również w nowe miejsce „Firmę Portretową”. To właśnie w tym miejscu w nocy z 22

na 23 sierpnia 1939 wykonuje swój ostatni portret, który zdaniem wybitnej znawczynie twórczości artystycznej Witkacego, Ireny Jakimowicz, różni się zdecydowanie od autoportretów powstałych w minionym czasie. Uderza spokojem, a piękna męska twarz, choć znać na niej przebyte burze życia, ma w sobie szczególną prostotę i monumentalność, godność, jaką daje poczucie dystansu. Oczy, szeroko otwarte, patrzą już bez przeobrażenia w przyszłość. Chłodny błękit dalekiego nieba mówi, być może, o wewnętrznej zgodzie na przejście w rejony wiecznego spokoju. To właśnie z tego miejsca Stanisław Ignacy Witkiewicz 26 sierpnia 1939 opuszcza Zakopane i wyjeżdża do Warszawy. Stamtąd wraz z falą uchodźców udaje się na Wschód i 18 września 1939 roku w lesie, w pobliżu Jeziory (Polesie) popełnia samobójstwo; w dniu wkroczenia wojsk radzieckich do Polski i zajęcia wschodnich terenów.

Willa Pod Jedłami – wpisująca się w panoramę Tatr, i będąca wzorem prawdziwie narodowej sztuki. Tak opisywał to zamierzenie architektoniczne Stanisław Witkiewicz, przysłemu właścicielowi willi Janowi Gwalbertowi Jasnorzewskiemu. Oprócz projektowania, uczestniczył w wyszukaniu właściwego miejsca pod budowę z widokiem na pasmo górskie i trzy rozłożyste jodły. Willę wybudowali lokalni rzemieślnicy pod okiem samego architekta. Jest to zdecydowanie największy projekt w stylu zakopiańskim Witkiewicza.

Willa Oksza – zaprojektowana przez samego Stanisława Witkiewicza, jest trzecim dziełem twórcy stylu zakopiańskiego. Powstała w roku 1896 i zalicza się do jednego z najpiękniejszych zabytków Zakopanego. W jej pięknie odrestaurowanych wnętrzach Muzeum Tatrzańskie umieściło Galerię Sztuki, w której prezentowane są wystawy czasowe oraz stała wystawa zatytułowana „Artyści i sztuka w Zakopanem”. Wystawione są tam dzieła: Rafała Malczewskiego, Leona Wyczółkowskiego, Zofii Stryjeńskiej i wielu innych. Ale szczególną dumą napełnia Muzeum jedna sala, w całości poświęcona Witkacemu, nosząca również adekwatną nazwę: Sala Witkacego. Bowiem właśnie Muzeum Tatrzańskie posiada jedną z najbogatszych w Polsce kolekcję jego dzieł.

Kto kiedykolwiek przemierzał najświetniejszą ulicę w centrum Zakopanego z pewnością zwrócił uwagę na



Willa Oksza - Galeria Sztuki Muzeum Tatrzańskiego

charakterystyczny budynek hotelu Morskie Oko na Krupówkach. To jeden z najstarszych tatrzańskich hoteli, wybudowany w roku 1897, który zdążył już przeżyć prawdziwą tragedię. Kilka lat po oddaniu do użytku spłonął i odbudowano go dopiero w roku 1901. Olbrzymią salę widowiskową projektował sam Stanisław Witkiewicz, a na scenie występowały takie osobistości jak: Helena Modrzejewska, Mieczysława Ćwiklińska, Hanka Ordonówna, Eugeniusz Bodo, Ewa Demarczyk. W okresie międzywojennym, przez kilka lat (1925-1927) miał tu siedzibę Teatr Formistyczny Stanisława Ignacego Witkiewicza! Wystawiono tu sztuki Witkacego takie, jak m.in. *Wariat i zakonnica*, *Nowe wyzwolenie*.

Powróćmy jeszcze do Muzeum Tatrzańskiego mieszczącego się przy Krupówkach, które ma ponad 11 filii i jest jednym z najstarszych muzeów w Polsce. Jest ostatnim projektem Stanisława Witkiewicza i zarazem ostatnim w stylu zakopiańskim w murze. Styl architektoniczny witkiewiczowski, to styl związany z osobowością jego twórcy i praktycznie bez niego nieistniejący. Każdy kto próbował kontynuować jego dzieło, tak naprawdę jedynie naśladował mistrza. I tak już pozostało do dzisiaj.

Muzeum otwarto w 1922 roku i przez wiele lat było jedynym obiektem tego rodzaju w Polsce. W Muzeum Tatrzańskim znajduje się bardzo ciekawa kolekcja dwudziestu portretów Witkacego. Obrazy oraz zdjęcia archiwalne ukazują niezwykłą przyjaźń między barwnymi postaciami Zakopanego z okresu dwudziestolecia międzywojennego – Stanisławem Ignacym Witkiewiczem oraz meteorologiem Józefem Fedorowiczem, nazywanym

Pimkiem. Witkacy był częstym gościem u państwa Fedorowiczów. Portretował gospodarzy, ich rodzinę oraz przyjaciół.

Kolejnym miejscem mocno związanym z Witkiewiczem i ulokowanym również na Krupówkach jest Kościół pod wezwaniem Świętej Rodziny, w którym znajduje się ołtarz zaprojektowany przez Stanisława Witkiewicza.

W Zakopanem i na Podhalu znajdziemy dużo więcej miejsc naznaczonych obecnością ojca i syna Witkiewiczów i szczerze polecam zorganizowanie sobie i bliskim wędrowki szlakiem tych dwóch wybitnych polskich artystów. Bowiem miasto Zakopane przygotowało jeszcze kilka atrakcji ku ich pamięci, na przykład w postaci multimedialnych ławeczek ulokowanych w kilku ciekawych punktach spacerowych miasta.

Naszą dzisiejszą wędrowkę zakończę zabytkowym Cmentarzem i drewnianym Kościółkiem na Pęksowym Brzyzku. Kto był w Zakopanem i jeszcze tu nie dotarł, to musi koniecznie odbyć spacer w to miejsce i pozwolić się zaurczyć tym niezwykłym widokom. Bowiem to właśnie tutaj znajdziemy nagrobki - rzeźby 250 zasłużonych osób: rodziców Witkacego, Kornela Makuszyńskiego, Kazimierza Przerwy – Tetmajera, Władysława Orkana, Tytusa Chałubińskiego i wielu, wielu innych Wielkich.

Polecam zapoznanie się z ciekawą historią sprowadzenia zwłok Witkacego do Zakopanego i tego jak to się zakończyło. Ale to już materiał na odrębną opowieść. Równie zaskakującą, barwną i ciekawą jak całe życie artysty – syna.

KATARZYNA DOMINIK

OWOC ZERWANY

Wiatr zawodzi od nocy

w zanurzonym skupieniu
patrzemy
widać atom
penetrujemy się wzrokiem
w odbiciu źrenicy

zaparafowana krwią transakcja
wrzuca nas do szuflady
bez zmian
gdzieś słyhać
tumiwizizm
w bezwładzie
zrywa owoce

ZDRĘTWIENIE

Względny spokój stał
za ścianą
kilka centymetrów odległe
słyszałam ocalałe krzesło
wyszło bez szwanku
nogi nadłamane w trzy czwarte
dreny deszczu
przetaczały ciszę
uczucia nadszarpane
naktambuliczny spacer
księżyc usiadł na trawie
tuż przed pełnią
nie widziałam ale czułam

SPACZONA SIŁA PRZEKAZU

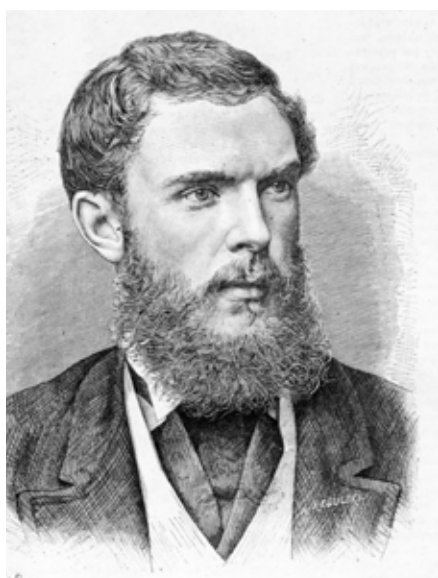
Słowa zyskują przewagę
na schodach dekretów
czyny marnieją w oczach
rozdzierając zasłonę przybytku
raz drugi i trzeci
daleko szukać co myśli roją

Zgoła milczę
nie robiąc co niemiłe
stoję w kolejce po kierunek
który ma wskazać piątą stronę
Z atutem za pazuchą
po mojej stronie
dla uśpienia dziś
wypatruję świtu

MAREK SOŁTYSIK



ZAZDROSNY TALENT. BRACIA GIERYMSCY



St. Witkiewicz, *Maksymilian Gierymski*



Aleksander Gierymski

Poczuł się do żywego dotknięty, gdy brat w obecności tego dziwnie wspaniałego człowieka warknął, spojrzawszy na obraz, nad którym on, Oleś, pracował dzień za dniem od czterech miesięcy:

– A mówiłem durniowi, żeby zielonego nie dawał!

A on nie tyle chciał, ile musiał wydobyć biel kamizelki, ruszając ją pędzlem poprzez zielen. W tym zestawieniu nie mogło być inaczej. Nie brał pod uwagę, że może zielen szwajnfurcka nie była tą zielenią; że może ten malarski eksperyment jest nieudany. Nie mógł – bo był za blisko.

Bliskie okazało się takie skojarzenie: w twarzy sławnego brata, w momencie kiedy przy tym mężczyźnie bez nogi i prawie świętym zdecydował się nazwać go durniem, zobaczył oczy, których zły, wilczy błysk przywołał mu z pamięci oczy, a może jedno oko ojca, łapiące bliskie źródło światła – pewnie z tej dużej nastolnej lampy – kiedy za błahe przewinienie wplatał w swe mocne ręce żandarma splecione w warkocz włosy Bini, tej pięknej, łagodnej siostry, i potrząsał jej głową najpierw, potem nią całą.

Aleksander nastroszył się na myśl, że w nim także, dziedzicznie, może tkwić takie wspólne zło, przemoc tchórza.

„Od śmierci brata zostałem człowiekiem!” – zabrzmiało głośno i to nieraz potem przy różnych okazjach artykułowane stwierdzenie Aleksandra odbierane było przez kolegów rozmaicie – ale to nie były pozytywne odczucia. Może trochę później, kiedy emocje opadną i krepa zrudzieje, ludzie pojmą sens w taki sam sposób, w jakim pojmują żółknięcie, wędnięcie i opadanie liści z drzew. Jesienią jednak, a nie wiosną. Sam Aleksander dziwił się sile, która pozwala mu wypowiadać takie słowa – siła prowokuje do przemocy, właśnie zrodzona pewnie z tego samego rodzaju zła, jakie ojcu kazało katować Binę, a Maksowi publicznie obrażać Aleksandra.

Miał coraz więcej czasu, jego jedynym obowiązkiem była praca nad trzema na raz zamówionymi obrazami – i potem zda sobie sprawę, że żył wówczas w luksusie braku zobowiązań – miał więc możliwość rekonstruowania zdarzeń; rozbierał je fanatycznie na części, próbował rozpoznać i nazwać okruchy czasu, zrozumieć mechanizmy. Stał poważnie bez ruchu – z paletą i pędzlami, jak do autoportretu, przy płótnie, na którym już dziś nic więcej nie namaluje z powodu zmroku zapadającego w spokojnej monachijskiej pracowni o dużym oknie na północ, właściwie oszkloną, z lekka tylko pochyłą ścianą, która stawała się w ciągu tej szarej godziny nokturnem, nastrojową wedutą. Oczywiście za życia Maksa, im dłużej był przy nim na obczyźnie, tym bardziej się złościł na to, że był przez kolegów monachijczyków polskich traktowany jako „ten Oleś, brat Maksa (wielkiego Maksa)”, ale teraz zrozumiał, że nie mogło być inaczej w sytuacji, kiedy Maks obok Brandta, Wierusza-Kowalskiego i Grocholskiego, choć z nich najmłodszy, należał do ich Sztabu, zyskał sobie szacunek tej dziwnej ogromnej masy naszych „monachijczyków”,



Maksymilian Gierymski, *Wyjazd na polowanie*

nie obyciem, nie elegancją i swoistym chłodem, cechującym mniej arystokratów *par excellence*, bardziej arystokratów ducha, lecz – tu już bez ogródek – własnym malarstwem. I tu ni z tego, ni z owego, do Maksymiliana Gierymskiego, potęgi, do tego nazwiska rytego złotymi zgłoskami, przyjeżdża z Warszawy młodszy brat, ambitny, średnio obyty, nie doprasowany i nie ufryzowany jak należy, w dodatku garbiący się i unikający ćwiczeń fizycznych potrzebnym osobom dopiero co wybujałym.

Od takiego przyjezdnego brata można by się, mając pozycję Maksa, bez wyrzutów sumienia oganiać.

A to przecież Maks nakłonił Olesia do przyjazdu!

Wychodził na korytarz ponurego pensjonatu, niemniej bogatego jaki inne, które wznosiły się i bogaciły właściciela w sąsiedztwie, lecz najbrzydszego, bo jakby celowo pozbawionego charakteru przez spółkę przedsiębiorców, działających pod hasłem, oddaj nam swoje pieniądze, damy ci nadzieję z naddatkiem, którym jest brak złudzeń. Dlatego okna będą mniej ozdobne, dachy funkcjonalne, bez esów floresów, bez szczytujących maszcyków. W parę chwil opuszczał i ten korytarz, bo przecież wiodły zeń drzwi do pokoju, gdzie coraz niebezpieczniej się wyostrzały rysy twarzy zmarłego przed chwilą brata, leżącego, jakby wcale nie umarł, w cywilnej, rzecz by można, pozie, pod kocem z wielbłądziej wełny; w pokoju zostawił zwłoki Maksymiliana pod opieką Adama Chmielowskiego, wyszedł z papierosem, zrozpaczony Meranem, znękanym tym ostatecznym Bad Reichenhall, widokami, tymi skalistymi Alpami, przysłaniającymi widoczność. – Jak ściana – warknął – głupiej warszawskiej kamienicy!

Pomyślał może absurdalne, a na pewno bez złości, że właściwie Maks miał swoją rację, gdy mu zwracał uwagę. Maks tylko nie brał pod uwagę pewnego drobiazgu, mianowicie faktu, że jego

młodszy brat, ten, co jeszcze niczego poza trącącym o doskonałość Kupcu weneckim nie dokonał, nie jest facetem z krwi i kości, trochę gruboskórnym jak polscy koledzy z monachijskiej kolonii, lecz jest cudeńkiem porcelanowym. I że on, starszy brat, to cudeńko wziął za uszko zbyt energicznie, jak cham, i wyszczerbił.

Aleksander zapalał nowego papierosa i nie miał wątpliwości, że większość z rzeczy doczesnych, które go dotyczyły, przeżywał wspólnie z Maksem, starszym bratem, człowiekiem, który te rzeczy wspólnie przeżył sam. Był Maks doświadczony – ale doświadczeniem indywidualnym. Oleś przejmował po nim – bez dobrodziejstwa inwentarza – wyłącznie efekt doświadczeń. Otrzymywał kalkę. W Warszawie, nad Wisłą, na Rybakach, na Solcu, on sam właściwie nie rysował, przyglądał się, jak to robi starszy brat. Ale nie podpatrywał warsztatu. Oczy łązały mu od emocji: oto dostępuje wtajemniczenia, uczestniczy w ceremonii towarzyszącej powstawaniu dzieła. Dzieło to coś, co nie musi, ale może szczęśliwie zaistnieć – niezależnie od domu, od dziwnego ojca, służbisty carskiego, potwora domowego, a przy tym melomana.

Potwór ten bowiem – intendent Szpitala Ujazdowskiego, potrafił wyciągać malutkiego Maksa z łóżka, gdy trzeba było przed północą skompletować kwintet podczas jednego z licznych przyjęć muzykujących. Rodzina Gierymskich mieszkała na terenach szpitala, należących do Koszar Mirowskich. Ulica, przy której się urodzili, to Zatyłek. Wystarczy, żeby stracić nawet wrodzoną pewność siebie.

Właśnie, wyciągnąć z łóżka Maksymiliana, nie Aleksandra. Maks grał, uczono go gry. Maks miał być inżynierem. Pojechał studiować w nowo otwartym Instytucie Politechnicznym w Puławach. Nie tak dawno, bo po klęsce powstania listopadowego, władza imperatorska skonfiskowała miasta i zmieniła jego nazwę na



Maksymilian Gierymski, *Powstaniec 1863 r.*

Nowa Aleksandria. Ćwierć wieku później Maks, syn umundurowanego urzędnika wojskowego w służbie zaborcy, przeszedł bez wahań z Instytutu do nowego powstania, dwa miesiące po rozpoczęciu semestru; większość kolegów studentów pod płaszczykiem dodatkowych zajęć, ćwiczeń fizycznych doskonalących mdłe ciało, przygotowywała się do czynu zbrojnego. Tylko czekali na znak. Maks w powstaniu styczniowym. A on, młodszy brat, zawsze był na coś za mały, był Olesiem, nigdy nie uczestnikiem, zawsze postacią drugiego planu, przysłoniętą „dymem pożarów”, zawsze, zawsze w ciepłe domowych kobierców.

A Maks tam w chłodzie, przy męskich zajęciach. Aleksander, nie wiadomo dlaczego, nawet na fortepianie nie musiał ćwiczyć tak regularnie jak on. Nie mówiąc o intensywności ćwiczeń. Czy był zaniedbywany? Nooo, zapewne w rodzinie wystarczył jeden wirtuoz. Jak było z malowaniem? Hm, skoro Maks, jedenastoletni, tak starannie wykończył portret ojca w mundurze, po co miałyby to jeszcze robić ktoś inny. Aleksander był tym „kimś innym”, człowiekiem bez przydziału.

Maks uciekł z domu – to znaczy nie wrócił do domu, tylko z grupą dobrze przygotowanych, tak jak on, wyćwiczonych „buntowuszczyków” z Instytutu Politechnicznego w Nowej Aleksandrii poszedł do powstania, strach, strach, w jakieś świętokrzyskie lasy, i niemal przez rok wszyscy w domu się zamartwiali o niego, Oles tkwił, niemal zamarły, w swoich szkolnych zeszytach i podręcznikach, może nawet o czymś marzył, ale jego marzeń nikt nie był ciekaw. Wszyscy natomiast rzucili się w ramiona Maksa, który zmęźniały, bardzo szczupły, ale bynajmniej nie wychudzony, wrócił, pojawił się niespodzianie, jak gdyby nigdy nic. Gdzieś się

włóczył po upadku powstania, no, o tym przezornie milczał. Stał się oczywistym kłopotem w domu – ale takim kłopotem, któremu wszyscy na wypródkę usiłowali zaradzić. Ileż ten biedny a straszliwy ojciec musiał się natupać, ile razy w antyszambrach niebezpiecznie czerwieniał mu kark, żeby ocalić od represji syna, buntownika, przestępcę politycznego, chłopca nadrabiającego miną, ale z nadwerżonym zdrowiem, z nadszarpniętą psychiką, z niejasnym postanowieniem przekreślenia ideałów, w których imię poszedł ufnie gdzieś w podkieleckie lasy, a potem dalej, dalej, w skałki pod Mełchowem, gdzieś wśród ostańców na piachach Lelowa.

Od powrotu Maksa zaczęły się dziać dziwne rzeczy, których młodszy brat do tego stopnia nie mógł zrozumieć, że kłębiące się pod czaszką rozważania o skutkach, przyczynach i o braku jakichkolwiek represji systematycznie w sobie wyciszał. Ojciec, któremu jako przecież odpowiedzialnemu za Maksa nie spadł włos z głowy, przeciwnie, on sam nieznacznie awansował, milczał o tych sprawach, na spotkania muzyczne nie przestali przybywać tacy jak on Polacy w służbie rosyjskiej, wśród nich pracownicy Teatrów Rządowych.

Były uczestnik potyczek z Moskałami, Maks, już, o dziwo, w Warszawie, student to prawa, to medycyny, do końca nie wiadomo, mówią, że matematyki, pobladły, coraz bardziej wysubtelniony, ale nie cherlawy, trzymający się prosto, zachwycał wszystkich interpretacją Beethovena, przemyczał Chopina ku radości pań, pachnących po francusku żon szorstkich umundurowanych urzędników. Zażywał wolności, podczas gdy jego koledzy, bardziej lub mniej poturbowani, gnili za życia na Pawiaku albo nabawiali się gruźlicy podczas etapów zesłańczej katorgi. Mniej pechowi utknęli w błotach jakiegось Borysoglebska, szczęśliwi w Charkowie, bo tylko tam, a nie w Królestwie Polskim, wolno im był studiować, udzielać korepetycji i przyzwyczajając się do klatki.

Czy Aleksander poszedłby w ślady Maksa, gdyby Maks cierpiał niedostatek w tym zadziwiająco przychylnym dla polskich malarzy Monachium? Mógłby przecież Maks powiększyć grono wyrobników sztuki, takich jak choćby ułomny Franciszek Streitt, który jak maszynka wypuszczał z pracowni dobre rodzajowe obrazy, właściwie obrazki, łechcące sentymentalną strunkę mieszczan, liczne wersje Pogrzebu ubogiego, śliczną, ale ubogą Szwaczkę; mógłby, tak jak Ludwik Kurella, który do końca pobytu w Monachium, czyli przez całe dojrzałe życie aż do czasu, gdy dopiero na dwa lata przed śmiercią powrócił do Warszawy, nie nauczyć się ani jednego słowa po niemiecku i przez niemal półwiecze malować i sprzedawać niedrogo, jak dziesiątki polskich malarzy, w tym właśnie Streitt i jego opiekun, weteran powstania styczniowego Antoni Kozakiewicz. Maks tak nie musiał. Odkąd rozpoczął w Monachium żywot samodzielnego artysty, był otoczony mirem, został zaliczony do Sztabu w polskiej kolonii artystycznej.

Zaliczany, w Sztabie, choć młody, jeden z najwyższych rangą – ale nie korzystał ani z uprawnień przysługujących „generałowi malarstwa”, ani z patriotycznych, powiedzmy, przywilejów. Mocne, nie zalecające się do widza, płótna doskonale kompozycyjnie, oszczędne kolorystycznie, ale świetliste, malowane z nerwem, który postawia na obrazie i w jego głębi taką tajemnicę, która sprawia, że płótno musi pójść do zahipnotyzowanego widza, wprawdzie



Maksymilian Gierymski,

nie raz umawiał się z kunsthändlerami na fifty–fifty (50 procent dla autora, 50 dla nich), ale kwota!

Za jeden nastrojowy pejzaż Maks Gierymski brał trzydzieści razy więcej niż jego koledzy o dłuższym stażu za wielopostaciowe kompozycje! Jego obrazy dorównywały cenowo kompozycjom najwyższych rangą sztabowców, żyjących jak książęta albo lepsi spekulanci, niektórzy z tych malarzy z z uwielbiającym sztukę księciem regentem na ty, no, może niemal na ty, Wierusza–Kowalskiego, Brandta, Grocholskiego, Czachórskiego. Albo Władysława Aleksandra Maleckiego, krótko rozblęsnę gwiazdździe. Żeby tam świecić, nad Izarą, nie wolno było ujawniać śladu smutku.

Ci ludzie, którzy oprócz talentu i znakomitego warsztatu mieli na podorędziu niezły humor, dysponowali wspaniałymi pracownikami, żyli właściwie jak zamożni rodowici Bawarczycy, obarczani zamówieniami, dawali część roboty młodszym albo ubogim kolegom, sami w ciągu jednego posiedzenia wykańczali to, nad czym ślęczeli ci urzędnicy mniej fortunnie, nadawali szlif maestrii podmalowanym obrazom. Józef Brandt na wakacje wyjeżdżał do kraju, jak szanujący się burżuj. Maks, który nie dość, że uniknął represji, to jeszcze po krótkotrwałym studiowaniu w warszawskiej Klasie Rysunkowej pod okiem Wojciecha Gersona, uzyskał stypendium na studia w Królewskiej Akademii w Monachium... stypendium od samego hrabiego Berga, namiestnika w Warszawie, zachwyconego podarowaną mu kompozycją Maksa. Żył w Monachium bez jakiegos cienia z powodu zakradania się w łaski ciemiężcy.

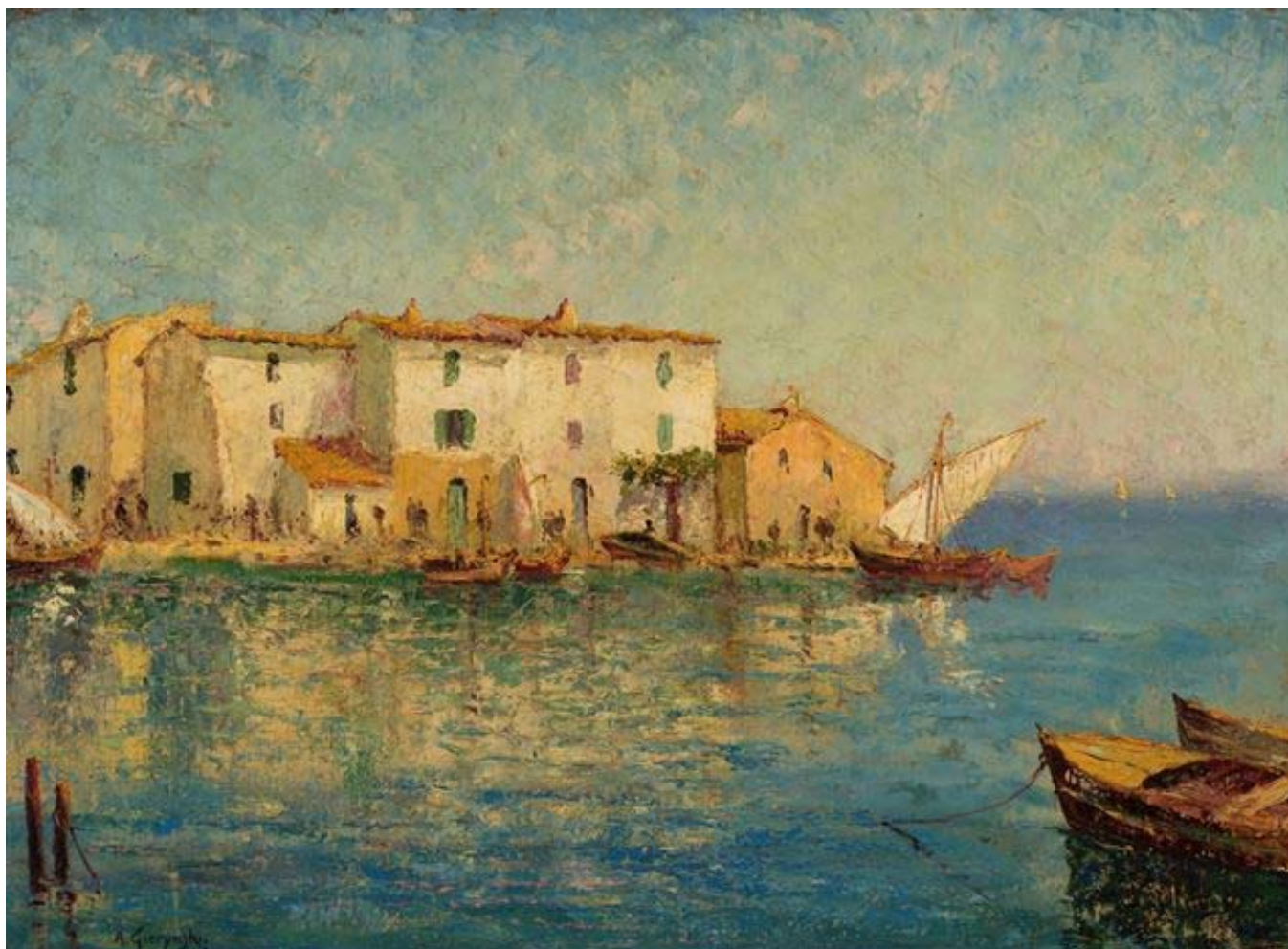
Czyżby w środowisku uznano, że sobie radził? Że dla artysty wszystkie środki – byle nie krzywdzić innych – są dopuszczalne?

Inna rzecz, że szkoda byłoby wielkiego talentu na poniewierkę. Bo ten talent... O!

Więcej niż pewne: gdyby Maks w Monachium biedował, Oleś znalazłby sobie inne zajęcie, choćby jako inżynier w prężnie się rozwijającym kolejnictwie. Pracował tam we warsztatach naprawczych, i bardzo sobie to chwalił, Prosper Dziekoński, zresztą brat wziętego architekta. Tymczasem Maks, nie dość, że wręcz błyskawicznie sławny, zasiał dom rodzinny w Warszawie nie lichym groszem. Wiadomo było, że w banku zgromadził mająteczek. Z malarstwa. Znaczący, z talentu.

Warszawa, pięciopiętrowa kamienica na rogu Kruczej i Pięknej. Kręte schody, od oficyny tej owszem, na ludzki wymiar wypucowanej, drogiej kamienicy. Po kuchennych schodach, za dnia z powystawianymi baliami, rondlami, ożywionych okrzykami służących, mdlących od oparów z gotujących się potraw, nocami, gdy się wraca, ziejących wrogą pustką, wchodziło się na piąte piętro. Pracownia i mieszkanie w jednym. „Ludzi wysokich pięt – powiedział ktoś o malarzach (może wcześniej autor książki przy innej okazji), może zresztą tu, nad Izarą, a może w Warszawie, gdzie zresztą wtedy istniała wiara w to, że artysta w mansardzie, a choćby nawet na strychu, przynosi szczęście domowi. Kamienicznik nie śmiałby zbyt natrętnie przypominać malarzowi o zaległościach czynszowych. Tak było do niedawna, ale już nie jest. Galopujący kapitalizm zabija w ludziach duszę, przygasza fantazję.

Przyjaciele Maksa, i ci z powstania, i ci z salonów monachijskich, wiedeńskich, paryskich, niewielką gromadką zamieszkali najpiękniejszy wówczas i największy Hotel Europejski. Ścisłej – jego strych. Wnętrze nie było przystosowane do potrzeb mieszkalnych, było zimno, bez wody, z jakimś zlewem z kranem



Aleksander Gierymski, *Widok Wenecji*

na korytarzu, lecz a to pomieszczenie wielkie jak sala balowa miało oszklony dach. Dach co nieco przeciekał, ale dawał światło rozproszone, właściwe dla malarzy. Prawie wszyscy młodzi panowie zamieszkujący ten strych kochali się w Helenie Modrzejewskiej. Stanisław Witkiewicz, w kurtce koloru indygo, takiej, jaką noszą robotnicy portowi za oceanem, prekursor, można by rzec, dzinsowego szyku (ogłoszonego sto lat później) pędził jak oszalały za dorozką, która Modrzejewską wiozła z teatru do domu. Adam Chmielowski, drugi obok Witkiewicza intelektualista, a przy tym wybitnie utalentowany kolorystycznie, z protezą w miejscu podudzia utraconego w potyczce powstańczej pod Mełchowem, przyglądał się Modrzejewskiej platonycznym wejrzeniem, uodporniony na romantyczne miłosne uniesienia czarną polewką daną mu niedawno przez Lucjana Siemieńskiego, koryfeusza krytyki plastycznej; nie oddałby romantykowi Luci, córki; on sam, który się przejechał na powstaniu listopadowym i stracił syna w powstaniu styczniowym, i do dziś czuł w kościach mdlący ból represji. Następny bywalec – bo z wypadami do Paryża po tryumfy – Józef Chełmoński, obserwujący malowany obraz przez duposkop, to znaczy stanąwszy doń tyłem i z głową między nogami, badał harmonię i siłę kompozycji – i zarówno sposób, jak i nomenklatura były jego patentem.

Maks bywał u nich na strychu w tygodniach, kiedy odwiedzał na Zatyłkach rodziców i siostry. Nie bardzo pasował

do towarzystwa cyganerii z Europejskiego. Oni rzadko się myli, mieli podarte buty albo parę porządnych na dwóch, na zmianę, zrudziałe ubrania, celowo posługiwali się wolapikiem podmiejskiej gwary, żargonu i sobie tylko wiadomych szyfrów – on wyświeżony, możliwe, że wprost od fryzjera, wyprostowany, gibki dzięki ćwiczeniom fizycznym, nie przypominał artysty; wyglądałby na fabrykanta, rentiera lub bankiera, gdyby nie twarz, oczy, łagodność, rodzaj nienachalnej bystrości i jasne, niebieskie, świetliste oczy. Czystość, jakaś autentyczne, by tak rzec, inteligencja. W twarzy okolonej miękkim zarostem, wypielęgnowanej, może ze śladami oficjalnego chłodu, one zdradzały czułą otwartość na drugiego człowieka.

Oczy braci sprawiały, że różnili się znacząco. Aleksander, o trzy lata i dwa miesiące młodszy od Maksa, początkowo robił wiele, aby się upodobnić do brata (ale jak to uczynić, kiedy się nie ćwiczy, nie fechtuje i nie jeździ konno?), był zgoła odeń różny, nawet wtedy, gdy zganiony przez brata za niechlujstwo, kupił sobie nowy, taki sam jak Maks nosi, szapokłak. Innym czyniły go oczy: ciemne, osadzone blisko siebie, głęboko, ale o spojrzeniu chmurnych źrenic, jak gdyby przepalających tę część twarzy. Niby natarczywie wnikliwych, a przecież gorących tak, że czuło się bijący od nich efekt przepalania żywym ogniem – jak od pieca. Ale też nie, piec przecież daje dobre ciepło, a niebezpieczeństwo

zamknięte jest w jego wnętrzu. A oczy Ola były niebezpieczne. Nie ciepło. „Gorące” – którego należy unikać.

W dwóch pokojach na czwartym piętrze kamienicy w Monachium bracia mieli pianino, stertę nut, samowar, komplet szklanek talerzy, poza tym dwie, niekiedy trzy sztalugi, trochę książek i gazet, utensylia malarskie – farby olejne w tubach w niewielkim wyborze. Z tego, ktoś by pomyślał, niedostatku, potrafili wydobywać zdumiewająco barwne zestawienia. Tej sztuki uczył Olesia Maks – niby mimochodem.

Dlaczego Aleksander nie pozostawał w rodzinnej Warszawie dłużej niż kilka tygodni? Nie tylko dlatego, że był artystą, uważał się za wolnego człowieka i uwielbiał przekraczać granice, ale z tego samego powodu, dla którego przed opuszczeniem nory w Hotelu Europejskim z widokiem na niebo i osiedleniem się w Zakopanem, tak mówił ubrany w błękitne drelichy Stanisław Witkiewicz (niebawem ojciec Witkacego, którego rodzicami chrzestnymi będą Helena Modrzejewska i Sabała, ale dopiero po latach, kiedy Helena, niezagojona miłość Witkiewicza, zajędzie do kraju z Ameryki):

„ – Właściciele olbrzymich fortun będą się długo zastanawiali nad kupieniem jakiejś rzeźby lub obrazu i ani na chwile nie zawahają się nad wydaniem balu, sprawienie zbytkownych strojów, które w jeden wieczór pochłoną sumy mogące pokryć koszty wytworzenia niejednego dzieła sztuki, którego wartość nie tylko nie maleje, lecz zwiększa się z przebiegiem wieków i staje się wprost bezcenna”.

„Przebieg wieków” nie obchodził filistrów. Aleksander, dla którego Francuzi byli „narodem trudnym do zrozumienia”, ale twierdził, że mają bogate natury, przy których, jak utrzymywał, my, Polacy, jesteśmy kmiotkami, wołał żyć w Paryżu niż „między Niemcami, już nie mówię o naszej kochanej ojczyźnie w Warszawie”!

Kiedy się rozpoczęła jego wędrówka? Nie wtedy, kiedy jeździł w ślad za bratem lub z nim. Wtedy bowiem on wydawał się Maksymilianowi bagażem, a jemu Maksymilian balastem. Później, zaraz po śmierci Maksa, nigdy nie były to podróże sentymentalne, a choć we Włoszech szukał polskich pamiątek, nie było w tym patriotycznej idei, tylko pomysł, robił to bowiem na prośbę, trudno orzec, czy polecenie wydawcy, pana Lewentala, który mu dawał robotę – więc robił Aleksander te drobiazgowo rysowane, niekiedy z fotograficzną dokładnością, motywy polskie – na klockach przeznaczonych do rytowania przez drzeworytników i reprodukowania w Kłosach, potem i gdzie indziej. Było trochę śmiechu, bo to, co w druku miało się pojawić po prawej stronie, trzeba było rysować na tym klocku po lewej. I podpis w lustrzanym odbiciu, jak na kauczukowej pieczęcie.

Te podróże to odzwierciedlenie neurozy mizantropa, który, utrzymując, że „nie pasuje do jakichkolwiek ludzi na świecie – tak samo i w Warszawie”, pisał:

„Głupio jest żyć z wymaganiami trochę lepszymi, kiedy się jest starszym, a żyło się dotąd w świecie, którego się chciało, pragnęło, żeby był, przyzwyczało się do niego, jak gdyby był, jeżeli nie tam, gdzie my jesteśmy, to gdzie indziej. Gdzie, nie wiadomo – ale się go nie znajdzie!”

Szukał drogich okrucich tego świata w obrazach, które powstawały i które miały powstać. Których wreszcie – podobnie jak w sytuacji Adama Chmielowskiego – nie było. Artyści, chandrycząc się o należne pieniądze, z których wypłacaniem przyzwyczajono się zwlekać, schorowani, o twarzach posiniałych od niedospanych nocy, od alkoholu, od zimna, nosili w sobie i wokół siebie wizje. Wizje nie umykały, narzucały się nieraz, drażniły – trzeba było tylko usiąść. Ale w takim zgiełku?

Stanisław Witkiewicz, sam znakomity, niedoceniony malarz realista, bliski hiperrealizmowi do tego stopnia, że można by go zaliczyć do prekursorów kierunku, napisze po latach, w związku z rzuconą przez się tezą „krystalizacji psychicznej”:

„Między członkami s z t a b u znajdował się człowiek, który na całą prawie grupę wywierał wpływ szczególny, którego umysł głęboki i logiczny wcześniej niż czykolwiek dotarł do najszlachetniejszych pojęć o sztuce i jej stosunku do ludzkiej duszy, to Adam Chmielowski, dzisiejszy Brat Albert [od niedawna święty] III zakonu św. Franciszka. Maks Gierymski w swoich pamiętnikach stwierdza rozstrzygający wpływ Chmielowskiego na rozwój i ustalenie się kierunku swego talentu. Był to wpływ uświadamiający indywidualne cechy i wyswobadzający duszę z pęt szkolnictwa i utartych komunałów. Jednocześnie Chmielowski będąc słabym rysownikiem, posiadał nadzwyczajny talent kolorystyczny i matematycznie wierne poczucie tonu”.

Podkreślając, że zdanie Chmielowskiego było rozstrzygające, a rady udzielane kolegom słuszne i skuteczne, zauważał coś, co na sto procent nie uszło uwagi młodego Aleksandra, że mianowicie na „podstawach głębokiego umysłu i wielkiego artyzmu opierała się jego powaga i znaczenie, nie na zewnętrznych oznakach powodzenia, którego nie miał gdyż nigdy nie był «verkäuflich»”.

Aleksander brzydził się powodzeniem i powodzenia pragnął!

Fragment nie ukończonej jeszcze *vie romancée* o Maksymilianie i Aleksandrze Gierymskich.

BEATA ZALOT

KOSTKA



Myśl, że zamieszka w wielkim mieście, w którym są teatry, kina, kawiarnie, biblioteki, kościoły, sklepy, była bardzo podniecająca. I tylu przystojnych chłopców. Dostała się na studia, na wymarzony kierunek, mimo że na jedno miejsce były aż cztery osoby.

Przyjechała z małej wioski, w której był jeden sklep, jeden kościół, jeden bar, jedna remiza i kilku chłopaków, ale tylko jeden, w którym mogłaby się zakochać. Gdyby ją kiedyś zauważył.

Blisko domu miała las, rzekę, a za wsią wzgórze, na które uciekała, kiedy chciała być sama. To była jej święta góra, miejsce medytacji. Miała też wiele tajemnych kryjówek, ścieżek i drzew, na które uwielbiała się wspinać. Na wsi wszędzie pachniało. Kwitnącym bzem, różami, maciejką, jaśminem, skoszoną świeżą trawą, wykrochmalonym praniem, wyszorowanymi drewnianymi podłogami, gotującą się kapustą, pszczelimi plastrami i gnojem wczesną wiosną. Każda pora roku, dnia, każde zajęcie, miejsce – wszystko miało swój zapach. Były też dźwięki. Ważne dźwięki przenikające ten jej mikroświat. Potok zazwyczaj szmerzał, tylko w czasie powodzi z daleka słychać było jego złowieszczy huk. Wzruszająca była muzyka pszczoł zawieszona na lipie, kiedy drzewo kwitło na biało. Grały dzwony w kościele na Anioł Pański. I obwieszczały śmierć, gdy ktoś odchodził. Dziadek grał wieczorami na trąbie. Mleczarz dzwonił metalowymi bańkami, zanim zdążyła rano otworzyć oczy. Mieszkała w sąsiedztwie mleczarni, a raczej zlewni mleka, bo to były czasy, kiedy gospodarzyli wszyscy. Nawet proboszcz miał przy plebanii oborę, a w niej kilka krów. W melodii układało się ujadanie psów, kiedy drogą szedł ktoś obcy. I słowa dwóch sióstr, które mieszkały kilka domów dalej. Wtedy te kobiety wydawały jej się bardzo stare, choć tak naprawdę mogły mieć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Zawsze przed halnym wychodziły na drogę i kłóciły się o jakieś majątki. Krzyczały i wyzywały się tak, że pół wsi uczestniczyło w tym widowisku. Było je słyhać z daleka, ale warto było też podejść bliżej i obserwować rozwój akcji. Przy odrobinie szczęścia można było zobaczyć, jak któraś obraca się tyłem do tej drugiej, ściąga wielkie majty i wypina goły tyłek. To był szczyt poniżenia przeciwniczki. Wszystkie te dźwięki, obrazy, zapachy wydawały się odwieczne, niezmiennie. Nigdy nie pomyślała, że będzie jej tego wszystkiego kiedyś brakowało.

Cieszyła się bardzo z wyjazdu do dużego miasta. Szybko jednak radość zamieniła się w przerażenie. W domu studenckim mieszkało kilkaset dziewczyn, w każdym pokoju po kilka. Kiedy wchodziła do łazienki, zawsze ktoś się mył albo korzystał z toalety.

Te odgłosy ją irytowały. Prawie nigdy nie udawało jej się być samej w pokoju. Tłoczno było na ulicach i na uczelni. Nie mogła znaleźć miejsca, w którym choć przez chwilę mogłaby być zupełnie sama. Lubiła uniwersytecką bibliotekę, bo tam, choć zawsze były jakieś osoby, to przynajmniej można się było nacieszyć ciszą. No i był zapach odmienny od innych - zapach starych książek.

Najpotworniejszą rzeczą w mieście były jednak wciąż ryczące karetki. Za każdym razem, gdy słyszała charakterystyczny sygnał, wpadała w panikę. Miała poczucie, że ktoś właśnie umiera, więc modliła się do swojego Boga prosząc, żeby zajął się tym kimś nieznanym. Wydawało jej się, że miasto jest miejscem wiecznego cierpienia i śmierci. Nie było tu też czym oddychać. Ciągle łąpała powietrze, jakby była rybą wyciągniętą z wody. Wstydziła się tego. Bała się, że miasto w końcu ją udusi. Gdy tylko wysiadała z autobusu w swojej rodzinnej wsi, oddychała pełną piersią. Bez problemu.

Wszystkie te rzeczy przestały być aż tak ważne, kiedy pojawił się on. Chłopaków było na roku tylko kilku. A wśród nich ten, który wybrał właśnie ją. Mądry, odcytany, przystojny. Z miasta. Pokazał jej literaturę, której nie знаła - Novalisa, Faulknera, Eliadego, Jesienina. Pod jego wpływem zaczęła interesować się gnozą, psychoanalizą. Czytała pisma mistyków. To były zupełnie inne rzeczy, od tych, którymi do tej pory się zachwycała. Pokazywał jej też muzykę. Zabrał ją do filharmonii na *Mesjasza* Haendla. Była pierwszy raz w filharmonii. Nie zachwyciła jej ta sztuczność, światła, które rozpraszały, zamiast pomóc w skupieniu się na muzyce, jednak dźwięki były cudowne. Chodzili też razem na koncerty kameralne, które odbywały się w kościołach. I pokazał jej *jazz*, zabierał do klubów w centrum. Dzielił się z nią sekretnymi miejscami w mieście. Nauczył ją chodzić patrząc w górę. Na nowo odkrywała ulice, które znała wcześniej. I pokazał jej chyba wszystkie kościoły w mieście. Prawie wszystkie. I wszystkie ładne miejsca. I stare forty, i parki, i muzea. I podwórka, bramy, strychy i ogrody. Podczas jednego z pierwszych spotkań wymyślił, że miejsca spotkań będą wyznaczać rzucając kostką. Najpierw losowali rewir, w który będą się zapuszczać, potem ulicę, a na koniec numer, pod którym się spotkają.

Ponieważ nie znała dobrze miasta, na randkę wyruszała z godzinnym wyprzedzeniem. Nie wiedziała, na którym przystanku ma wysiąść, czasem jeden numer domu był tuż przy drugim, czasem budynki były od siebie oddalone. Bywało, że się nie odnajdywali. Wtedy mieli ustalone, że wracają na Rynek Główny i czekają na siebie pod Kalinką, księgarnią z rosyjskimi książkami

i płytami. I z kolorowymi albumami z reprodukcjami obrazów słynnych malarzy. Takich albumów w polskich księgarniach nie było. Dlatego, kiedy któreś z nich czekało na drugie, mogło zanurzyć się w świecie malarstwa europejskiego zagrabionego przez ruskich. Kolekcje Ermitażu poznała w ten sposób doskonale, lepiej niż gdyby odwiedziła Leningrad. Była zachwycona chłopakiem, jego wiedzą, pomysłami, jego „magiczną” kostką. Trudno było się z nim nudzić.

Kiedyś okazało się, że los wyznaczył im randkę dokładnie przed wejściem na Cmentarz Raclawicki. Była na miejscu, zanim on się pojawił. Zapadał zmrok, w pobliżu kręcili się jacyś dziwni mężczyźni, którzy najprawdopodobniej pomiędzy mogiłami popijali tanie wino. Innym razem kostka wskazała im miejsce na Krzemionkach.

– Wiesz, że kiedyś była tu szubienica? – powiedział. – Stracono tu setki ludzi. To tu został też powieszony Kostka-Napierski – opowiadał.

Znała to nazwisko dobrze, w miasteczku, w którym chodziła do szkoły, była nawet bursa jego imienia. Na początku nie wiedziała, kim był Aleksander Kostka-Napierski. Myślała, że to jakiś komuch. Dopiero gdy przeczytała opowiadanie Tetmajera, jakoś pod koniec podstawówki, zainteresowała się tą fascynującą postacią i do dziś nierozwiązanymi zagadkami z jego życiorysu. Przywódca chłopskiego powstania, rzekomy syn króla, być może szpieg. Postać prawdziwie romantyczna. Komuniści go hołubili, bo stanął na czele powstania chłopskiego na Podhalu. Teraz stała w miejscu jego stracenia. Coś jej jednak nie pasowało, bo wiedziała, że Kostkę-Napierskiego nabitą na pal.

– Nie zginął na szubienicy. Przygotowano dla niego pal, na który został nabity, dopiero potem jego ciało powieszono na szubienicy – potwierdził jej towarzysz, kolejny raz zaskakując swoją rozległą wiedzą. Okazało się, że o podhalańskim rebeliancie wie więcej niż ona. Opowiadał o torturach, którym został poddany. To podczas nich miał wyznać, że jest synem króla Władysława IV.

Temat Kostki-Napierskiego skierował ich rozmowę na Tetmajera, którego ona bardzo lubiła, szczególnie jego opowiadania. Okazało się, że chłopak także, szczególnie jedno. Bohaterem tej opowieści jest stary niedźwiedź, którego zabobonnie boją się pasterze. A stąd już niedaleko było do Williama Faulknera, który także poświęcił opowiadanie temu drapieżnikowi. I tak Faulkner zdominował resztę wieczoru, zakończony jak zwykle w jednej z kawiarni.

Kolejnym razem kostka wyznaczyła im spotkanie na ulicy Meiselsa. Kazimierz był jeszcze wtedy dzielnicą niebezpieczną, pełną bram z podejrzanymi typkami, pijaczkami, którzy zaczepiali przechodniów, wyłudzaali od nich pieniądze, czasem w agresywny sposób. Po zmroku raczej nie należało się tam zapuszczać. On był jednak zachwycony.

– Ty wiesz, że na Meiselsa mieszkał Karol Kot? Jej to nazwisko nic nie mówiło.

– Nie wiesz, kim był Kot? Całe dzieciństwo babka mnie nim straszyla – był zdziwiony, że psychoza, która w latach sześćdziesiątych XX wieku ogarnęła całą Kraków, nie dotarła na Podhale.

– To był wampir o wyglądzie miłego chłopca – zaczął opowiadać. – Chodził do szkoły średniej. Atakował starsze kobiety, jedną dźgnął nożem w kościele. Lubił mordować też dzieci, a tak

naprawdę planował zbiorowe zabójstwa, chciał na przykład wsypać arsenik do wodociągów. Chłopak wiele o nim wiedział, nie pamiętał jednak, w której kamienicy mieszkał „wampir”. Gdy następnego dnia spotkali się znowu na Meiselsa w wylosowanym miejscu, chłopak wziął ją za rękę, podprowadził kilka metrów i powiedział: – To tu, kamienica nr 2. Sprawdziłem.

Wyciągnął z kieszeni wymiętą kartkę i zaczął czytać:

Śnieg w kościołach

Śnieg w bramach

Śnieg pod Kopcem Kościuszki[...]

Wiersz zaczynał się ładnie i niewinnie.

Nie, nie zasłaniaj

nie zasłonisz

zostaw

no, no, no jeszcze trochę bardziej odkryj

lubię jak krwawisz [...]

Wymownie zawiesił głos i spojrzał na nią.

wziąłem duży rozmach

i ściałem jednocześnie

chłopca

śnieg

powietrze

swój kręgosłup

łodygę

– To Marcin Świetlicki – wyjaśnił. – A ta zima to dlatego, że Kot zawsze mordował w zimie – dodał. Chwycił za klamkę bramy. Była zamknięta. Przeszedł na drugą stronę i spojrzał w górę. – Mieszkał na drugim piętrze – powiedział.

– Ładny wiersz – dziewczyna nie przepadała za Świetlickim, ale nie kłamała. Te strofy jej się spodobały.

Wtedy bardziej niż z wierszy, znała Świetlickiego z krakowskich knajp, w których upijał się i udawał gwiazdę, zanim naprawdę zdobył popularność. Chłopak tym razem nie miał ochoty rozmawiać o poezji, chciał jej powiedzieć wszystko, co wiedział o słynnym krakowskim mordercy, o którego istnieniu ona nie miała pojęcia.

Karol Kot pochodził z inteligenckiej rodziny. Chodził do technikum energetycznego. Fascynowało go wszystko, co było związane z bronią, wojskiem, strzelectwem. Uwielbiał noże. Kolekcjonował przedmioty, które mogły służyć do zabijania. Noże, trucizny, karabinki. Ponoć gdy był mały, lubił znęcać się nad zwierzętami. Kopał psy, wymyślał tortury dla kotów. Zabił żaby, kury. W wakacje jeździł z rodzicami do Pcimia. Chodził tam do rzeźni i patrzył, jak zarzynają cielecia. Chwalił się, że tam nauczył się pić ciepłą krew.

Nie mogła tego słuchać, zrobiło jej się niedobrze. Chłopak był wyraźnie zafascynowany postacią Kota. Zaprowadził dziewczynę pod kościół Sercanek przy Garncarskiej.

– Kiedyś Kot wszedł do tego kościoła i dźgnął nożem modlącą się kobietę. Zrobiło to tak nieudolnie, że staruszka nawet nie zauważyła, że jest ranna. Odkryła to dopiero w domu – opowiadał. Weszli do pustego kościoła. W pierwszej ławce siedziała jakaś kobieta.

– Był nieudacznikiem. Dwa dni po pierwszym ataku znowu rzucał się na staruszkę, tym razem na ulicy. I znowu nie udało mu się jej zabić – ściszył głos, byli przecież w kościele. – Ale trzecia kobieta nie miała już tyle szczęścia – ciągnął.

– Zamordował ją przed kościołem, nie pamiętam którym. Chyba św. Jana. Zginęła od ciosu w plecy. Gdy to mówił, jego oczy błyszczały.

Zaniepokoiła się. Pomyślała, że to dziwne, że podczas tych losowań, co raz trafiają w takie straszne miejsca. I że on tyle o tym potrafi powiedzieć, jakby miesiącami studiował losy osób związanych z tymi miejscami wyznaczonymi przez los.

– Choć urodziłem się w roku jego stracenia, to w dzieciństwie ciągle słyszałem o Kocie – mówił. – To była zbiorowa psychoza – dodał. Ponoć starsze kobiety, wychodząc na ulicę, chowały pod ubraniami poduszki czy kawałki blachy. Kot opowiadał kolegom w szkole o swoich wyczynach, ale nikt mu nie wierzył. A milicja rozpaczliwie szukała sprawcy. Karol tymczasem obmyślał kolejne zbrodnie, marzyły mu się masowe morderstwa. Dlatego postanowił zostać trucicielem. Zostawiał w bramach butelki piwa z arsenianem sodu. Kiedyś dolał trucizny do octu w barze Przy Błoniach. Nie udało mu się w ten sposób nikogo zabić, bo ocet zneutralizował truciznę. Nie udało mu się także zamordować kolegi, któremu dosypał trucizny do termosu z kawą.

– Chęć zabijania łączyła się u Kota z perwersjami erotycznymi – powiedział po chwili. Nagle zamilkł. Pewnie postanowił oszczędzić jej szczegółów.

– Dwa lata od zamordowania staruszki, w lutym sześćdziesiątego szóstego, Kot przechadzał się w okolicach Kopca Kościuszki. Zauważył chłopca z saneczkami. Zagadnął go, a potem zadał mu jedenaście ciosów nożem – chłopakowi przypomniawszy się kolejna historia związana z jego ulubionym mordercą. Zanim milicja go zatrzymała, zaatakował jeszcze raz, dwa miesiące później. Mała dziewczynka zesłała do skrzynki na listy i wtedy dostała kilka ciosów kordelasem. Przeżyła i dokładnie opisała swojego oprawcę. Fakty skojarzyła też niedoszła dziewczyna Kota, studentka Akademii Sztuk Pięknych, która zgłosiła się na policję. Ją też próbował kiedyś zgwałcić i zamordować. Gdy milicja zapukała do drzwi kamienicy pod numerem drugim przy Meiselsa, Kot przygotowywał się do matury. Od razu przyznał się do winy. Był wręcz dumny z dokonanych zbrodni, opowiadał o nich ze szczegółami. Barwnie mówił też o tym, czego nie zdążył jeszcze zrobić.

Swoją opowieść chłopak kontynuował w pobliskiej kawiarni.

– Zapomniałem ci opowiedzieć o najważniejszej rzeczy. Wiesz, że Kot urodził się dokładnie w tym samym dniu co ty – osiemnastego grudnia? – patrzył na nią uważnie zza kłębow dymu papierosa.

– Kot, Stalin i ty – wszyscy urodzeni 18 grudnia – śmiał się. – Chyba powinienem się ciebie bać – głąskał ją czule po ręce. – Bój się, bój – odrzekła z uśmiechem.

– Co było dalej z tym Kotem? Siedzi jeszcze w więzieniu, czy skazali go na śmierć? – zapytała. – Powiesili go – odpowiedział. – Dwa miesiące przed moim urodzeniem. Wyobraź sobie, że jak zrobili mu sekcję zwłok, okazało się, że miał guza mózgu. Pewnie to było przyczyną jego dziwnych upodobań – stwierdził.

– Ciągłe trafiamy w jakieś miejsca, w których albo była szubienica, albo jest cmentarz, albo mieszkał jakiś psychopata – zauważyła.

– Tak to już jest w dużym mieście – zbagatelizował jej spostrzeżenie. – Co krok natrafia się na miejsca oznaczone czyjąś śmiercią.

Niedługo potem spotkali się na ulicy Szczepańskiej.

– Ale heca! – chłopak znowu był podekscytowany. – Wiesz, że gdzieś tutaj Emil Pasternak zamordował gościa, u którego pracował? Potem zabetonował go w betoniarnie pozostawionej po remoncie kamienicy – zaczął opowiadać innym razem. – To też był seryjny morderca, ale udowodnili mu tylko jedną zbrodnię.

Słuchała jego opowieści z coraz większym niepokojem. Nie miała już nawet ochoty na jego pieszczoty.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała, wyrrywając się z jego objęć.

– To była głośna sprawa, opisywana w gazetach. A poza tym lubię takie historie – wyznał.

Na szczęście podczas kilku kolejnych wylosowanych spotkań nie trafiali na żadne cmentarze ani miejsca zbrodni. Przestał opowiadać o makabreskach, które serwował jej przez ostatnie kilka tygodni. Dziewczyna zapomniawszy o swoich niepokojach. Znowu była zachwycona chłopakiem, bo tak zaczęła już o nim myśleć. Mieli coraz więcej wspólnych tematów, przeczytanych razem książek, ulubionych miejsc. Zachwycał ją czułością i delikatnością. Czuli się przy nim piękna i wyjątkowa. Czasem tylko zdarzały mu się głupie napady zazdrości. Bywał chimeryczny, a jego nastroje zmieniały się kilka razy w ciągu jednego spotkania.

Kiedyś oznajmił, że zabił babkę. Kobietę, która wychowywała go po śmierci matki. Ze stoickim spokojem powiedział, że kolejny raz się pokłócili. Nie wytrzymał. Wziął kuchenny nóż i po prostu ją zadźgał. Że dokładnie nie pamięta, jak to się stało, ale babka nie żyje. Że ciało zaniósł do łazienki i włożył do wanny. Że nie wie, co z nim zrobić. I że wszędzie jest krew. Na początku mu nie wierzyła. Myślała, że się wygłupia. Ale gdy opowiedział wszystko ze szczegółami, naprawdę się przerażyła. Widząc w jej oczach przerażenie, powiedział ze spokojem, że dziś jeszcze nie zabił babki, ale że na pewno to kiedyś zrobi.

Wkręcił ją kolejny raz, lecz ta opowieść zaniepokoiła ją bardziej niż inne przez niego wymyślone.

Następna randka wypadła przy Muzeum Archeologicznym.

– A wiesz, że kiedyś było tu więzienie świętego Sebastiana? – powiedział, kiedy spotkali się w miejscu wyznaczonym przez kostkę. – Chcesz wejść do środka? Za Austriaków wieszali tu skazańców. Ogień, ten partyzant z twoich stron, odbił stąd swoich ludzi w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku. – powiedział.

Nie słuchała. Wciąż była zła za opowieść o babce, a na oglądanie jakichś eksponatów sprzed kilku tysięcy lat nie miała ochoty. Nie lubiła archeologii – ani skorup, ani pradawnej biżuterii. Nie obchodziły jej też żadne więzienia.

Przyniósł wiersze jakiegoś francuskiego poety i popisywał się znajomością zupełnie obcego jej języka. Kazał zachwycać się melodią fraz. Była dla niego niemiła i złośliwa. Zdarzało jej się to rzadko, bo traktowała go trochę jak swojego duchowego nauczyciela. Na każdy temat wiedział więcej, był bardziej oczytany i nawet w seksie też miał o wiele większe doświadczenie. Szczególnie że ona tak naprawdę nie wiedziała na ten temat nic, a jej poprzedni chłopak posunął się tylko do trzymania jej za rękę i kilku pocałunków. Dziś jednak nie miała ochoty na nic, także

na rozmowy o literaturze. Jej „guru” był coraz bardziej irytujący. Chciała jak najszybciej wrócić do akademika, do świergoczących koleżanek i imprezowych kolegów, którzy tłumnie odwiedzali ten ostatni w mieście żeński akademik. Wszystkie inne domy studenckie były już koedukacyjne. Chłopak namówił ją jeszcze na herbatę w jakiejś knajpie przy Grodzkiej, a potem odprowadził.

Wieczorem, kiedy już leżała w łóżku i na złość chłopakowi zaczytywała się w polskiej poezji, dla której on nie miał szacunku, zaczęła zastanawiać się nad wylosowanymi miejscami ich spotkań. I nad dziwnymi zainteresowaniami chłopaka i jego wybuchami agresji. Przypomniała sobie, że kiedyś, na początku ich znajomości, dostał furii, gdy zobaczył na jej biurku kartkę z telefonem ich wspólnego kolegi. Wtedy nie uważała go jeszcze nawet za swojego chłopaka. Podobał jej się i była zachwycona tym, że ona podoba się jemu. Nagły wybuch złości i zazdrość tylko jej pochlebiali. Śmiała się, gdy powiedział, że jeśli tamten się do niej tylko zbliży, to go zamorduje. Teraz ta groźba nie wydawała jej się już taka śmieszna. Zaczęła być bardziej ostrożna. Obserwowała go. Zapisywała też wylosowane adresy ich spotkań. Ulica Marii Curie-Skłodowskiej 15, Lubostroń 1, plac Mariacki, plac Biskupi. Wracała do tych miejsc. Wypytywała ludzi. Szukała informacji w czytelnici. Wertowała stare gazety. Od pijaczka w bramie przy Curie-Skłodowskiej dowiedziała się, że przed wojną, gdy ta ulica nazywała się jeszcze Pańska, w tym właśnie miejscu pewne małżeństwo zamordowało listonosza.

– Nazywali się Maliszowie – przypomniał sobie facet, gdy już z biciem serca odchodziła. Z przerażeniem wertowała kolejny artykuł o Władysławie Mazurkiewiczu, seryjnym mordercy, który mieszkał przy placu Biskupim. Wynajmował tam garaż, w którym zabetonował ciała dwóch swoich sąsiadek. Dokładnie w tym miejscu całowała się ze swoim chłopakiem pierwszy raz. Mazurkiewicz nazywany był eleganckim zabójcą. Informacje o nim czytała z wypiekami na twarzy. Był inteligentny, pachniał drogimi perfumami, spiał w najdroższych hotelach, obracał się w doborowym towarzystwie.

Oficjalnie zajmował się handlem skórą, butami i innymi trudno dostępnymi w powojennych czasach dobrami. W czasie okupacji miał ponoć układy z Gestapo, a po wojnie z UB, dzięki czemu mógł bezkarnie zajmować się nielegalnymi interesami. Dziewczynę szczególnie zainteresowała historia siostr mieszkających w sąsiedztwie Mazurkiewicza. Śledczy zupełnie przez przypadek zwrócili uwagę na podłogę w garażu, zdziwił ich inny odcień betonu w jednym miejscu. Gdy go rozkuli, zobaczyli dwa rozkładające się już ciała kobiet. Okazało się, że to sąsiadki Mazurkiewicza, siostry de L., które zaginęły pół roku wcześniej. Mazurkiewicz przyznał się do tej podwójnej zbrodni. Wyznał, że kilka lat wcześniej jedna z zamożnych siostr de L. dała mu na przechowanie pieniądze i biżuterię. Mazurkiewicz wszystko roztrwonił, a kiedy sąsiadka zaczęła się upominać o zwrot drogocennych przedmiotów, postanowił ją zabić. Musiał też zamordować jej siostrę, która o wszystkim wiedziała. Dokładnie zaplanował zabójstwo. Obie panie zaprosił do swojego garażu rzekomo w celu zwrotu kosztowności. Z obydwojma umówił się w tym samym dniu, lecz o innej godzinie. Zastrzelił je z rewolweru. Ciała ukrył we wcześniej wykopanej w garażu dziurze, a następnie zalał betonem. Okazało się potem, że mógł zamordować nawet trzydzieści osób, strzelając do nich z rewolweru albo trując. Mordował dla zysku. Chłopak znał dokładnie historię Mazurkiewicza, była ona w Krakowie równie głośna jak historia Karola Kota. Ale dlaczego nic jej na ten temat

nie powiedział? Bał się, że ją spłoszy? Przestraszy? To jakaś paranoja. Przecież uczestniczę w tym losowaniu, miejsca wyznacza kostka. Jak to wszystko jest możliwe? – zastanawiała się.

Może podzieliłaby się swoimi wątpliwościami z chłopakiem, jednak kolejna randka wypadła na przedmieściach, w odludnym Kobierzynie. I znowu była naznaczona śmiercią. Przy skrzyżowaniu, gdzie kostka wyznaczyła im spotkanie, był cmentarz choleryczny. Tym razem jej o tym powiedział, ale ona nie chciała drążyć tematu. Pokazać, że się boi, że wydaje jej się podejrzany. Może ta kostka jest jakaś specjalna, może on wpływa na wyniki losowania? Albo może to sugestia, hipnoza? Przypomniała sobie, że mówił jej kiedyś o swoich zainteresowaniach zjawiskami paranormalnymi. Coraz bardziej się go bała. Kiedy dokąś z nim szła, zawsze szukała wzrokiem jakichś ludzi, szerokim łukiem omijała bramy, do których mógłby ją wciągnąć. Może jest seryjnym mordercą, wybiera panienki takie naiwne jak ona, które niedawno przyjechały do Krakowa? A potem oprowadza je po mieście pod pretekstem pokazywania ciekawych miejsc i na końcu morduje. Chłopak wyczuł, że jego sympatia dziwnie się zachowuje. Kiedy spotkali się po raz kolejny, histerycznym głosem zapytała wprost, co się stało przy tej ulicy, w budynku, przed którym stoją. Nie zdążył odpowiedzieć, kiedy zauważyła na podwórzu małą tabliczkę z napisem „Prosektorium”. Wpadła w panikę.

– Kochanie, uspokój się. Co ci jest? Co się stało? Co się z tobą dzieje? – próbował ją uspokoić. Jego czułość tym razem podzielała na nią jak płachta na byka.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła wyrывая się. Płakała. Pierwszy raz przy nim płakała. Nie mogła powstrzymać szlochu. Był zdezorientowany. Nie wiedział, jak się zachować. Odprowadził ją pod sam akademik. Przez kilka następnych dni nie przychodził na zajęcia. Nie dzwonił. Ona za nim tęskniła, brakowało jej rozmów z nim, czułości. Jednocześnie się go bała. Nie wiedziała, co robić. Raz myślała o nim jak o psychopacie, innym razem była przekonana, że to ona powinna się leczyć. Szukała informacji o jakichś tajemniczych zaginięciach młodych kobiet w Krakowie w ostatnich latach, o niewyjaśnionych morderstwach. Jednak nie znalazła niczego, co mogłoby ją zaniepokoić, o co mogłoby go podejrzewać. Gryzła się w ten sposób chyba z trzy tygodnie.

W końcu nie wytrzymała. Było już późne popołudnie. Poszła na postój taksówek. Znała adres jego domu, chociaż nigdy jej do siebie nie zaprosił. Dom stał w głębi ogrodu, był niewidoczny z ulicy. Prowadziła do niego ścieżka pomiędzy rzędami pachnących róż. Dalej rosły stare drzewa, w których pohukiwały sowy. Gęste krzaki. Najpierw ogród wydał jej się piękny, a potem straszny. Jak z horroru. Pomyślała, że jest już późno. W drzwiach przywitała ją starsza kobieta, jego babka. Była bardzo miła, zupełnie inna niż osoba, o której opowiadał. I przede wszystkim żyła. Jego nie było. Nie została nawet na herbacie, którą zaproponowała starsza pani. Ogarnął ją smutek. Czuła, że to koniec. Nie pojechała tam drugi raz. On także jej już nie szukał. Kiedyś zobaczyła go przez szybę w kawiarni, do której jeszcze niedawno chodzili razem. Przy Floriańskiej. Zawsze wybierał stolik przy oknie, tak, żeby można było obserwować to, co dzieje się na ulicy. Siedział z ładną dziewczyną. Nie patrzył na przechodniów, wpatrywał się z zachwytem w swoją towarzyszkę. A ona właśnie rzucała kostką.

KRYSTYNA HABRAT



NIEZNAJOMA Z SIEDEMNASTKI

Tramwaj przed południem był pustawy. Kupiła u konduktorki bilet i usiadła bez obawy, że zaraz będzie musiała ustąpić miejsca jakiejś osobie starszej.

Jak zwykle, wyciągnęła z torby zeszyt i zagłębiła się w jego treść. Zawsze tak robiła, jadąc pół godziny tramwajem, czasem dłużej, bo z przesiadką na rondzie. Nawet, gdy stała w tłoku, oparta o bok siedziska lub pionowy pręt, widziała tylko notatki z ostatniego wykładu. Najczęściej, jak teraz był to gruby zeszyt do anatomii.

Nie męczyła ją jazda na stojąco w napierającym na nią tłumie, nie nudziła, bo zagłębiła się w kolorowe przekroje mózgu ludzkiego. Strzałki wskazywały ich łacińskie nazwy, zazwyczaj dwu, trzy-wyrazowe, określające każdą bruzdę mózgu, każdy zwój nerwowy. Najtrudniejsze było dobre zahaczenie w pamięci, jak dalej poszczególne wiązki nerwów idą, gdzie się krzyżują, i co, dokąd, przekazują. Należało wszystko porównywać, mając w oczach kolejne rysunki, jakie profesor rysował kolorowymi kredami na tablicy, a oni, studenci, mozolnie przerysowywali do zeszytów za pomocą kredek w odpowiednich kolorach.

Nie miała z tym kłopotu, bo nie opuszczała żadnego wykładu i dokładnie rozumiała wyjaśnienia profesora, ale pamięć miała nieco gorszą, więc musiała solidnie pracować nad zapamiętaniem tych wszystkich nazw, które teraz w tramwaju odtwarzała sobie z pamięci: *girus rectus*, *lemniscus medialis*, *lateralis*... Miała nadzieję, że trafia bezbłędnie.

Nagle starszy pan, siedzący naprzeciwko, pochylił się ku niej. Chyba o coś pytał. Z trudem wyrwała się z mózgowych światów i spojrzała na niego zdziwiona. Uśmiechnął się nieco speszony i powtórzył, czego się tak zawzięcie uczy?

Odpowiedziała grzecznie, że anatomii systemu nerwowego i pochyliła się ponownie nad zeszytem.

Ale pan ośmielił się znowu o coś pytać. Odpowiedziała, skrywając zniecierpliwienie. A on swoje dalej.

Po jego krzaczastych brwiach, niczym u świętego Mikołaja, choć nie siwych, oceniła, że mógł mieć co najmniej 30 lat, a nawet ze 40. Nie wypadało być dla niego opryskliwą, co bez ceremonii zrobiłaby wobec przeszkadzającego jej równolatka, bo starszym należy okazać trochę szacunku. Musiała mu powiedzieć, co studiuje, na którym roku. On opowiedział, że jest inżynierem i pracuje w biurze projektów. Wcale jej to nie obchodziło, a nazwy biura nawet nie dosłyszała, lecz nie zamierzała jej pamiętać. Skądś jednak podobną, znała.

Ten uprzejmy, a trochę namolny mężczyzna przeszkodził jej w nauce, jednak nie zamykała jeszcze zeszytu, licząc, że wreszcie wysiądzie. Sama jechała do końca i na rondzie przesiadała się do siedemnastki.

Tramwaj włókł się, stawał i ruszał ze zgrzytem. Po każdym przystanku ludzi zaczynało przybywać. Robiło się gorąco, jak to w majowe przedpołudnie. Rozglądała się, czy nie powinna wstać i ustąpić komuś miejsca, co by ją uratowało od natręta, ale widziała jeszcze puste siedzenia. Była już zmęczona i głodna, bo spieszyła się na obiad do stołówki studenckiej, a zagadujący ją sąsiad dalej skutecznie drętwą konwersację.

Wreszcie wrzuciła zeszyt do torby, wstała i, rzucając przez ramię naprzykrzającemu się jej natrętowi oziębłe: „Do widzenia”, ruszyła do wyjścia. Podbiegła szybko do drugiego tramwaju, bo siedemnastka już czekała.

Jakie było jej zdziwienie, gdy starszy mężczyzna znalazł się znowu koło niej. Tylko tutaj brakowało miejsc siedzących, więc ona stała i on, a rozdzielała ich niewielka grupa pasażerów. Nie była więc skazana na dalsze, niemrawe, a drażniące dywagacje i nie musiała pod maską uprzejmości ukrywać rozdrażnienia. Chwilami rozdzielali ich inni, ale mężczyzna wyraźnie manewrował, by znaleźć się bliżej.

Wysiadł zaraz za nią.

Już nie ukryła zaskoczenia. Wtedy on pokazał jej nazwę na górze biurowca, że tu właśnie jest jego biuro projektów. A więc tę właśnie nazwę miała w podświadomości, bo, przechodząc tędy co dzień, odczytywała machinalnie napis, a że nic jej nie mówił, zaraz o nim zapomniała.

– Do widzenia! – powiedziała głośniejsz niż trzeba, bo odjeżdżający tramwaj hałasował za nimi, jakby rozpadał się na kawałki. Była już mocno poirytowana, a do tego głodna tak, że brakło jej sił, aby to ukrywać.

Tymczasem towarzysz podróży wyciągnął do niej rękę na pożegnanie i czekał. Podała mu więc swoją, bo właściwie czemu nie? Był bardzo grzeczny i zabawiał ją interesującą rozmową, tylko ona studentka pierwszego roku nie była tym zainteresowana, ale teraz wreszcie pożegna go i pobiegnie na obiad przed wykładem z anatomii.

Przetrzymując jej dłoń, przedstawił się imieniem i nazwiskiem, i zapytał, czy by nie spotkała się z nim gdzieś w kawiarni dla kontynuowania tej miłej pogawędki.

– Nie! – krzyknęła, wyrывая rękę z jego uścisku.

Już nie zamierzała być dobrze ułożoną, jak ją wychowano.

Ale mężczyzna niezrażony nalegał.

– Tylko wypijemy kawę i porozmawiamy.

– Nie!

Rówieśnika dawno by już spławiła, ale ten był stary i należało go traktować z zgodzie z zasadami. Wreszcie, by zostawił ją w spokoju, zgodziła się przyjść pojutrze do kawiarni na godzinę 18-tą.

Jeszcze tłumaczył jej, gdzie to jest i jak tam ładnie, bo chyba miał świadomość, że studenci tam nie bywają. Ale ona nawet nazwy jej nie zamierzała zapamiętać.

Już odwracając się, pospiesznie rzuciła ponowne „Do widzenia” – szybko się oddaliła przez park Jordana, słysząc za sobą dziarskie:

– Do zobaczenia!

Przyspieszyła kroku, oglądając się niespokojnie za siebie. Nikt jej nie gonił. Dalej już niemal pognała.

Od tego dnia bała się wsiadać do tramwaju. Jakiegokolwiek. W wagonie rozglądała się z lękiem dookoła i zaszywała tam, gdzie najwięcej ludzi. Przestała nawet być tak dobrze ułożoną, jak rodzice uczyli, bo czasem trzeba być niegrzeczną. Długo bała się wychodzić na ulicę. A już do siedemnastki długo, bardzo długo, nie wsiadła, choć od niej miała do stołówki studenckiej najbliżej. Wolała nadrobić kawał drogi czwórka i dostać się tu z drugiej strony. Traciła z rozmysłem mnóstwo czasu, aby nie spotkać więcej tamtego człowieka. On mógł mieć nawet ze 40 lat!

Długo bała się, że gdzieś się na niego natknie i on będzie robił jej wymówki, bo nie przyszła do kawiarni, jak prosił. Bała się w ogóle go zobaczyć, nawet, gdyby miał nie robić wymówek. Bo, po co?!

Na szczęście pozdawała egzaminy. Anatomię, tę najtrudniejszą, nawet na piątkę! I nie tylko ją. Szybko wyjechała do domu w małym mieście, do rodziców. Zaraz pierwszego dnia swój zegarek z ręki schowała do szuflady, bo w wakacje nie musiała się już tak spieszyć, to na wykład, to na ćwiczenia kilka ulic dalej, do stołówki, kina, teatru... Teraz tu przez trzy miesiące mogła żyć bez poczucia czasu, bez tramwajów i starszych panów po trzydziestce lub więcej. Była jeszcze strasznie dziecinna. Albo dzika. Nie, raczej: dziwaczka. Mówiła sobie, że ma jeszcze czas – jak to mówią – zmądrzeć.

A po wakacjach, zadowolona już na studiach jak i w dużym mieście, zamieszkała gdzie indziej, z dala od trasy siedemnastki.

ELŻBIETA ISAKIEWICZ

ŻYWE ŻYCIE



Gdy w późnych latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku profesor Artur Sandauer namaszczał pierwsze zbiorki poetyckie Józefa Barana, ogłaszając, że „trafiają prosto do ludzkich serc”, miał już sześćdziesiątkę z okładem, ich autor o połowę mniej.

Niemal w tym samym czasie pewna świeżo upieczona studentka filologii polskiej UW, wertując szczerze wypełnione półki z poezją współczesną w księgarni na Rynku Starego Miasta w Warszawie, natknęła się na tom wierszy zatytułowany *Nasze najszczersze rozmowy*, a obok niego na dwa inne: *Dopóki jeszcze* i *W błysku zapalniczki*, napisane przez nieznanego jej nauczyciela z podkrakowskiej Skawiny, który dzięki rekomendacji Sandauera – wówczas czołowego przedstawiciela krytyki literackiej – został odkryty jako poeta.

W słynnym dziś sformułowaniu o liryce trafiającej bezpośrednio do ludzkich serc i reakcji owej studentki po lekturze pierwszych książek Józefa Barana, ujętej w zdumionej refleksji „Skąd on to wie? Skąd on wie, że ja tak czuję, że ja tak myślę?” – zawiera się ta sama treść.

Życie toczyło się, ukazywały się kolejne tomy uznanego już, wielokrotnie nagradzanego poety. W 2005 pięćdziesięcioletni Józef Baran mógł odnotować w swoim curriculum vitae sukces specjalnego znaczenia: jego wiersz okazał się jednym z tematów maturalnych z języka polskiego. Sukces powtórzony w 2022, gdy poeta osiągnął wiek siedemdziesięciu pięciu lat. Nie sposób nie zastanowić się, co sprawia, że pisarstwo krakowskiego twórcy nie nudzi się kolejnym pokoleniom, że po jego zbiory sięgają czytelnicy z peselami, które oddzielają dekady.

Karty ostatniego, liczącego 75 wierszy tomu *Pokój i wojna*, rzucają na ten fenomen jaśniejsze światło.

Demiurg z ulicy codziennej

W orbicie zainteresowań poety krążą zagadnienia egzystencjalne, bliskie każdemu, komu świadomość objawia istnienie kresu. Tyle że tymi odwiecznymi zamyśleniami, które owocują pytaniami o sens życia („po co wszystko?”) i śmierci („czy jest jakieś POTEM?”), o jakość naszego pobytu na tym świecie („co czyni człowieczeństwo pełnym?”), od zarania ludzkości zajmowali się i czynią to nadal wszyscy szanujący się filozofowie. Józef Baran wypełnia to zadanie na swój własny sposób.

Kluczowym zabiegiem w procesie tkania więzi między autorem *Pokoju i wojny* a czytelnikiem jest usytuowanie podmiotu lirycznego. Nie przyjmuje on pozycji stwórcy na wysokościach, demiurga spoglądającego na maluczkich z okien inkrustowanego pałaca wszechwiedzy. Jak wyjaśnia:

do rozumu starałem się
dochodzić

własnymi nogami
(...)
małe prawdy hodowane
na własnym kompoście
nie popędzane sztucznymi nawozami
bywają niepokazne
za to pleśnią wolniej
od
polakierowanych
modami

[***(*DO ROZUMU STARAŁEM SIĘ*)]

Demiurg pasał w dzieciństwie krowy, obierał rzepę, łuskał fasolę, udeptywał kapustę w beczce, a od wielkiego święta przyglądał się świniobicu i oprawianiu wieprza, tkwi w polnych krajobrazach rolniczej krainy, w korzeniach Borzęcina, zadziwiającej małopolskiej wioski, w której, zanim wyemigrował za ocean, mieszkał urodzony tu również Sławomir Mrożek (obydwaj przez lata prowadzili korespondencję), której demiurg nie tylko się nie wyrzekł, ale na jej fundamencie zbudował wykwintną architekturę świata przedstawionego swojej poezji i czy to przyjmował zaszczyty, czy wizytował inne kontynenty – nie nakładał cudzych szat, pozostał chłopcem z Borzęcina. W mieście przybrał tę samą postawę poety z sąsiedztwa. Demiurg przemieszcza się tu tramwajem, z za szyb którego dostrzega czarnobrewą dziewczynę, co

przycupnęła z plecaczkiem
samotnie na ławce plantowej
przysłuchała się twarzą do słońca
jedyne go kochanka
który jej się ostał

[*Rozmowy o niczym*]

Demiurg przechadza się przyblokową parkową aleją, by z obrazu przysiadłej na ławce starej kobiety wysnuć opowieść o matce, której rozpięchnięte po globie dzieci pozostawiły tę jedyną w swoim rodzaju bolesną tęsknotę za utraconym rodzicielstwem, wyrażoną metaforyczną, przejmującą sceną:

wpatruje się z natężeniem
w alejkę

waży na palcu
dmuchawcowy puch

[*MATKA DZIECI*]

Budowaniu wspólnictwa z czytelnikiem pomaga demiurgowi język: bezpretensjonalny, nienapuszony („wielkie słowa zawsze podejrzewałem o przesadę” – wyznaje poeta w jednym z wierszy), odsączony z patosu, dlatego poddający się oswojeniu

i przyswojeniu. Jednak owa prostota przekazu nie oznacza redukcji ciężaru treści, przeciwnie, zyskuje na niej transcendentalny wydźwięk podnoszonych dylematów. Bo poeta wie, że człowiek najważniejsze pytania formułuje w bliskiej mowie codziennej, językiem pierwszej impulsywnej myśli, jak w wierszu *Próba Podsumowania*.

co jakimś trafem
dziwnym się zrządziło
jakby się przyśniło
czym to wszystko było?
(...)
a co skrzeczało tak często
burkotem kiszek
charkotem cierpiących
pośród szpitalnej ciszy
(...)
czymże to wszystko jest
co się życiem mieni
na co patrzę
z baranim zdziwieniem
znajdując na to coraz to inne
sprzeczne odpowiedzi?

Strukturę poezji Józefa Barana można by zatem ująć w następujący wzór:

Poeta / Jeden Z Nas / Ten, Który Nazywa

Bard obłąskawiający demony

W powoływaniu klimatu konfidencji z odbiorcą służył poecie dodatkowy środek ekspresji: piosenka. Obecna w tej twórczości niemal od początku (strofy Józefa Barana znajdują się w repertuarze muzycznym m.in. zespołów Pod Budą czy Stare Dobre Małżeństwo) w tomie *Pokój i wojna* obejmuje szeroką przestrzeń. Autor podśpiewuje, śpiewa, nuci, bluesuje, songuje, pogwizduje, pisze dumki i ballady. Wiersze w piosence, piosenka w wierszach, często z rymem wystukującym rytm, dźwigają pokornie kamienne brzemiona ludzkiego losu, na przykład rozpaczliwą samotność opuszczonego mężczyzny:

o nocy lipcowa
przytul mnie
o nocy lipcowa zlituj się
gwiazdami wszystkimi
by znowu zaświeciły
mej miłej oczami
o nocy lipcowa

czemu wszystkie
twe gwiazdy świecą
pustką po nieobecnej

[BLUES SAMOTNEGO WIDOWCA]

jednocześnie je odciążając, ponieważ piosenka zadomawia się w ludowym krwiobiegu, pozwala obłąskawić demony, a indywidualny ból powierzyć zbiorowej empatii – możemy zaintonować ją wszyscy i wszędzie. Jej przywilejem jest powielanie się, jej siłą gen wspólnotowej pamięci, dlatego piosenki potrafią wiązać generację i wskrzeszać historię.

Piosenką z pierwszej linii frontu z kolei sięgnął Józef Baran do tradycji wywiedzionej z zasobu utworów partyzanckich, wojennych, powstańczych, nuczonych przy wieczornych leśnych ogniskach, gdzieś na szanich, w złudnej międzybitewnej ciszy. Trzy tygodnie po rosyjskiej napaści wyśpiewuje poeta dumkę solidarności z napadniętym państwem, a wybrzmiewa w niej i głęboki oddech stepu, i tęsknica strwożonej dali, i współczulny ton podziwu, a także smak potu, łez i krwi.

Ukraino Ukraino
cierpienia kraino
Chrystus na krzyżu umiera
ty we mnie Ukraino śpiewasz
pieśń o dzielności
sen o potędze
czy zawsze musi się za to płacić
krwią ofiarną
czy bez niej
się nie obejdzie
przemiana brzydkiego kaczątka

[4. UKRAINO UKRAINO]

Pokrzepiciel z gestem Czechowa

Współczulność w poezji Józefa Barana osiąga rangę filozofii pokrzepienia. Najdobitniej wyklada ją autor w strofach dedykowanych procesowi schodzącej linii życia, przemijania, śmierci i po-śmierci. Dostrzega nieprzystawalność starości do nowoczesnego cyberświata, obserwuje powiększającą się rozpadlinę oddzielającą ocyfrowane lądy młodych od kurczących się krain, po których dreptają leciwi i

pukają w drzwi i okna
lecz żaden ze starych kluczy
nie pasuje
do żadnego z zamków
w ich serdecznych skrytkach

[DZIATKOWIE I DZIADKI]

Widzi cierpienia starości, jej kulawienia, pochylenia, zniedołężnienia, ale i, czy nawet przede wszystkim, „nieprzewyciężoną wolę trwania”. Rozwija opowieść o przyjacielu, z zawodu chemiku, który, jako zaprzysięgły esteta, postanowił nie dopuścić, by starość go sponiewierała i w stosownym momencie zażył spreparowaną w laboratorium uniwersyteckim i przechowywaną w szufladzie biurka truciznę. Lecz starość toczyła się w jego ciele konsekwentnie i niemilosiernie, a on po toksynę nie sięgał, żył ze swoimi pomarszczeniami i apetytem na zrazy z kaszą gryczaną do dziewięćdziesiątki, kiedy to zabrała go naturalna śmierć. Z opowieści tej, jak z baśni, wyłania się puenta: nieskończona wola trwania wszechświata po milionkroć silniejsza jest od woli nieistnienia, zatem gdy zakończymy ziemskie bytowanie, nadal będziemy podlegali woli trwania – zabytność (określenie odrodzone przez roztoczańskiego pisarza Roberta Gmiterka) otworzy nam nowe formy istnienia, bo:

zewsząd
rozwiera się w nas
Nieskończoność
jak uwierzyć
że jesteście skończeni

[MYŚL WYSNUTA Z ROZGWIEŹDZONEGO
SIERPNIOWEGO NIEBA]

Pokrzepienie nie staje się tu teatralnym gestem rzuconym łaskawie łaknącej ukojenia widowni. To wypadkowa usposobienia Józefa Barana (każdy, kto zetknął się z nim, choćby z okazji spotkań autorskich, potwierdzi, że emanuje z niego żwawa, zachłanna energia poznania) i świadomej postawy, jaką twórca pozycjonuje się wobec odbiorcy swego dzieła; postawy, którą w swej mądrości przyjmują zwykle wielcy pisarze. Rejestrując rzeczywistość między ziemią i niebem, stany emocjonalne, zachowania, doświadczenia jednostki, wyrzekają się jakiegokolwiek osądu jej czynów na rzecz t o w a r z y s z e n i a jej losowi. U Józefa Barana, podobnie jak u Antona Czechowa, mistrza nowelistyki, poety z ducha, wyczuwa się ten sam podskórny serdeczny ton, wiążący autora i czytelnika ważącym zaimkiem „my”.

wszyscy mieszkamy
w Wielkim Kosmosie
w Nowym Jorku
Koziej Wólce
czy Laosie

[op.cit.]

Doradca życiowej drogi

A skoro tak, skoro ja, ty, on, ona to my, skoro podążamy do tego samego punktu granicznego, ustalmy, w jaki sposób najpełniej z tej podróży zaczerpnąć, jak najwięcej z niej uszczknąć.

To propozycja, nie zalecenie, sugestia, nie przykazanie, choć aż prosi się, by ułożyć z tych wierszy triadę godnego istnienia.

Po pierwsze: odrzuć gorycz. Na tle poezji rozpatrującej problematykę eschatologiczną brak zręczliwej, posępnej zgorzkniałości bez wątplenia strofy krakowskiego twórcy wyróżnia. Z niepodważalnej prawdy o przemijaniu zdejmuje poeta klątwę tragedii, by zastąpić ją zgodą na ustalony obrót rzeczy, ta zaś kształtuje nową umiejętność: sięgania po:

małe szczęścia
w naparstkach
topniejących dni

a tyle ich jeszcze
wkoło
że tylko
zdjąć z oczu
końskie okulary
i odkrywać odkrywać
na nowo

[W WIEKU ODLOTOWYM]

Albo umiejętność błogosławienia Reżysera za „genialnie proste” oddzielenie dni od dni antraktami snu, co sprawia, że

każdy poranek
za kolejną odsłoną
łśni nowością

opróżnione szklanki
znów napełniają się
po brzegi ciekawością

[STARA NOWA SZTUKA]

Ciekawość w kontrze do zręczliwego zasępienia pełni funkcję kroplówki podtrzymującej duchowy potencjał, pcha do przodu, ożywia w nas białe żagle, tak że stajemy się kolumbami zdobywającymi pozostawioną nam, kurczącą się, lecz zawsze żarłocznie penetrowaną przestrzeń. Ciekawość omija, jak to ujmuje poeta, „mielizny martwej fali”, dzięki czemu ułatwia realizowanie przypisanych nam bytowych powinności.

Stąd po drugie: poleruj duszę. Dlaczego jedynie duszę, nie ciało? Bo w przypadku tego drugiego jesteśmy bezsilni, ile byśmy nie poświęcili mu uwagi i tak ukaże bruzdy rzeźbione przez pędzące godziny. Dusza, odwrotnie, nie ulega erozji, co najwyżej tylko z wierzchu śniedzieje, więc żeby wspomogła swego odwiecznego partnera – ciało i znów przez nie zajaśniała

trzeba ją co jakiś czas
polerować
to muzyką
to liryczną
to miłością

[****(CIAŁO SIĘ STARZEJE)*]

Osobliwość duszy nie przestaje poetę frapować. W jego skojarzeniowej konfiguracji upodabnia się ona do kotki z dzieciństwa zwanej Duszką, co to wylegiwała się na przypiecku, a nocą wypuszczała na łowy czort wie gdzie, wałęsała po sekretnych rewirach, zagadkowa, samostanowiąca, psotna. Dusza definiuje emocje:

i na duszy
tak jakoś miodnie
i na duszy tak jakoś grustno

BALLADA DLA BUŁATA OKUDŻAWY

I to ona ostatecznie odpowiada za to, co po nas zostanie. Próżno jednak oczekiwać, że poprzez duszę prześlizgniemy się do jądra Tajemnicy. Religia, wyznaje Józef Baran, wzrusza go, bo przywiązana grawitacją do pyłku Ziemi, taka mała w zetknięciu z Nieskończonością, próbuje

złapać
za nogi
Kosmicznego
Pana Boga
by go uziemić

[*PRZEKŁAD JĘZYKA BOSKIEGO NA LUDZKI
ZAWSZE KOŚLAWY*]

Ale i religia kłania się przed Tajemnicą, przed tą nieznaną resztą, która jest milczeniem, przed prapoczątkiem i bezkresem kresu.

Dlatego po trzecie: niczemu się nie dziw i kochaj:

najprościej niczemu się nie dziwić
najprościej o nic nie pytać
i tak na nic nie ma odpowiedzi
ten świat jest bez przewodnika

[*WIELKI TESTAMENT*]

Lecz aby dojść do takiej konkluzji, trzeba zadać tysiące pytań, trzeba oswoić się z ciszą po drugiej stronie znaku zapytania i ją przyjąć, a na końcu podzielić się retoryczną refleksją, rozpiętą między intuicją a pewnością:

może ci tylko ocaleją
co nie kalkulowali
lecz kochali

[KTO WIE?]

i teraz)

[op.cit]

Dawca z plastrem

We wspomnianej już balladzie dedykowanej Bułatowi Okudźawie, temu, co wedle słów autora *Pokoju i wojny* zaklina świat w piękną i mądrą baśń, znajduje się sformułowanie idealnie odzwierciedlające również charakterystyczną właściwość twórczości krakowskiego barda. „Dajesz przykładać się do rany” – pisze Józef Baran o gruzińskim bardzie i – świadomie lub nie – dopełnia swój własny wizerunek z przedstawionego wcześniej wzoru o nowy, definitywny człon: poety – dawcy:

poeta/ jeden z nas/ ten, który nazywa /ten,
który daje

Bo czyż nie jest dawcą ten, kto nie rozjątrza ran, tylko łagodzi je maścią i plastrem? Autor *Pokoju i wojny* nie wypiera się tej roli. W przewrotnym autoironicznym wierszu *kochajmy poezję, uciekajmy przed poetą* natrafiamy na zalecenie:

kochaj poezję
poeta dał jej wszystko
co najlepsze
sam ekstrakt duszy

uciekaj przed poetą
w jego duszy
pozostały same fusy

Czyż nie jest dawcą ten, kto dokonuje cudu przemienienia przesyconego wonią umierania szpitalnego dnia w błysk czystego uniesienia, jak w przywołanym już wierszu *Szczęście*, którego bohaterka, chora na białaczkę, komunikuje komuś przez telefon:

wyobraź sobie
jakie szczęście mnie spotyka
leży tu ze mną na sali
Prawdziwy Poeta

Ale relacja dawca – biorca jest tu ubogacona o dodatkową wartość. Biorca występuje w dwóch osobach: sąsiadki ze szpitalnej sali i samego twórcy:

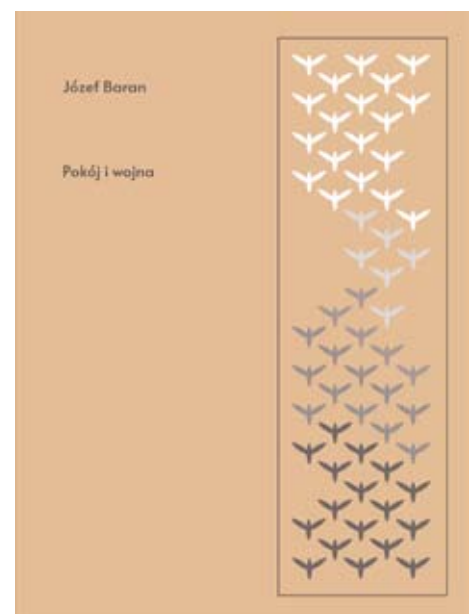
(i jak tu być nieszczęśliwym
gdy przynosi się szczęście innym
pomyślałem wtedy

Tak to Józef Baran, niby mimochodem, w nawiasie, przypieczętowuje swą poetycką filozofię: być dawcą i biorcą, tkać z czytelnikiem intymną więź jak w związku z bliską istotą. W żywym wierszu (określenie z wiersza *żywe życie*) „ulewać coś do innego serca”. Czyni to pół wieku po debiutanckim tomiku, cztery z górką dekady po tym jak Artur Sandauer obwieścił Polsce pojawienie się lirycznego specjalisty od poruszania strun najtkliwszych, a pewna studentka polonistyki kupiła w warszawskiej księgarni trzy pierwsze książeczki nauczyciela ze Skawiny, by odtąd śledzić jego poetycką drogę i podpisać się dziś pod tekstem ten szlak recenzującym.

Pokój i wojna to tytuł uniwersalny. Z jej trwogą i grozą wywołanymi rosyjską napaścią na przygraniczny kraj wpisuje się w teraźniejszość, ale jednocześnie brzmi jak metafora odwiecznej kolizji dobra ze złem, wreszcie oddaje stany ducha obecne w całym ludzkim życiu, z naprzemiennością wzlotów i upadków, ukojenia i cierpienia – w tym sensie można by nim objąć wszystkie książki poetyckie twórcy z Krakowa.

Zawierający cechy podsumowania, otwarcie prezentujący poetycką strategię zbioru nie przestaje karmić czytelnika owym żywym wierszem, iskrzącym się od słowotwórczych perełek (tymi „rozmłózkami”, „żyćkami”, „zastodolami”), tryskającym energią i odkrywczą pasją – żywym wierszem wznoszącej się, przygarniającej poezji.

Józef Baran, *Pokój i wojna*, PIW, Warszawa 2022, s. 148.



JÓZEF BARAN

I. BUKOLIKA PODOLSKA

poła poła Podola
jak stąd wszędzie blisko
do pieśni i wspomnień
i jak wszędzie daleko
umykają
w cztery strony
błyskawice przestrzeni
i powracają echemi
aż mąci się w głowie
ten widnokresów przekładaniec

pastwiska oprawne
w stawów lusterka
majowe niebo w nich ćwierka
oracz bochny czarnoziemne rozkrawa
aż ślinka cieknie
gdzie piękniej

tu wonne poła Podola
z falującymi jarami
czarnorodnymi pagórami
o obłych
kształtach ukraińskich
ukochanej dziewczyny
że tylko je pieścić

tu Bug się rodzi
nieprzerwanie
od wieków
w Werhobózu
i wciąż z tą samą siłą
Bóg pcha go ku morzu

tu światła
biegają wesoło w oczeretach
w dolince
końkozy krowy
zaniepatrzyły się na nas
zagrać im a zatańczyć
w kaczeńcach w złotych mleczech

Złoczów 1997

II. PRAWIE PIOSENKA O POKOJU I WOJNIE

jest w naszych sercach pokój
chęć mnożenia dobra

jest skrytka zła
otwierana
na diabelski kluczyk

są dwie szale
dwa skrzydła motyle
co ważą się stale

jest w pokój i wojnę gra

chwila nieuwagi
i kamyk
potrąci
lawinę

szala zła
przeważy
na piekielną stronę

rozkosz burzenia
wygra
z mozołem
tworzenia

w wojnę i pokój trwa gra
w tej grze stawką - nasz świat

Mariupol/Kraków, 21 marca 2022

III. SONG

O WSTECZNYM POSTĘPIE

czy to możliwe!
czy to śni się tylko!
że oglądam na ekranie
zamiast
Ligi Mistrzów
ten inny jakby
cały oszalały
longplay meczowy
co składa się z samych fauli
(zagrania fair są karalne)

mecz trwa i trwa
rozgrywany nie jedną piłką
lecz tysiącami kopanych głów
przeciwników
które krzyczą na cały świat
tocząc się martwo
po szklanej murawie
na oczach
behradnych kibiców

pocieszają nas głosy
ekspertów
które twierdzą
a twierdzą wojskowo
że wynik na razie korzystny
dla naszych

ale to nieprawda
przegrywamy wszyscy
włącznie z naszym
uzbrojonym po zęby

postępem
o biegu wstecznym
zwycięzcą jest
tylko
pani sędzina
w czarnej masce
uwijają się jak w ukropie
po boisku
by nadażyć
z odgwizdywaniem
goli

pomaga jej w tym asystujący
na linii bocznej
bazyliżek
robiący
do niej
szelmowskie
kremlowskie oko

Zakopane – Kijow 1/4 marca 2022

VI. ROZMOWY O NICZYM

jak fajnie rozmawia się o niczym
siedząc przy kawiarnianych stolikach
i popykując z nic nie znaczących słów

gdy nikt z przyjaciół jeszcze nie gada
o wykrytym za późno raku
omikronie lub innych gadach

i o tym że Putin ukamienował
kilka miast
bo mu się sprzeciwiły
zaś babuszka Ukrainka podała ośmiu dziel-
nym żołdaczkom
paszteciki na wieczerzę
po zjedzeniu których ostał się jeden
lecz i on po chwili wyzionął ducha za rodzinę
za putinu

i że mamy siedem lat chudych
a może dziesięć plag egipskich
a świat wisi na jednym włosku

dopiero teraz widać
jak komfortowo nam się rozmawiało
gdy nic „bombowego” się nie działo
zdarzenia planowo truchtały
przez losowe wertepy
dzień za dniem miesiąc za miesiącem
nudziłyśmy się jak mopsy
i narzekaliśmy na starą biedę

a kiedy wracaliśmy alejami
do przystanku tramwajowego

nie rzucała się w oczy
czarnobrewa „diewuszka”
której Ukraina cała
z chłopcem na barykadzie
w okamgnieniu wyparowała
a ją trąba powietrzna wojny
odrzucała
tysiąc kilometrów
od domu

przycupnęła z plecaczkiem
samotnie na ławce plantowej
przytula się twarzą do słońca
jedyne kochanka
który jej się ostał

Kraków, 25 marca 2022

X. KRESKOWANKA PROSTO Z KRYNICY- ZDROJU

w Krynicy wciąż trwa niedziela
miasteczko niczym akwarela
malowanka-stwarzanka
spod pędzla
Epifana Drowniaka
co to kiedyś
na murku
przykurczony malutki
dziś wyogromniał w krynickiego
Matejkę
wyciosanego z kamienia

a mieszczanie co się z niego śmiali
ze wstydu pod ziemię
się schowali

w Krynicy zawsze trwa niedziela
i chodzi się tu inaczej
z rękami założonymi do tyłu
jakby się miało
przed sobą jeszcze całą wieczność

tylko niecierplivej sławy Maestro
Jan
przywiązany do krynickich postumentów
wrywa się
ku muzycznym przestworom
kosmicznym

z gór
dobiegają pierwsze
promienne tętenty
wiosny

w pijalni wód
skrzypaczka wiotka jak świerszcz
rozdaje na czele orkiestry zdrojowej
tanga milonga i uśmiechy
między 15 a 16,30

zaś o zmierzchu uliczny trębacz
prosto z ukraińskiej wojny
wygrywa na saksofonie
całą tęsknotę świata
zamkniętą
w ciasnych uliczkach

słyszają to
kuracjusze
i spieszą do „Hawany”
by odprawiać tańcami
modły o ostatnie
gorące miłości

Krynica, 7-15 marca 2023

BOLESŁAW FARON



GORCE JULIANA KAWALCA

Julian Kawalec urodził się 11 października 1916 r. we wsi Wrzawy, leżącej w widłach Wisły i Sanu na równinie sandomierskiej, w powiecie tarnobrzeskim w rodzinie chłopskiej gospodarującej na pięciu morgach ziemi. Jego matka, Stanisława Bobek, była córką Macieja, który pochodził z Wróblówki koło Czarnego Dunajca. Maciej Bobek, dziadek pisarza uczył go miłości do gór. Wydaną w Krakowie w 1999 r. *Harfę Gorców* jemu właśnie zadedykował: „Pamięci dziadka Macieja Bobka z Wróblówki spod Czarnego Dunajca, który nauczył mnie miłości do gór”, a wspominając wujka, brata matki – Władysława, napisał:

"Z uznaniem i miłością podkreślał pracowitość swojego Ojca Macieja, który pochodził z gór i który zaszczylił mu miłość do Podhala. Dlatego wujek często odwiedzał rodzinną wieś swojego ojca – Wróblówkę, a także Czarny Dunajec, Podczerwone i inne okoliczne wsie, w których mieszkała dalsza rodzina"¹.

Wieś sandomierska, miejsce urodzenia pisarza, okazało się niezwykle trwałym elementem świadomości literackiej i ważnym doświadczeniem życiowym, które będzie owocować w dojrzałej twórczości. Tutaj nauczył się m.in. obcować z przyrodą. Tak o tym powie w jednym z wywiadów:

"Kontakt z przyrodą jest człowiekowi bezwzględnie potrzebny. Potrzebny chyba bardziej niż cywilizacja. Z przyrody przecież, z ziemi czerpiemy pokarm cielesny i duchowy w szerokim tego słowa znaczeniu. W kontakcie z przyrodą jest okazja do refleksji, do samowychowania, do wejrzenia w siebie. Taki twórczy kontakt z przyrodą wzbogaca człowieka wewnętrznie, uważam go może za cenniejszy nawet niż kontakt ze sztuką. Jest także źródłem osobistej, wewnętrznej kultury, wpływa na człowieka kojąco, uspokaja go, pozwala mu zapomnieć o doznanej krzywdzie, o osobistych przeżyciach"².

Chociaż Julian Kawalec większość swojego życia spędził w mieście, w Krakowie, to jednak nigdy nie przestał być dzieckiem wsi. Jego pierwsze zetknięcie z miastem, jakim był Sandomierz, było „wstrząsającym przeżyciem”. „Wydawał mi się – powie po latach – zimnym kamiennym tworem, napełniał mnie lękiem. Do dzisiaj zresztą nie mogę pogodzić się z miastem"³.

W cytowanych tutaj fragmentach wypowiedzi Kawalca na temat wsi i miasta oraz jego miejsca w obu tych przestrzeniach tkwi zapewne klucz do powziętej w latach 60. decyzji o budowie domu na wsi. Wybór padł na Rabkę, gdyż Kawalcowie spędzali tu, u podnóża Turbacza, od czasu do czasu wakacje. Mieszkali u Bronisławy Lasoty, tamtejszej nauczycielki. Podczas tych pobytów nawiązali bliskie kontakty z tą krainą i tutejszymi ludźmi. Nadto myślę, że zadecydowała o tym zaszczipiona przez dziadka, Macieja Bobka, atawistyczna miłość do gór. Z Rabki do Wróblówki nie jest zbyt daleko. Reszty dokonał przypadek, zbieg okoliczności.



J. Bratko, Portret Juliana Kawalca

Otóż, w 1966 r. grupa lekarzy i pracowników służby zdrowia postanowiła założyć spółdzielnię mieszkaniową i wybudować we wsi Ponice na obrzeżach Rabki osiedle, nazwane ze względu na swe rozmiary Pikolo. Była to mała osada, sześć domów bliźniaczych na niewielkiej polanie przylegającej do lasu, skąd parę kroków do Czerwonego Szlaku, wiodącego na Maciejową i Turbacz. Kawalcowie odkupili domek od dra Kurdzielewicza. Wprowadzili się w 1969 r. W Ponicach mieszkał pisarz głównie latem. Stąd od czasu do czasu wyjeżdżał do Krakowa na spotkania autorskie i zebrania Związku Literatów Polskich czy w Stowarzyszenia „Kuznica”.

Rabka inspirowała pisarza, zwłaszcza w okresie ostatnich dwudziestu pięciu lat. W tym bowiem czasie na karty książek autora Rabka i jej okolice trafiają coraz częściej. Tutaj lokuje swoje opowieści, opowiadania, tutejsi ludzie stają się prototypami jego bohaterów literackich. Teraz przestrzenią literacką jego utworów są okolice domu przy ul. Nowy Świat 51 a, Park Zdrojowy, czerwony szlak na Turbacz, Maciejową. Utwory, w których ta przestrzeń dominuje to *Harfa Gorców* (Kraków 1999), *Żeby cię pochłonęło życie* (Kraków 2006), *Powrót z nieba* (Kraków 2008), *Czerwonym szlakiem na Turbacz*. Wybór utworów (Kraków 2009), zawierający *Harfę Gorców*, wybrane opowiadania z *Powrotu z nieba* oraz *Żeby cię pochłonęło życie*. U Kawalca na przestrzeni Gorców nanizane są różne wspomnienia z przeszłości, konfrontacje ze współczesnością. Gorcezańskie utwory, należące do senioralnej twórczości pisarza, stanowią swoisty rachunek sumienia, jakiego dokonuje się pod koniec życia. Stąd dialogiczność tej prozy, rozmowa samego ze sobą lub napotkanymi czy przywoływanymi z pamięci postaciami, stąd

nakładanie się krajobrazu gorceńskiego, tutejszej przestrzeni z krajobrazami dzieciństwa z doświadczeniami stamtąd wyniesionymi. Najmocniej umocowana w przestrzeni rabczańskiej jest Harfa Gorców, opowieść narratora o podróży z Rabki na Turbacz Czerwonym Szlakiem przez Maciejową, Obidowiec. Mamy w tekście Kawalca sporo informacji topograficznych, rejestrujących kolejne fazy wędrówki. Wiele z nich mogłoby znaleźć się w turystycznych przewodnikach po Gorcach. A więc narrator powoli opuszcza zabudowania Rabki. „Za ostatnią pyszną murowanicą”, „idę już wąską ścieżką przez środek tej dużej łąki” (łąki starego Władka). Raz po raz pojawiają się w tekście informacje topograficzne, opisy przestrzeni, np. „Od strony zachodniej widok niedaleki, zasłonięty malutkim lasem, gdzie w kamiennej kaplicy mieszka Matka Boska. Na wschodzie duża czarna góra, a przede mną daleko, bardzo daleko Turbacz”. Nazwa tego najwyższego szczytu w Gorcach będzie powracać w tej wędrówce wielokrotnie. Oto przykłady: „[...] do schroniska na Maciejowej Górze nie wstąpiłem, szkoda czasu, szkoda mi czasu, chcę dziś dojść na Turbacz i wrócić do domu w Rabce [...]” „Idę Czerwonym Szlakiem, bo prowadzi na Turbacz [...]” [...] przed tobą Turbacz, a wcześniej duża, duża jak całyświat hala [...]. Za chwilę wejdiesz w nieco wilgotny, niezbyt głęboki jar przynoszący chłód, a gdy staniesz u jego wylotu, znajdziesz się na obrzeżu tej dużej hali”. „Idąc wąską, białą ścieżką, przecinam dużą halę, wchodzę na niewielką, kamienistą stromiznę [...]”⁴. Odnotowuje Kawalca miejsca charakterystyczne na Czerwonym Szlaku, jak umieszczony obok ścieżki krzyż, przypominający o tragedii, jaka się tutaj przed laty rozegrała.

Maszeruję płytkim, wilgotnym jarem przez leśną gęstwinę, na brzegu jaru stoi żelazny krzyż z przytwierdzonym do niego strzaskanym śmigłem samolotu. Przed laty miała tu miejsce katastrofa lotnicza. Runął na las samolot sanitarny. Zginęła kobieta, pielęgniarka⁵.

Raz po raz padają w tym tekście nazwy miejscowe: Poręba Wielka, Luborzyce, Stare Wierchy, Obidowa, Klikuszowa, Tatry, Giewont. I znowu szczegóły topograficzne: „Gdy przeciąłem tę dużą, bujną łąkę wszedłem w mocno przerzedzony las, co chwila mijam nieduże odkrytki po niedawnym wyrobieniu, odziomki jeszcze nie wykopane, podobne do niziutkich stołów, na niektórych siedzą wystrojone żięby [...]”⁶. Albo: „Jestem na Czerwonym Szlaku prowadzącym na Turbacz, na odcinku, w którym las co chwila się urywa i ustępuje miejsca malutkim polanom”. „Wszedłem już na tę dość szeroką i wyrównaną ścieżkę, prawie drogę prowadzącą wprost do schroniska u stóp samego szczytu”. „Jestem już na rozległym placu, gdzie stoi kamienne schronisko, wymijam rząd małych namiotów i krzątających się wokół nich młodych, głodnych ludzi”⁷.

Przytoczyłem tu wybrane przykłady opisów topografii Gorców na Czerwonym Szlaku.

W tekście Kawalca jest ich znacznie więcej. Krajobraz gorceński stale towarzyszy narratorowi w jego wędrówce, w jego rozmyślniach, dywagacjach na temat przeszłości i współczesności. Z opisami topograficznymi w tej książce kore-



spoduje znakomita znajomość przyrody, flory i fauny Gorców. Niektóre fragmenty *Harfy Gorców* stanowią swoistą apoteozę natury.

"Więc ciesz się, że zdołałeś się przedrzeć przez groźną rozfalowaną ciżbę i jesteś na Czerwonym Szlaku, w drodze na Turbacz, i maszerujesz sobie z drzewami, z krzakami dzikiej róży i leszczyny, z rozścieloną na samym dnie podszewką lasu uszytą z malin, z krzaczków borówek, jeżyn, z grzybów i jeszcze czegoś mniejszego, zachłannie uczeplonego ziemi"⁸.

Przyroda gorceńska jest wszechobecna w tekście Kawalcowych opowieści, a więc jastrząb, połyskliwy żuczek, mrówki, tarnina, dzika róża, leszczyna, brzoza, buki i wiatr, wygrywający swoją melodię na „harfie Gorców”:

A więc na Czerwonym Szlaku rośnie i potężnieje bukowa harfa Gorców. Wygrywa na niej sławetny muzykant idący od Tatr, halny wiatr. Niepotrzebnie tu powiedziałem wiatr, wystarczyło powiedzieć tylko jedno słowo – halny – i już wiadomo, że to ten szalony muzykant, który wywołuje u ludzi zawroty głowy i bicie serc, który idzie dołem i górą i związuje ziemię z niebem”⁹.

Motyw wędrowki na Turbacz powraca w tomie opowiadań *Żeby cię pochłonęło życie* (2004), stanowiących swoistą formę rozmowy ze zmarłą żoną Ireną:

"Tu w Rabce wszyscy wiedzą, że odeszłaś, nie widzą nas razem, snują się samotnie wśród drzew w parku i częściej brzegami rzeczki, która głośno płacze na małych wodospadach. Spotykam się z ludźmi, garnę się do nich, szukam pociechy"¹⁰.

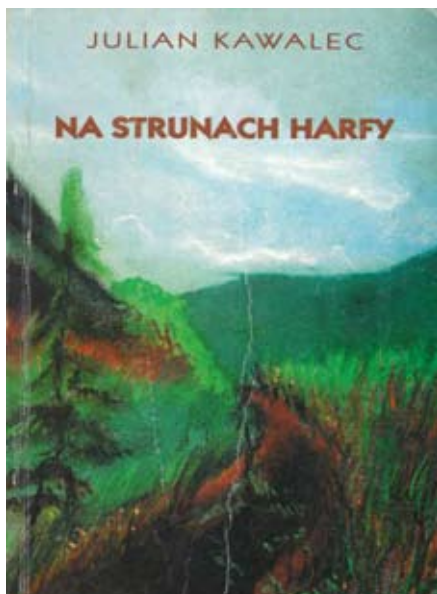
Podobnie jak w *Harfie Gorców*, autor rejestruje tutaj szczegóły topograficzne na czerwonym szlaku, podobnie prowadzi rozmowy z napotkanymi ludźmi, wspomnienia, w których wracają postaci przodków. „Idę gęstym lasem, szlak tak prowadzi, idę długo, wciąż las, zdaje się nie ma końca ta gęstwina. A tu nagle świat się otworzył na międzyleśną przestrzeń pól [...]”¹¹. „Patrzę na te ścieżki, ta która jest odcinkiem szlaku i którą mam iść, żeby dojść do Starych Wierchów i na Turbacz, ta jest nierówna [...]”¹². Tego typu sformułowań mamy więcej: „Na Maciejowej Górze dawno nie byłem [...]”¹³. „Na Starych Wierchach długo nie byłem”. „Gdzie indziej: „mnie czeka jeszcze Turbacz”, „woła król Gorców”¹⁴. Stanowią te opowiadania jakby aneks do opowieści gorceńskiej, rozwijają ją, uzupełniają, pozwalają podjąć nowe kwestie.

Osobną grupę opowiadań stanowią teksty rejestrujące topografię otoczenia domu przy ul. Nowy Świat (*Bez miłości trudniej, Trudne życie starej sosny, Uśmiech trudu*). To jakby sprawozdanie z tego, co się zmieniło, co dzieje się tu i teraz. „Gdy ci to opowiadam, patrzę przez okno i widzę, że Zenobiusz wraca swoim długim samochodem z wizyty lekarskiej”. Otrzymujemy zatem szczegółowy opis drzew w najbliższym otoczeniu domu, od posadzonej przed 35 laty wierzy, przez limbę, która rośnie na osiedlu przed pensjonatem o tej samej nazwie, lipę, po brzozy „rosnące za domem Haliny i Emila, na brzegu zbocza ostro nachylonego w stronę Poniczanki”. „Jeśli chodzi o te kilka drzew Wojtka i jego syna Bartka, to trzeba powiedzieć, że wzbogacają drzewostan osiedla, także drzewa Zenobiusza i Tomka, a nade wszystko świecące różnymi kolorami krzewy Urszuli i Sławka”¹⁶. Kiedy na wiosnę 2016 r. odwiedziłem córkę pisarza, Ewę, przy ul. Nowy Świat, mogłem stwierdzić wiarygodność tych opisów, a w rozmowach z sąsiadami potwierdzić autentyczność wymienianych tutaj imion sąsiadów.

Z jeszcze większą siłą powracają wspomnienia w tomie opowiadań *Powrót z nieba* (Kraków 2008). „Co ta starość ze mną wyczynia? Nieustannie wpycha mnie w dzieciństwo”¹⁷. Obserwujemy tutaj mocniejsze niż w poprzednich tekstach zagęszczenie określeń: „starość”, „stary dziadu”, „kochana staruszka” (o wierzy), „przeprowadzka ze starości do dzieciństwa”. Jak bumerang powraca motyw dziadka Macieja Bobka (Dwie babcie, dwa światy):

"Nękała go tęsknota za górami. [...] Dziadek popędził wzrokiem wyobraźni na Giewont, zastukał parę razy palcem w blat stołu i powiedział do podrośniętych wnuków:

- Gdy człowiek jest na górze, widzi cały świat, nic się przed nim nie skryje, widzi, gdzie kończy się ziemia”¹⁸.





Irena i Julian Kawalcowie



Biblioteka Juliana Kawalca

Albo

[...] dziadek naigrawał się z burzy w dolinie, bo to nie burza, to burka. W górach to są burze, są głośne, groźne, długo huczą. Kpił sobie także z piorunów bijących w czasie burzy w dolinach. To nie piorun, to piorunek, w górach biją wspaniałe pioruny, nie umywał się piorun doliny do pioruna górskiego. Górski jest strasznie głośny, biegnie od zbrocza do zbrocza, piorun górski to nie piorun, to piękna, ale straszna muzyka" ¹⁹.

Tu w Rabce wracają te wspomnienia o dziadku Macieju, o jego tęsknocie za górami, jego apoteozie górskich zjawisk przyrody. Tak mocny akcent kładziony na te aspekty natury przodka wskazuje nie tylko na silną więź emocjonalną z nim, ale przede wszystkim na zaszczerpioną przezeń miłość do gór, przyrody górskiej, która w ostatniej fazie twórczości Kawalca uwidacznia się w eksploatowaniu przestrzeni, topografii Gorców, Rabki i jej okolic.

Dla biografii Kawalca ważne były trzy przestrzenie: Dolina sandomierska, Kraków oraz Rabka i Gorce. Od 1969 r. do końca życia dzielił miejsce pobytu między miastem pod Wawelem a domem na osiedlu Pikolo nad rzeką Poniczanką w Rabce. I chociaż w dawnej stolicy Polski spędził 25 lat więcej niż w Rabce, to Kraków nigdy nie zagościł na łamach jego twórczości. Powie o nim co najwyżej „ukamienowane miasto”. W Rabce natomiast odnalazł to, co wyniósł z dzieciństwa, możliwość bezpośredniego kontaktu z przyrodą, możliwość bardziej osobistego kontaktu z otoczeniem, z ludźmi. Autor powieści Ziemi przypisany do końca swojego życia pozostał dzieckiem wsi.

Przypisy:

- 1 Cyt. Za: W.T. Bobek, Władysław Bobek. *Slawista-słowacysta*. 1902-1942, Warszawa 2001, s. 51.
- 2 To temat wybiera autora. Rozmowa z Julianem Kawalcem. Rozm. Żofia Śliwowa, „Tygodnik Kulturalny” 20: 1976, nr 15 (1983), s. 10.
- 3 *Idę od świata do marzenia...* Rozmowa z Julianem Kawalcem. Rozm. Tomasz Jastrun, ibidem, nr 42 (1010), s. 9.
- 4 J. Kawalec, *Harfa Gorców*, Kraków 1999, passim.
- 5 Ibidem, s. 36.
- 6 Ibidem, s. 64.
- 7 Ibidem, passim.
- 8 Ibidem, s. 76.
- 9 Ibidem, s. 26.
- 10 *Żeby cię pochłonęło życie*, Kraków 2004, s. 137; *Czerwonym szlakiem na Turbacz*. Wybór utworów, Kraków 2009, s. 285.
- 11 Ibidem, s. 115; *Czerwonym szlakiem...*, s. 285.
- 12 Ibidem; *Czerwonym szlakiem...*, s. 263.
- 13 Ibidem, s. 125; *Czerwonym szlakiem...*, s. 273.
- 14 Ibidem, s. 126; *Czerwonym szlakiem...*, s. 273, 274.
- 15 Ibidem, s. 108-109; *Czerwonym szlakiem...*, s. 256.
- 16 Ibidem, s. 107; *Czerwonym szlakiem...*, s. 255.
- 17 *Powrót z nieba i inne utwory*, Kraków 2008, s. 12; *Czerwonym szlakiem...*, s. 166.
- 18 Ibidem, s. 41, 42; *Czerwonym szlakiem...*, s. 191.
- 19 Ibidem, s. 42; *Czerwonym szlakiem...*, s. 192.

IGNACY S. FIUT



POEZJA PLATONA - DZISIAJ

Zawartość tego tomiku jest w pewien sposób oryginalna: poeta próbuje tworzyć wiersze z perspektywy własnego doświadczenia mając jednocześnie na uwadze poezję platońską i stojący za nią metafizyczny system idealizmu obiektywnego. Zawartość tomiku tworzą kolejne wiersze eskalujące kwestię miłości od jej doświadczenia osobistego po wielowymiarowe rozważania wierszami nad samą zawartością idei „Piękna, Dobra i Prawdy”. Należy jeszcze zauważyć, że Orlikowski jest erudytą filozoficznym, a więc jego utwory pisane w „teraz” mogą z powodzeniem konkurować z twórczością klasyczną.

Poeta na początku próbuje się zastanowić na czym polega jego „bytowanie w niebycie”, sugerując, że jest to niefrasobliwość istnienia poety, który nie wiele może z tą sytuacją uczynić, lecz tylko komunikować o niej. W wierszu pt. „Nie ma mnie” m.in. czytamy: „nie ma mnie na Facebooku czyli/według większości mnie nie ma//niektórzy może nawet sądzą że nie żyję/(...) patrz na mnie nieufnie//pomimo/podejrzewam że jednak jestem/gdy spoglądam w Niebo”. Ważne jest dla niego doświadczenie czytelnicze w bibliotece jak w zaciszu zwykłego istnienia, gdzie myśl zaprzyjaźnia się z książką, czyli samym czytelnikiem. W wierszu tytułowym „Ponad chmurami” możemy przeczytać: „(...) na ziemi nimi oddzieleni/pozbawieni tego co „zawsze”/często nie wiemy jak się zachować/i jesteśmy niczym te chmury//wystarczy przyjrzeć się im:/one nie z zachodu na wschód/odwrotnie czy z południa na północ/przypominają kalejdoskop/(...)Czy/im to nie po drodze?//z pewnością tak/niewiele o nich wiemy/poza tym że zasłaniają nam słońce/chmury ta nasza niepewność/niepokój i poczucie winy/które są niczym miecz Demoklesa//i tylko//ponad nimi zawsze/świeci słońce”. Jasno widać, że poeta daje nową interpretację naszej rzeczywistości, sytuując ją w duchu dualizmu metafizycznego, w który uwikłany jest każdy człowiek. Jednak między ludźmi północy i południa istnieje różnica w stosunku do korzystania z upływającego czasu, choć należą do podobnego świata zmysłowego, bo „(...)ludzie Północy mają zegarki/Południa mają zawsze czas”. Analizując stosunek Boga do człowieka, Orlikowski zauważa, że nieustannie w naszych umysłach rodzi się pojęcie Boga, gdyż dał nam „Wolną Wolę”, z czego jest zadowolony, bowiem ludzie go wyręczają w podejmowaniu kluczowych decyzji o losach świata. Z drugiej jednak strony nie miał innego wyjścia, gdyż inaczej by nas zniewolił. Bylibyśmy marionetkami w Jego rękach.

Stąd ludźmi nieustannie targają wątpliwości, a więc podejmują modlitwę jako drogę ich przewycięzania i sądzą, że jest to droga właściwa do Nieba. Sama natomiast modlitwa jest formą rozmowy z Bogiem w obopólnej ciszy i jak pisze poeta:

„(...)ty mówisz On słucha/On mówi ty słuchasz/a gdy nikt nie mówi/obaj słuchacie//i hałas/nie ma tu znaczenia//ale gdy nikt nie mówi/oraz nikt nie słucha/panuje cisza/zaprzeczenie hałasu//i najwyższy/najlepszy etap modlitwy”. Sama myśl musi się sama „wymyślić”, zaś „(...)ucieczka tylko piętrzy problemy/jest jak bieg z gorączką pod wiatr” – podkreśla poeta i dodaje, iż sama wiara jako całość z konieczności milczy i nie jest jej do twarzy spierać się z głupotą. Orlikowski podkreśla, że tak naprawdę istniejemy w naszym „teraz”, bo przeszłości już nie ma, a przyszłość jeszcze nie nadeszła, co umożliwia człowiekowi z pozycji „teraz” zagłębienie „ponad chmury”. Samo nasze życie w swych gestach i myślach jest darem: tworzy ono nasze podmiotowe „Ja”. Jest ono również przemiennie buntem i pokorą, drogą o dwóch niewspółmiernych stronach „medalu istnienia”. Także dostępność do prawdy wydaje się wątpliwa, bo nigdy nie wiemy czy inspiruje nas sam szatan, czy Bóg. Ważnym natomiast w przeżywaniu i doświadczaniu miłości, osób nam bliskich, jest dotyk, który sygnalizuje najprostsze jej doświadczenie.

Inną stroną powracania „ponad chmury”, czyli do doświadczania świata idealnego jest wzmożona miłość do własnego domu i Ziemi jako takiej. Musimy jednak mieć umiar w uczestniczeniu w radości, smutku, miłości, bo umowa z Bogiem w sprawie „wolnej woli” zobowiązuje. Sam przypadek w życiu nie jest przeciwieństwem woli Boga, ale woli człowieka i można przyjąć, że wtedy często ulegamy podszeptom szatana. Często taka sytuacja zdarza się w czasie błęgiego spokoju i „nic nie robienia”, bo wtedy Bóg nie interweniuje, bo przecież dał nam „wolną wolę”. Kiedy poeta raz trzeci sięga wzrokiem „ponad chmury”, umacnia się w przekonaniu idealności i wszech-przyczynowości tego „świata słońca”. Można czepiać się – podkreśla – naszej rzeczywistości, ale to jest pewne, iż jest ona zawsze „marną” jego kopią, którą staramy się z różnym skutkiem poprawić.

Orlikowski w „Suplemencie” do tego tomiku próbuje od nowa w kolejnych wierszach zdefiniować zawartość tego świata idealnego (słońca) i jego strony, które rzucają normy na nasz świat ludzki i prowokują nas do działania oraz dążenia do nieśmiertelności, choć nadzieja jest tu niewielka. Są to takie pojęcia ogólne jak: „wiera”, „nadzieja”, „miłość”, „piękno”, „dobro” i „prawda”. I pewnie gdyby Platon dzisiaj żył to i zgodziłby się z analizami i definicjami poety z Dobrodzienia.

J. Orlikowski, *Ponad chmurami*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2023, s. 64.

JANUSZ ORLIKOWSKI

EWANGELIA WEDŁUG JANUSZA

na początku był dotyk
jeszcze w łonie matki – pierwsze spotkanie z życiem
to on – ewangelia miłości:

zamiast żeńskiej i męskiej
płeć naga
która jest jedynie prawdziwa

fałszywe gry kobiet i mężczyzn
mimo usilnych starań są tylko
nawet nie miłości przeczuciem
choć ku niej dążą

fatałaszką aby... i oczu spojrzenie gdyby...
oraz ciche słówka żeby...czy inne śmieszności
jednych i drugich

zabiegi które są kotu na budę
gdy ten pójdzie i tak swoją drogą

na początku był dotyk
pierwszy poznawalny zmysł człowieka
i nie da się go oszukać
żadne słowa tworzone obrazy
czy inne migotania chwili

na początku był dotyk
wbrew temu co sądzimy o miłości
jest pierwszy a zatem prawdziwy

można powiedzieć:
dotknij mnie a powiem ci
jak się mamy

ciała utkwione w duszy nigdy nie kłamią

POWRÓT

czas porzucić łachmany i udać się do raju
tam wciąż to drzewo które należy omijać
na nim – rosną nasze myśli

o nie obawiam się najbardziej
dlatego dotykam słowa ostrożnie
i wtedy gdy tylko mogę

czyli nigdy gdy widzę że rosną

pamięć węża poznaje te konsekwencje
na których kuleje nie opiera się świat
wie o tym również moja Ewa

dlatego do naszego łóżka przychodzi zawsze nago
w różnych kątach domu są nasze łachmany
a czas jest tylko ten co teraz

turlamy złote jabłka ciszy
z muzyką w tle

czas porzucić łachmany i udać się do raju
kąty można zawsze posprzątać gdy przyjdzie pora
poza kurzem nic się w nich nie zbiera

choć wąż wciąż uparcie twierdzi inaczej
niestety spóźnia się

NIE MA MNIE

nie ma mnie na Facebooku czyli
według większości mnie nie ma

niektórzy może nawet sądzą że nie żyje

dlaczego więc przyglądam się drzewom za oknem
i widzę poganiam luty później marzec i kwiecień
do przedwiośnia lata?

martwemu powinna być obojętna
twardość gleby w której spoczywa

nie ma mnie Facebooku ta tragedia
nie robi na mnie wrażenia

tylko dlaczego? jaki jest powód
tej – niefrasobliwości

czy zwykły upór? – a może
tak to się zdarzyło wystarczy za odpowiedź
dociekliwym

patrzą na mnie nieufnie

pomimo
podejrzewam że jednak jestem
gdy spoglądam w Niebo

PONAD CHMURAMI

ponad chmurami zawsze świeci słońce
widać to dobrze z okien samolotu
poza które niestety nie możemy wyjść

i tylko

na ziemi nimi oddzieleni
pozbawieni tego co „zawsze”
często nie wiemy jak się zachować
i jesteśmy niczym te chmury

wystarczy przyjrzeć się im:
one nie zachodu na wschód
odwrotnie czy z południa na północ
przypominają kalejdoskop

tę dziecięcą zabawkę
która się mieni:
barw nieoczekiwanych zdarzeń

one pójda to tu to tam
i nie wiemy kiedy wynurzy się słońce

choć nie mamy wątpliwości
chcielibyśmy od razu
jakbyśmy ponad chmurami byli

czy
im to nie po drodze?

z pewnością tak
niewiele o nich wiemy
poza tym że zasłaniają nam słońce

chmury ta nasza niepewność
niepokój i poczucie winy
które są niczym miecz Demoklesa

i tylko

ponad nimi zawsze
świeci słońce

W CISZY BIBLIOTEK

każda księga chce zamykać świat
Biblia Koran czy naukowe dowody
biblioteki godnie uginają się z szacunkiem
i nie pytają

milczą głos oddając owym
nawet nie przyjdzie im do głowy
że głos przez nie mógłby być zabrany
ot zwykła ich rola

Darwin Biblia nie tak dawno
chcą podać sobie dłonie; wkrótce każda inna księga
zaprzyjaźni się ze swym adwersarzem
w końcu piszemy po to

na dowód przyjaźni
łączy nas cisza bibliotek
i to spojrzenie
na zwykłe życie

LOGOS

w drodze do poznania Boga
tak naprawdę wciąż jesteśmy
w punkcie wyjścia

na tym balkonie czy gdziekolwiek
indziej słowo ufundowane przez rozum
choćby przenikało w inne sfery

nie może przebić się do sedna
choć na początku było Słowo
według ewangelii Jana

Ono Rozum i Prawda
choć nazwiemy je Umysłem Boga
nie stają się wystarczające

nawet gdy dodamy Miłość
i tysiące z nią związanych
dobrych słów

Bóg jednak jest ponad nami
i strzeże swych granic
byśmy nie popełnili błędu

w dobrym spotkaniu
na które czeka
bez filozoficznych dysput

dzięki ufundowanej przez Niego
wolnej woli pozwala na nie
i myślę że sprawiamy mu przyjemność

naszym zainteresowaniem
wiarą która nam towarzyszy
każdego dnia

MIEJSCA

urodziłem się nad Morzem Śródziemnym
dlaczego więc bliżej mam do Bałtyku?
nie jestem tym patriotą który mówi
słońce gdy pada deszcz i zimny wiatr

jak to potrafią media – takiego lata

nie jestem też Turkiem Hiszpanem z Południa
czy Grekiem i nie szukam mentalnościowych
podobieństw dla lepszego samopoczucia
moja mentalność jest całkiem inna
i tworzy dobre miejsca dla duszy

urodziłem się więc nad tym morzem
tam gdzie wokół ślady dawnych ludzi
i apostołów Pawła Jana Piotra
w ruinach pierwszych miast Cypru
czy na Rodos albo w Kapadocji

słońce tam wciąż ma tę moc i to
poruszenie którego brak miejscom Północy
i to – co najistotniejsze:
ludzie Północy mają zegarki
Południa mają zawsze czas

jakby wieczność była im bliższa

nie sposób nie zauważyć że coś w tym jest
jakby nieświadome a jednak właściwe
i naturalne; szkoda że uczymy się tego
tylko na chwilę na czas wakacji
i to nie wszyscy

urodziłem się nad Morzem Śródziemnym
dlaczego więc bliżej mam do Bałtyku?
chyba tylko dlatego aby to widzieć
i z tym się zgodzić; to poruszenie na dobro
mieć zawsze w pamięci

te moje miejsca
bez czasu który tworzy zło
i bez myśli niepewnych skojarzeń
mogą obyć się beze mnie

ludziom Północy zawsze potrzebny jest czas
gdy wracają z wakacji a nawet – zawsze
mnie nie; wspominając ślady
pierwszych apostołów
jestem

EDWARD KURLETO



PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNEJ AUSTRALIJSKIEJ PROZY

Niniejsze opracowanie ma na celu pokazanie czynników oddziałujących na kształt australijskiej prozy. Poza przybliżeniem grupy najważniejszych współczesnych australijskich pisarzy opracowanie skupia się na wskazaniu czterech zasadniczych czynników, wpływających na kształt australijskiej prozy: położeniu Australii na końcu świata powodującym poczucie odosobnienia, australijski neoliberalizm, zmianę oficjalnego stanowiska instytucji państwowych Australii korzystną dla Aborygenów oraz zbliżenie ze światem spowodowane rozwojem technologii w tym głównie Internetu. Literatura australijska powstała na krótko po tym jak kraj ten został zasiedlony przez Europejczyków. Problematyczna jest oczywiście periodyzacja. Nie istnieją jednorodne kryteria, które pozwoliłyby skomplikowane zjawiska artystyczne „periodyzować” za pomocą prostych wyznaczników. Znane periodyzacje historyczno-literackie powielane są w sposób mechaniczny, co wynika z tego, że refleksja nad kryteriami, przydatnością i konsekwencjami periodyzacji w gruncie rzeczy nie ma z reguły charakteru metodologicznego, ale stricte chronologiczny¹. Uwaga ta odnosi się szczególnie do periodyzacji dokonywanej w Australii, gdzie już w XIX wieku, w specyficznej rzeczywistości kolonialnej i narodowej, wydawano setki książek². Czytelnicy nosili rewolwery, więc wydawcy starali się publikować tylko to, co by się wszystkim podobało. W zasadzie były to powieści do czytania w drodze, poświęcone życiu na farmach, zagadkom kryminalnym i poszukiwaniom przestępców ukrywających się w buszu. Do 1880 roku ukazało się już około 300 tomów beletrystyki³.

Odnosząc się do kwestii okresów historii literatury australijskiej ciekawe jest stanowisko Frowa, który twierdzi, że „historyczność tekstów nie jest kwestią pojedynczego momentu, ponieważ jest on obdarzony znaczeniem wynikającym z całości późniejszych sytuacji i ich rozumienia ponad granicami kulturowymi”⁴. Co więcej, periodyzacja w literaturze jest ważna tylko wtedy, gdy krąg pisarzy i czytelników ją stanowi i na nią reaguje. Okresy nie mają szczególnej rzeczywistości ontologicznej; są konstrukcjami dyskursywnymi. Uwaga ta dotyczy szczególnie okresów modernizmu i postmodernizmu, które w trudnym do określenia czasie, nastąpiły po okresie kolonialnym. Dla przypomnienia modernizm w literaturze, którego czasokres liczy się zazwyczaj w literaturze na lata 1910 do 1945 roku, odrzuca tradycyjne koncepcje dotyczące sztuki (takie jak pozytywizm, naturalizm, czy realizm), skupiając się na wszelkich aspektach wolności

twórczej⁵. Za najważniejsze wyznaczniki tego kierunku uznano indywidualność artystyczną, symbolikę oraz niejednoznaczność przekazu. Literatura postmodernistyczna to forma literatury charakteryzująca się metafikcją, nierzetelną narracją, autorefleksją, intertekstualnością⁶. Postmodernizm w literaturze oznacza częste stosowanie cytatu, parodii, persyflażu, pastiszu. Modernizm w Australii osiągnął swój szczyt w latach 60.; postmodernizm dotyczy twórczości lat 60. i 70. XX wieku. Po postmodernizmie, czyli od lat 80. liczony jest w Australii okres literatury współczesnej⁷.

Decydujemy się więc na „wycieczkę” w różne aspekty wielowarstwowej literatury australijskiej zasadniczo współczesnej. Nie jest to próba przeglądu historyczno-literackiego tego okresu, ani też przedstawienia literatury australijskiej, jako kategorii estetycznej, ani tym bardziej głoszenia ustalonego kanonu literatury australijskiej, co sprawia, że wielu znakomitych pisarzy zostanie wymienionych tylko mimochodem.

Wpływ polityki i ekonomii na literaturę można odnieść do neoliberalizmu, którego podstawą jest założenie, że dobrobyt człowieka może przynieść najlepszy postęp w wyniku uwolnienia indywidualnych umiejętności i wolności w zakresie przedsiębiorczości, a przez to wywoływać lub zwiększać optymalność wyborów i wydajności⁸. Według Birnsa uwaga ta odnosi się w literaturze szczególnie do okresu późnej współczesności, jako trybu artystycznego, który uległ destabilizacji w czasach neoliberalizmu. Birns podkreśla, że poszczególni pisarze australijscy odnoszą sukces wyłącznie o własnych siłach. Neoliberalizm chce zwycięzców, ale nie twórców tzw. „wielkich książek”, (których orędownikiem był Harold Bloom), tylko „książek odnoszących sukcesy” mierzone kapitałem kulturowym.

Znaczący wpływ na literaturę australijską wywarły również wyroki sądów i polityka rządu⁹. Wyrok sądu w sprawie Mabo z 1992 roku [który doprowadził do uchwalenia ustawy *Native Title Act* (1993)], przyznał Aborygenom i mieszkańcom wysp w Cieśninie Torresa prawo do niektórych gruntów ze względu na ich tradycyjne prawa i zwyczaje. Natomiast polityka rządu australijskiego przeprowadzająca Aborygenów [w tym szczególnie przeprosiny ówczesnego premiera Australii Kevina Rudda w 2008 roku] za tzw. *Skradzione pokolenie*, (czyli dzieci Aborygenów siłą usunięte ze swoich rodzin i społeczności przez kolejne rządy australijskie), wpłynęła również na australijską literaturę, co szczególnie

widoczne jest w książkach znakomitej aborygeńskiej pisarki Alexis Wright¹⁰.

Jak argumentował Ian MacLean, chwalebna tendencja białych artystów do identyfikowania się z ziemią australijską doprowadziła wcześniej do pewnych wyraźnych aktów zawłaszczenia wobec kultury aborygeńskiej¹¹.

Rozwój ustroju, który był wielojęzyczny, egalitarny i pluralistyczny, (choć nadal w przeważającej mierze europejski), sprawił, że Australia stała się bardziej zróżnicowana. Kolonialna Australia była krajem oddalonym od reszty świata z mieszkańcami żyjącymi najczęściej w poczuciu odosobnienia. Dzisiejsza Australia jest skrzyżowaniem dróg dla ludzi z całego świata. Neoliberalizm często pogłębia nierówności społeczne będące dziedzictwem rasizmu. Niemniej jednak, w kwestiach rasowych Australia generalnie przedstawia światu coraz bardziej twarz pojednania. Jednak otaczający świat nie jest niezmiennym monolitem i ma swoją własną dynamikę. Najbardziej wyrafinowane portrety współczesnej Australii rejestrują te złożoności. Temat wielokrotnie poruszał Jones G. dotykając w *Sorry* (2007) i w *Five Bells* (2018) problematykę skradzionego pokolenia i swoistego pokrzywdzenia Aborygenów¹².

Współczesna literatura australijska z troską i idealizmem przekazuje tragiczny sens przeszłości, a jednocześnie z niewzruszoną wizją przyszłości. Wśród często poruszanych tematów w początkowym okresie literackim w Australii znajdują się tożsamość tubylcza; braterstwo Australijczyków, przy tym nawet tych zesłanych, „piękno i strach” życia na odludziu i w australijskim buszu oraz doświadczenia migrantów.

W drugiej połowie XX wieku powstało wiele wspaniałych powieści australijskich pisarzy. **Thomas Keneally** (ur. 7 października 1935) australijski pisarz, scenarzysta, wykładowca akademicki jest autorem powieści historycznych opisujących stosunki między osadnikami z Europy a Aborygenami (*Bring Larks and Heroes* 1967)¹³. W 1972 roku wydał książkę *The Chant of Jimmie Blacksmith* o wczesnych latach Australii, jako angielskiej kolonii karnej, dzięki której zdobył międzynarodowe uznanie. Powieść oparta jest na prawdziwej historii pół Aborygena, który pragnąc poprawy swojej sytuacji, podejmuje się różnych prac dla białych, ale jest ciągle wykorzystywany i oszukiwany. Ta sytuacja ciągnie się aż do czasu, gdy bohater brutalnie zwróci się przeciwko swoim oprawcom buntując przeciwko rasizmowi. Na kanwie powieści powstał w 1978 roku film. Keneally należy do najbardziej płodnych autorów, który napisał do 2020 roku 39 powieści. Najbardziej zasłynął powieścią *Schindler's Ark* (1982), która była podstawą słynnego hollywoodzkiego filmu *Lista Schindlera*.

Peter Philip Carey (ur. 7 maja 1943) to australijski pisarz, który do 2012 roku wydał 13 powieści. Carey był dwukrotnym laureatem Nagrody Bookera. Raz za powieść *Oscar i Lucindy* (1989) a drugi raz za powieść o najbardziej znanym australijskim przestępcy w czasach kolonialnych, czyli o Nedzie Kellym. *True History of the Kelly Gang* (2000). Na jego twórczość oprócz powieści składają się również opowiadania i książki dla dzieci. W swojej twórczości eksploruje kolonialną przeszłość Australii. Został też laureatem Nagrody im. Miles Franklin za utwory: *Bliss* (1981), oraz *Jack Maggs* (1998). Inne znane prace tego autora to *Fictional*

Life (1978), *Fly Away, Peter* (1982) i *Conversations by the Carley Creek* (1996)¹⁴.

Również **Elizabeth Jolly** (1923 – 2007) opublikowała 13 powieści. Choć pisała przez całe życie, dopiero po pięćdziesiątce jej książki zaczęły zdobywać uznanie, na jakie zasługiwały. Trzykrotnie zdobyła nagrodę The Age Book of the Year (*Mr Scobie's Riddle* (1983), *My Father's Moon* (1989) i *The Georges' Wife* (1993) oraz nagrodę Milesa Franklina za *The Well* (1986). Jej dwie ostatnie powieści opublikowane przez Penguin to *An Accommodating Spouse* (1999) i *An Innocent Gentleman* (2001) Jej zbiór non-fiction, *Learning to Dance*, został opublikowany w 2006 roku.

Timothy John Winton urodził się 4 sierpnia 1960 roku w Subiaco, na przedmieściach Perth w zachodniej Australii. Podczas studiów w Western Australian Institute of Technology Winton napisał swoją pierwszą powieść *An Open Swimmer*, która w 1981 roku zdobyła australijską nagrodę literacką Vogel, rozpoczynając jego karierę pisarską. Winton stwierdził, że napisał „najlepszą część z trzech książek na uniwersytecie”¹⁶. W 1991 roku Winton opublikował *Cloudstreet*, co ugruntowało jego karierę pisarską. Kontynuował publikowanie beletrystyki i materiałów non-fiction. Obecnie mieszka w Australii Zachodniej. W 1995 roku *The Riders* Wintona znalazł się na liście nagród do Booker Prize for Fiction. *The Riders* jest obecnie adaptowany na potrzeby filmu. Winton zdobył wiele innych nagród, w tym czterokrotnie rekordową nagrodę Milesa Franklina: za *Shallows* (1984), *Cloudstreet* (1992), *Dirt Music* (2001) i *Breath* (2009). Jego książki są na przemian hałaśliwe i liryczne, serdeczne w swoich opisach życia rodzinnego, a postaci często muszą być w ekstremalnych sytuacjach, aby się odnaleźć. Jego proza ma wspaniałe wyczucie dziwnego piękna Australii i dużą dozę emocjonalnej bezpośredniości. Jego dzieła kwestionują wzorce do naśladowania macho, którzy są gotowi zaryzykować swoją realistyczną wiarygodność.

Colleen Margaretta McCullough (1937 – 2015) była australijską autorką najbardziej znaną z powieści *The Thorn Birds*¹⁷. Przed ukończeniem studiów zarabiała na życie, jako nauczycielka, bibliotekarka i dziennikarka. W 1963 roku przeniósła się na cztery lata do Wielkiej Brytanii, gdzie w londyńskim Yale napisała *The Thorn Birds*, która stała się międzynarodowym bestsellerem i jedną z najlepiej sprzedających się książek w historii (sprzedano ponad 30 milionów egzemplarzy na całym świecie). W 1983 roku nakręcono na jej podstawie jeden z najchętniej oglądanych miniseriów telewizyjnych wszechczasów „Ptaki ciernistych krzewów”. Po *The Thorn Birds* McCullough napisała swoje *opus magnum*: siedem powieści o życiu i czasach Juliusza Cezara, z których każda stanowi kolos o objętości do 1000 stron. Seria *Masters of Rome* zajmowała ją przez prawie 30 lat, od samego początku 1980 roku do publikacji ostatniego tomu w 2007 roku. Badania dotyczące każdego aspektu rzymskiej historii i cywilizacji były monumentalnym zadaniem i zaowocowały zgromadzeniem kilku tysięcy książek i monografii na półkach w jej domu. Łącznie McCullough napisała kilkanaście powieści fikcyjnych i biografii.

Wśród australijskich pisarzy cieszących się międzynarodowym uznaniem wypada wymienić również **Petera Carey**, **Thomasa Keneally**, **Colleena McCullough**, **Timothy Wintona** i oczywiście dzierzącego palmę pierwszeństwa **Patricka White'a**.



Colleen Margaretta McCullough

Pozycje literackie tych autorów można włączyć do tzw. literatury światowej.

Jak pisze Damrosch, „dzieło literackie objawia się inaczej za granicą niż w domu”, to znaczy jest czymś całkiem innym, gdy zostaje przeniesione w inny kontekst¹⁸.

Australijski analityk literatury światowej – Darmosh podkreśla globalność literatury. dążył do odróżnienia literatury światowej od narodowej podkreślając, że trwające przyspieszenie globalizacji gospodarczej i kulturowej wyniosło współczesną literaturę światową na nowy poziom¹⁹. W książce z 2009 roku *How to Read World Literature* Damrosch sugeruje, że dzięki literackim konwencjom dzieło, zrodzone w obcej kulturze, wchodzi w obieg światowy, gdzie staje się bardziej zrozumiałe. Literatura światowa obejmuje wszystkie dzieła literackie, które krążą poza kulturą swojego pochodzenia – w przekładzie bądź języku oryginalnym. Literatura światowa to nie tylko ustalony kanon tekstów, ale zarazem sposób czytania, w którym można odkryć szczególne zaangażowanie w świat istniejący poza naszym światem²⁰.

Niewątpliwie najważniejszym pisarzem australijskim, którego książki należą do wyróżnionej grupy literatury światowej jest noblista **Patrick White** (28 maja 1912–30 września 1990), który w latach 1935–1987 opublikował 12 powieści i trzy zbiory opowiadań²¹. Fikcja White'a wykorzystuje humor, kwiecistą prozę, zmieniające się narracyjne punkty widzenia i techniki strumienia świadomości. Nikt nie mógł postrzegać White'a, jako optymistycznego pisarza w naiwnym sensie, a już na pewno nie w kategoriach politycznych. Wszystkie postaci z książek White'a były kwintesencją modernistycznych przegranych, którzy mimo wszystko wygrali²².

White urodził się w Londynie. Jego rodzicami byli Australijczycy i gdy miał 6 miesięcy cała rodzina powróciła do Australii i zamieszkała w Sydney. Kształcił się w Cheltenham College i w King's College na Uniwersytecie Cambridge. Po ukończeniu studiów pozostał w Londynie. W czasie II wojny światowej służył w Royal Air Force na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej i Grecji. Był gejem. W 1941 roku poznał Manolię Lascarisa, greckiego oficera wojskowego, który został jego życiowym partnerem. Po wojnie White wrócił do Australii i wraz z Manolim



Patrick White noblista

na stałe osiedlił się w Nowej Południowej Walii. Tam kupił małą farmę w Castle Hill na północno-zachodnich obrzeżach Sydney i początkowo poświęcił się życiu na farmie²³. Zarówno on, jak i Lascaris ciężko pracowali, zajmując się nietypowymi obowiązkami zarówno w domu, jak i poza nim, ale większość ich plonów przepadała lub nie sprzedawała się.

Lata spędzone w Castle Hill zainspirowały większość najlepszych dzieł White'a, w tym jego powieść *The Tree of Man* (1955). Pod koniec 1951 roku White poślizgnął się w błocie podczas letniej ulewy i przeżył moment objawienia, w którym zdał sobie sprawę z obecności Boga we wszystkim. Jego zmieniony pogląd na świat doprowadził do zmian w sposobie pisania. White odmówił tytułu rycerskiego, a także różnych nagród literackich, ale w 1973 roku przyjął jako pierwszy Australijczyk, nagrodę Nobla w dziedzinie literatury²⁴. Wykorzystał pieniądze z Nobla, na ustanowienie nagrody literackiej im. Patricka White'a, przeznaczonej dla pisarzy, których twórczość nie spotkała się z odpowiednim uznaniem.

Najwybitniejszy utwór w dorobku pisarza *Riders in the Chariot* ukazał się w 1961 roku. To rozbudowana, wielowątkowa panorama australijskiego społeczeństwa w pierwszej połowie XX wieku. Bohaterami tej powieści są kolejne fale imigrantów przybywających na Antypody, ale także Aborygen oraz cudem uratowany z Holocaustu niemiecki Żyd. Wraz z bohaterami do Australii dociera wojenny koszmar oraz moralne dylematy odległej Europy. W tym samym roku otrzymał za tę książkę nagrodę im. Milesa Franklina. W następnej dekadzie powstały kolejne istotne książki: *The Burnt Ones* i *The Vivisector*. W 1973 roku otrzymał nagrodę Nobla za „epickie i psychologiczne mistrzostwo, dzięki któremu odkryty został nowy literacki kontynent”. Subtelne, symboliczne opisy White'a mają głębokie znaczenie i są wyrafinowane pod względem technicznym; być może najbardziej znaczące dzieła australijskiej prozy XX wieku.

Najważniejszymi późnymi utworami White'a są *A Fringe of Leaves* (1980) oraz autobiografia, *Flaws in the Glass* (1981). Jak wskazuje tytuł – *Wady w szkle* – White był szczery, jeśli chodzi o to, co uważał za swoje największe wady: zły humor, zazdrość i bezlitosną naturę. Ale wspomnienie dało mu również szansę, by

publicznie podziękować swojemu partnerowi Lascarisowi za jego niesłabnące wsparcie. Stanowisko polityczne White'a, zwłaszcza wobec wojny w Wietnamie, ostra krytyka brutalnego, obłudnego i prymitywnego społeczeństwa australijskiego pozbawiły go w kraju szacunku i popularności, jaką cieszył się z granicą²⁵. Główny bohater kolejnej powieści White'a, *The Twyborn Affair* (1979), przełącza się między rolami męskimi i żeńskimi w sposób, w jaki sam White był w stanie to zrobić tylko w swojej wyobraźni. Ta książka, którą wielu uważa teraz za najlepszą powieść White'a, została opublikowana w 2006 roku. Biblioteka Narodowa Australii nabyła dużą liczbę rękopisów White'a, które wcześniej uważano za zniszczone.

W przeglądzie najlepszych australijskich pisarzy nie może zabraknąć **Kate Morton**, pisarki, która opublikowała książki w ponad 38 krajach. Kate urodziła się w Berri w Australii Południowej w 1976 roku. Po licznych przeprowadzkach jej rodzina osiadła w Tamborine Mountain. Ukończyła studia z wyróżnieniem University of Queensland, uzyskując dyplom z literatury angielskiej²⁶. Mieszka z rodziną na przedmieściach Brisbane w Paddington Kate Morton. Jej książki *The Forgotten Garden* (2008) i *The House of Riverton* (2006), oraz *The Distant Hours* (2010) były wielkimi bestsellerami. Jej powieści zostały wydane w 39 krajach i sprzedane w 3 milionach egzemplarzy. Szczególną popularnością cieszą się w jej rodzimej Australii, USA, Włoszech, Wielkiej Brytanii oraz Niemczech.

Monika McInerney urodzona w 1965 roku to uznana australijska pisarka, autorka wielkich bestsellerów, takich jak *The Alphabet Sisters* (2004) czy *At Home with the Templetons* (2010). McInerney dorastała w rodzinie siedmiorga dzieci w regionie winiarskim Clare Valley w Australii Południowej. Książki Monica McInerney to najlepiej sprzedające się bestsellery w Australii²⁷. W latach 2014, 2016, 2018 i 2019 książki McInerney znalazły się w pierwszej dziesiątce ankiety Booktopii „Ulubiony powieściopisarz Australii”. Zbiór opowiadań *All Together Now* został nominowany do nagrody General Fiction Book of the Year w 2009. „Opisane historie, są budujące i wyciskają z oczu łzy, co może wynikać ze śmiechu, zabawy i żartobliwości, ale także z delikatnych obserwacji na temat kruchości miłości i życia”.

Bryce Courtenay (1933 – 2012) był pisarzem południowoafrykańskim i australijskim. Pisarz zasłynął między innymi bestsellerami należących do tzw. australijskiej trylogii: *The Potato Factory* (1995), *Tomom & Hawk* (1997) *Solomon's Song* (1999)²⁹.

John Maxwell Coetzee (ur. 9 lutego 1940 roku w Kapsztadzie), autor takich bestsellerów jak *Disgrace* (1999), *Waiting for the Barbarians* (1980), *Life & Times of Michael K* (1983) i *Elizabeth Costello* (2003) – jest zarówno pisarzem południowoafrykańskim jak i australijskim. John Coetzee za książkę *Disgrace* zdobył w 2003 roku nagrodę Nobla. Z uzasadnienia komisji noblowskiej wynika, że otrzymał ją za prozę cechującą się analityczną błyskotliwością i wymownymi kreacjami postaci³⁰. W twórczości skupia się na portretach samotników oraz ludzi uwikłanych w przemiany społeczno-gospodarcze i polityczne. Coetzee jest uważany w anglojęzycznym świecie za jednego z najważniejszych żyjących pisarzy. Oprócz Nagrody Nobla, jako pierwszy twórca otrzymał dwukrotnie najbardziej prestiżową

nagrodę literacką dla literatury anglojęzycznej, Bookera – w 1983 i 1999 roku. 6 marca 2006 roku Coetzee został obywatelem australijskim.

Pod koniec lat 90. akademickie badania literatury australijskiej zostały wzbogacone przez komentarze krytyków, którzy pisali do dodatków literackich gazet, dając przeglądowy, subiektywny choć stylowy pogląd na literaturę. Ich podejście do literatury australijskiej dotarło teraz do reszty świata za pośrednictwem Internetu, który wspaniale przysłużył się Australii, łącząc ją z resztą świata i umożliwiając intelektualną unię narodów anglojęzycznych³¹. Wraz z pojawieniem się Internetu wymiana kultury literackiej stała się znacznie skuteczniejsza. Książka, która odniosła sukces w Australii, może teraz mieć uzasadnione nadzieje na publikację, nie tylko w USA i Wielkiej Brytanii, ale także na przekład na całym świecie.

Można bez wątpienia stwierdzić, że literatura australijska stała się nie tylko globalna, ale i w dużej części światowa. W czasie gdy twórczość niektórych literatów, takich jak Alex Miller, Nicholas Jose, swym kanonem zbliżała się do Azji, to jednak większość pisarzy australijskich nadal tworzyła w ramach tradycji europejskiej. Powieści takie jak *Underground* Andrew McGahana (2006) i *The Unknown Terrorist* Richarda Flanagan (2006) zarejestrowały australijską reakcję na 11 września 2001 roku.

Australia zdobyła określone miejsce w literaturze światowej i choć znajduje się na zewnętrznym krańcu świata, jest jednocześnie jego częścią. Andrew Leigh, zauważył: „Kiedy rozmawiam z publicznością o nierównościach, wyczuwam, że australijskie wartości, takie jak egalitaryzm, partnerstwo i sprawiedliwa walka, są nadal silnie przestrzegane”³².

Dzisiejsza Australia zmieniła się na lepsze, a wszystko to dzięki większym powiązaniom międzynarodowym. Ponadto kultura australijska jest obecnie bardziej widoczna na całym świecie niż kiedykolwiek wcześniej. Obecnie Australia staje się schronieniem przed zgiełkiem panującym w starym świecie. Współczesna literatura australijska pokazuje, że świat jeszcze nie jest umarł i nie ma sensu nakłanianie do elegijnego spojrzenia na współczesną Australię. Trzeba jednak pamiętać, że świat zmienił się w ciągu ostatnich lat i współczesność różni się od przeszłości, co najlepiej pokazuje kariera książki australijskiego dziennikarza i debiutującego pisarza Trenta Daltona, która ukazała się 9 lutego 2020 roku nakładem wydawnictwa HarperCollins – pod tytułem *Chłopiec pochłania wszechświat*. Książka została obsypana najważniejszymi literackimi nagrodami w Australii, była nominowana do nagrody Debiut Roku 2019 portalu GoodReads.

Narratorem jest Eli, chłopiec, którego życie wielokrotnie brutalnie doświadczało. Mimo to jego historia nie jest kolejną ponurą opowieścią o trudnym dojrzewaniu. To pełna optymizmu historia o miłości i przyjaźni. A przede wszystkim o magicznej sile umysłu, która może zdziałać cuda. *Chłopiec pochłania wszechświat* to oryginalna i pełna



John Maxwell Coetzee

uroku historia, osadzona w Australii lat 80. XX wieku, która stanowi wielowymiarową opowieść o braterstwie, prawdziwej miłości i nieprawdopodobnej przyjaźni, a także o zbrodni i magicznej sile umysłu, o rodzinie i przeznaczeniu – jest hipnotyzująca i poruszająca, poetycko przepiękna. Trent Dalton to bez wątpienia jeden z najciekawszych pisarzy australijskich ostatnich lat³³.

Przypisy:

- 1 Gelder K. & Salzman P., 2009. *After the Celebration: Australian Fiction 1989–2007*, Melbourne: Melbourne University Press
- 2 Green H. M., 1984. *A history of Australian Literature*, Sydney
- 3 Pisarz z karą kryminalną. Współczesny detektyw australijski. Fragment charakteryzujący literaturę australijską 2009. <https://thestrrip.ru/pl/smoky-eyes/pisatel-s-kriminalnym-proshlym-sovremennyi-avstraliiskii-detektiv-otryvok>
- 4 Frow J., 2010. *On Midlevel concepts*, *New Literary History* 41(2) s. 244
- 5 Kostrzewski P., 2021. *Modernizm w literaturze – definicja, cechy*, <https://lekcjapolskiego.pl/baza-wiedzy/modernizm/>
- 6 Gazda G., 2000. *Postmodernizm. Słownik europejskich kierunków i grup literackich XX wieku*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe, PWN.
- 7 Birns N., 2015. *Australian Literature in a Time of Winners and Loser in Contemporary Australian Literature: A World Not Yet Dead* Published by: Sydney University Press Stable, <https://library.oapen.org/bitstream/handle/20.500.12657/31722/625670.pdf?sequence=1&isAllowed=y>
- 8 Olssen M., 2006. *Understanding the Mechanisms of Neoliberal Control: Lifelong Learning, Flexibility, and Knowledge* *Capitalism International Journal of Lifelong Education* 25(3).
- 9 Bloom H., . *How to Read and Why*, New York: Scribner.
- 10 Alexis Wright's "Vision Splendid": Aboriginal Economics, Climate Justice, and a Gaian World Literature 2022. <https://journals.openedition.org/ces/10776>
- 11 McLean I., 1998. *White Aborigines: identity politics in Australian art*, Cambridge University Press, Cambridge, UK, ss. 4–13.
- 12 The Stolen Generation, 2022. <https://aiatsis.gov.au/explore/stolen-generations>
- 13 Thomas Keneally, 2022. <https://www.britannica.com/biography/Thomas-Keneally>
- 14 Pisarz z karą kryminalną, Współczesny detektyw australijski, Fragment charakteryzujący literaturę australijską, 2009 opt. cit
- 15 Gelder K. & Salzman P., 2009. opt. cit
- 16 McCredden, L., 2016. *The Fiction of Tim Winton*, *Sydney University Press*.
- 17 McCullough C., 2022. <https://www.britannica.com/biography/Colleen-McCullough>
- 18 Darmrosch D., 2003. *Darmrosch What is world literature?*, Princeton University Press, Princeton, s. 8.
- 19 Damrosch D., 2009. *How to Read World Literature. How to Study Literature*. Oxford: Wiley-Blackwell, s. 106.
- 20 Czaplinski P., 2014. *Literatura światowa i jej figury*, http://rcin.org.pl/Content/59851/WA248_79647_P-I-2524_czaplinski-literatura_o.pdf
- 21 Patrick White, The Nobel Prize, 1973, <https://nobelprize.org/prizes.literature/1973/white/facts/>
- 22 Webby E., 2022. Patrick Victor White, <https://adb.anu.edu.au/biography/white-patrick-victor-paddy-14925>
- 23 Hubber B. & Smith V., 2004, *Patrick White: A Bibliography*, Australia: Oak Knoll Press and Quiddlers Press,
- 24 *Australian of the Year Awards*, 2011. [http://www.austlii.edu.au/other/australianoftheyear.org.au/recipient/?m=patrick-white-1973](http://www.austlii.edu.au/au/other/australianoftheyear.org.au/recipient/?m=patrick-white-1973)
- 25 Hesketh R., 2018. 'In Search of a National Idea' Australian Intellectuals and the 'Cultural Cringe' 1940 – 1972, <https://ses.library.usyd.edu.au/bitstream/handle/2123/19619/heskethrbcbthesis.pdf;jsessionid=C736D6B66DAAC77722BFFBAE542A9809?sequence=1>
- 26 About Kate, 2022. <https://www.katemorton.com/about-kate>
- 27 McInerney M., 2022. *Biography*, <https://www.moniamcinerney.com/biography/>
- 28 Edwards E., 2015. *A Conversation with Monica McInerney* <https://www.moniamcinerney.com>
- 29 Courtenay B., 2012. *Feature Interview. The Bottom Line (Interview)*. Interviewed by Malley. Canberra
- 30 <https://www.nobelprize.org/prizes/literature/2003/coetzee/lecture/>
- 31 Dale L., 2012. *The English Men: Professing Literature in Australian Universities*: Sydney University Press
- 32 Leigh A., 2015. *How government can guard against inequality*, <https://www.themandarin.com.au/22830-andrew-leigh-government-can-guard-inequality/>
- 33 *Extraordinary and beautiful storytelling: Boy Swallows Universe wins ABIA book of the year*, 2019. <https://www.theguardian.com/books/2019/may/02/extraordinary-and-beautiful-storytelling-boy-swallows-universe-wins-abia-book-of-the-year>



TOMASZ FOPKE

KULTURA PRZETRWAŁA PANDEMIĘ

NAJWAŻNIEJSZE KASZUBSKIE WYDARZENIA CYKLICZNE

Co jest wyznacznikiem żywotności, dynamizm kultury? Liczba i jakość tworzonych artefaktów oraz wielość i charakter przedsięwzięć, gdzie owe dzieła rąk ludzkich mają szansę zaistnieć, wybrzmieć. Kultura kaszubska od lat ewoluuje, dostosowuje się do obecnych trendów, przeistacza się. Jest, jak ją nazywa prof. Cezary Obracht-Prondzyński – hybrydą¹. Nie tracąc swego językowego rdzenia, absorbuje, chłonie obce wpływy, kierunki, formy – adaptując na potrzeby odbiorców. Tworzy nowe.

Szok, jaki wywołało wprowadzenie stanu światowej pandemii covidowej (w Polsce od marca 2020 do maja 2022) i związanych z tym lock-downów – nie pozostało bez wpływu na kulturę, również naszą, kaszubską. Przymusowe zamknięcia przybytków kultury, odwoływanie spotkań i ograniczenia liczby użytkowników kultury, „omaskowanie” twórców i odbiorców – spowodowało odejście od modelu „face to face” w kierunku „better – space” i internetyzację kontaktów międzyludzkich. To z kolei wpłynęło na „odsiew” słabiej ugruntowanych w tradycji, niestabilnych finansowo; powążyłbym się użyć sformułowania „mniej potrzebnych społecznie” – przedsięwzięć kulturalnych, których nie wznowiono po odwołaniu przez rząd epidemii. Były też takie, jak np. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Religijnej im. ks. Stanisława Ormińskiego w Rumi – które trwały przy zachowaniu wymaganych środków antywirusowych – przez cały czas obowiązywania stanu epidemii.

Podjęta próba wskazania najżywotniejszych kaszubskich przedsięwzięć kultur(e)alnych mających charakter cykliczny, dotyczy przede wszystkim tych, które opierają się na przekazie językowym w języku kaszubskim, jedynym języku regionalnym uznanym prawnie w Polsce oraz kilku innych wydarzeń, szczególnie wartościowych dla kultury, zwłaszcza w zakresie religii, sztuki i sportu. W poniższym omówieniu wykazano stan z roku 2022 i początku 2023. Pogrupowanie nie stanowi rankingu ważności. Grupę wydarzeń, w wyniku których tworzone są nowe dzieła otwierają konkursy literackie w języku kaszubskim.

Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Drzeżdżona³ organizowany przez Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie od 1996 roku, z przerwą w latach 2009-2012. Obecnie prace w języku kaszubskim nagradzane są w czterech

kategoriach: poezja, proza, dramat i tłumaczenia na kaszubski. Nagrodzone utwory publikowane są w „Pomeranii” a co kilka lat plon konkursowy wydawany jest w antologiach oraz w osobnych publikacjach autorskich.⁴

Konkurs im. Jana Drzeżdżona. Kaszubskie Małe Formy Literackie. Poezja. „Bielawa”⁵. Organizator: Ośrodek Kultury, Sportu i Turystyki w Gminie Puck. Organizowany od 2000 roku.⁶

Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Mieczysława Stryjewskiego, organizowany przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Lęborku od 1985 roku⁷. Nagradzane są także poezja i proza powstałe w języku kaszubskim.

Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Trepczyka⁸ na tekst piosenki dla dzieci. Organizowany przez Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie od 2016 roku, co dwa lata na zmianę z Ogólnopolskim Konkursem Kompozytorskim im. Renaty Gleinert. Spośród utworów nagrodzonych w kolejnych edycjach konkursu Jana Trepczyka, uczestnicy konkursu R. Gleinert wybierają teksty, do których piszą muzykę.

Kompozytorskie:

Ogólnopolski Konkurs Kompozytorski na chóralny utwór pasyjny do tekstu w języku kaszubskim⁹, organizowany przez Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie od roku 2014. Słowa do kolejnych edycji podaje tłumacz Pisma św. z greki na kaszubski o. prof. Adam Ryszard Sikora.

Ogólnopolski Konkurs Kompozytorski na kolędę kaszubską¹⁰, przeprowadzany od 2020 roku przez Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Teksty na zamówienie piszą uznani „tekściarze” kaszubszy. Dotychczas byli to: Jerzy Stachurski, Eugeniusz Pryczkowski, Kazimierz Jastrzębski, Mirela Fiedorowicz.

Ortograficzny:

Dyktando Kaszubskie „Piszã pò kaszëbskù – Królewionka w Pałacu”¹¹. Konkurs wędrujący. Głównym organizatorem jest biuro Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Dotychczas dyktanda odbyły się w następujących miejscowościach: Gdańsk (2002), Wejherowo (2003), Kartuzy (2004), Puck

(2005), Żukowo (2006), Sopot (2007), Kościerzyna (2008), Sierakowice (2009), Bytów (2010), Gdańsk (2011), Strzecz (2012), Szymbark (Szymbark), Luzino (2014), Gdynia (2015), Kosakowo (2016), Bojano (2017), Kolbudy (2018), Słupsk (2019), Reda (2020), Szczecin (2021), Miastko (2022). Tegoroczna edycja dyktanda odbędzie się w Chmielnie.

Literacko-recytatorskie:

Konkurs powiatowy „Bě nie zaběc mòwě starków”¹² organizowany od 1992 r. przez Muzeum Ziemi Puckiej. Łączy funkcję twórczą (uczestnicy piszą teksty) oraz odtwórczą – recytują je.

Diecezjalny Konkurs Poezji Maryjnej w Kościerzynie¹³, organizowany przez Parafię św. Trójcy i Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Kościerzynie już 22 lata. Łączy funkcję twórczą (uczestnicy tworzą teksty) oraz odtwórczą – deklamują je, także w języku kaszubskim. Plon konkursowy jest wydawany w formie antologii.

Regionalny Konkurs „Poetyckie podróże po Kaszubach” organizowany przez Szkołę Podstawową w Męcikale (gm. Brusy, pow. chojnicki). Składa się z części pisarskiej

i recytatorskiej. W roku 2022 odbył się po raz XIII.

Oratorskie, deklamatorskie, lektorskie:

Wielewski Turniej Gawędziarzy¹⁴ organizowany od roku 1978 przez Dom Kultury we Wielu, w okresie letnim. Można wykonać teksty własne bądź innych autorów.

Mistrzostwa Polski w zażywaniu tabaki¹⁵ organizowane są od roku 2003 przez Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Chmielnie. Prezentacji zażywania towarzyszy gawęda w języku kaszubskim.

Konkurs Recytatorski Literatury Kaszubskiej „Rodnò Mòwa”, organizowany jest w dwóch kategoriach: poezji i prozy – przez Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji oraz Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Chmielnie. Rozpoczęto organizację w roku 1972. W 2023 roku będzie to 52. edycja.

Wojewódzki Konkurs Recytatorski Wierszy i Fraszek Ewy Warbowskiej¹⁶. Organizatorem konkursu jest Mała Szkoła w Szopie (gm. Sierakowice). W grudniu 2022 roku była to 13 edycja konkursu. Materiał do recytacji udostępniany jest w internecie.

Wojewódzki konkurs lektorski „Méster Bělnègò Czětaniò”¹⁷ po raz pierwszy zorganizowała (jako gminny) Gminna Biblioteka Publiczna w Bolszewie (gm. Wejherowo) w roku 2012.

Od roku 2017 organizuje go Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Jest to obecnie najpopularniejszy konkurs kaszubski. W roku 2022 wzięło w nim udział ponad 1300 uczestników.

Powiatowy Konkurs Recytatorski w języku kaszubskim „Kaszëbszczé Farwé”¹⁸ organizowany od 6. lat przez Fundację „Lex humana” w Szkole Podstawowej w Skórowie (gm. Potęgowo, pow. słupski).

Spotkania literacko-dyskusyjne:

Remusowy Krąg w Borzestowie¹⁹ organizuje od początku tego wieku Brunon Cirocki. Spotkania odbywają się w Szkole Podstawowej w Borzestowie (gm. Chmielno). Obok rozmów

z zaproszonymi gośćmi, stałym fragmentem jest czytanie wyciągu „Żęcò i przigòdów Remùsa” Aleksandra Majkowskiego.

Ogródki literackie (Zéńdzenié Lubòtników Kaszëbszczi Lëteraturë), gdzie prezentowana jest literatura, muzyka i sztuka kaszubska. Od 2010 roku organizuje je emerytowana kaszubistka Felicja Baska-Borzyszkowska w swoim „ogròdku” w Łubianie, a ostatnio gościnnie w Lipuszu i Chmielnie.

Literackie środy w pałacu – letnie spotkania z twórcami literatury kaszubsko-pomorskiej organizują wspólnie od 2015 roku Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego i Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie.

Teatr, kabaret, film, internet:

Przegląd teatralny „Zdrzadniò Tespisa”²² w Chojnicach organizowany jest przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie i Chojnickie Centrum Kultury od roku 2013.

Kaszubska Biesiada Kabaretowa „BĚLNY WIC”²³ w Ostrzycach, którą robi Gminny Ośrodek Kultury w Somoninie od roku 2006. Uczestnicy bawieni są przez kaszubskich artystów kabaretowych, m.in. z kabaretów „Kùnda” i „Pùrtcè”.

Kaszubskojęzyczny konkurs dubbingowy i memowy „Złoti jigrzan”, organizowany przez Klub Studencki „Pomorania”. W tym roku rusza IV edycja konkursu.

Festiwal Filmów Kaszubskich²⁵ prowadzony jest przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Baninie na terenie gminy Żukowo. W roku 2022 była to XII edycja.

Wydarzenia muzyczne:

Od roku 2002 w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie prof. Witosława Frankowska realizuje swój autorski cykl „Spotkania z muzyką Kaszub”.²⁶ Wybrzmiały już 74 koncerty. Wydana została monografia cyklu.²⁷

Od 35. lat organizowany jest przez Komitet Organizacyjny Międzynarodowy Festiwal Muzyki Religijnej im. ks. Stanisława Ormińskiego w Rumi²⁸. Od roku 2010 osobno nagradzane jest wykonanie chóralne pieśni religijnej w języku kaszubskim.

Stowarzyszenie Miłośników Gminy Jastarnia i Rozwoju Turystyki PÓŁWYSEP w roku 2022 przeprowadziło XXIII Metropolitalny Festiwal Piosenki Religijnej, gdzie nagradza się za „wykonanie piosenki kaszubskiej lub z regionu, z którego pochodził zespół. Koncerty odbywają się w parafiach gminy Jastarnia.

Pomorski Festiwal Pieśni Wielkopostnej²⁹ w Kielnie w roku 2023 ma swoją 15 edycję. Organizuje go Gminne Centrum Kultury, Sportu i Rekreacji w Szemudzie. Osobno nagradzane jest chóralne wykonanie utworu w języku kaszubskim. W tym roku (25 marca), Nagrodę specjalną i Puchar prezesa Rady Chórów Kaszubskich za najlepsze wykonanie utworu w języku kaszubskim otrzymał Żeński Chór Kameralny „Iuvenes Corda” z Białegostoku pod dyrekcją Anna Olszewskiej a wyróżnienie – puchar Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oddziału w Szemudzie - otrzymał Chór Politechniki Koszalińskiej "Canzona”.

Festiwal Kolęd Kaszubskich i Pieśni Adwentowych³⁰ przygotowywany jest przez Stowarzyszenie Kaszubski Regionalny Chór „Morzanie” z Dębogórze co roku od 2006 w innych w



kilku kościołach regionu; przesłuchania konkursowe są zawsze w Pierwoszynie.

Lęborski Przegląd Kolęd Kaszubskich im. Franciszka Okunia zapoczątkowano w 2017 roku za sprawą Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku, Centrum Kultury „Fregata”, Stowarzyszenia św. Jakuba Apostoła i Sanktuarium św. Jakuba w Lęborku. Od roku 2020 jest to Pomorski Przegląd Kolęd Kaszubskich im. Franciszka Okunia w Lęborku.

Nie ma formuły konkursowej.

Od 2001 roku w Szkole Podstawowej im. Lecha Bądkowskiego w Luzinie przeprowadzany jest Pomorski Festiwal Piosenki Kaszubskiej „Kaszëbsczë Spiëwë”³¹. Wykonawcy prezentują piosenki kaszubskie solo i w zespołach.

Wojewódzki Konkurs Pieśni im. Jana Trepczyka³² organizowany jest przez Szkołę Podstawową im. Jana Trepczyka w Miszewie (gm. Żukowo) od 2008 roku. Jeden z wykonywanych utworów jest autorstwa patrona konkursu.

Przegląd Twórczości Kaszubskiej Dzieci i Młodzieży³³ w Kartuzach. Od 10 lat organizują go Szkoła Podstawowa nr 2 im. Mikołaja Kopernika w Kartuzach oraz Stowarzyszenie „Copernicus”.

Na Kaszubski Festiwal Polskich i Światowych Przebojów w Lipnicy zaprasza od 2010 roku Zespół Szkół w Lipnicy.³⁴ Wykonawcy

śpiewają utwory przetłumaczone na język kaszubski. Tłumaczenia są również nagradzane.

Ogólnopolski Festiwal Pieśni o Morzu w Wejherowie, organizowany jest obecnie przez Wejherowskie Centrum Kultury od 1966 roku w cyklu dwuletnim. Utwór w języku kaszubskim jest specjalnie premiowany.

Festiwal Pieśni Kaszubskich „Kaszëbsczë tónë nad Mòlim Mòrzã” organizuje w Swarzewie od 23 lat Ośrodek Kultury, Sportu i Turystyki Gminy Puck. Występują zarówno soliści, jak i zespoły.

Festiwal „Cassubia Cantat”³⁶ organizowany jest od 2010 roku przez Muzeum Zachodnio-Kaszubskie w Bytowie. Nagrania wydawane są na płytkach pokonkursowych.

Zjôzd Kaszëbsczëch Spiëwôków jest najważniejszą imprezą Rady Chórów Kaszubskich. Organizowany jest od roku 2003 przez poszczególne zespoły – członków Rady. Wydarzenie ma charakter wędrujący. Dotychczas odbyły się w: I – 2003 r. – Luzino, II – 2004 r. – Parchowo; III – 2005 r. – Wejherowo; IV – 2006 r. – Linia; V – 2007 r. – Reda; VI – 2008 r. – Mechelinki; VII – 2009 r. – Żukowo; VIII – 2010 r. – Chwaszczyno; IX – 2011 r. – Rumia; X – 2012 r. – Banino; XI – 2013 r. – Żelistrzewo; XII – 2014 r. – Gniewino; XIII – 2015 r. – Kosakowo; XIV – 2016 r. – Gdynia; XV – 2017 r. – Wejherowo; XVI – 2018 r. – Chwaszczyno XVII – 2019 r. – Luzino; 2020 r. i 2021 r. – zjazdy się nie odbyły z powodu pandemii; XVIII – 2022 r. – Wejherowo.

Konkurs Pieśni o Morzu „Jantarowi Bôt” w Pierwoszynie, w roku 2022 miał swoją 20. edycję. Robi go Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie oddział Dębogórze-Kosakowo. Występują soliści i zespoły.

Przegląd Zespołów Regionalnych w Wierzhucinie organizuje Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie oddział w Wierzhucinie. W roku 2022 roku była to 23. edycja.³⁷

Międzynarodowy Festiwal Folkloru „Kaszubskie Spotkania z Folklorem Świata” w Brusach. Organizowane od początku jako Międzynarodowy Festiwal Folkloru „Dni Kultury Kaszubskiej” przez Zespół Folklorystyczny „Krëbanë”³⁹, obecnie przez Centrum Kultury i Biblioteki im. Jana Karnowskiego w Brusach.

Festiwal Międzynarodowe Spotkania z Folklorem „Muzyka regionów”⁴⁰ realizowany jest od 2007 roku przez Centrum Sportu i Rekreacji w Lęborku i Lęborskie Stowarzyszenie św. Jakuba Apostoła.

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie organizuje dwa maratony śpiewacze: Maraton Pieśni Patriotycznej^{41,42} (11 listopada, z okazji Dnia Niepodległości, 7 edycji, ok. 200 uczestników, ok/ 70 pieśni, ponad 4 godz. śpiewu) oraz Maraton Pieśni Kaszubskiej⁴³ (w przeddzień Dnia Jedności Kaszubów, 18 marca, dwie edycje, dwie godziny śpiewu, ok. 20 utworów). Uczestnicy losują utwory, które są wspólnie wykonywane przy akompaniamencie instrumentalnym. Śpiewający korzystają ze śpiewników lub z ekranu z tekstami.

Państwowa Szkoła Muzyczna I st. im. Fryderyka Chopina w Wejherowie w tym roku (26-30 czerwca), zaprasza na XXIV Kaszubskie Warsztaty Akordeonowe.⁴⁴ Ich uczestnicy pracują m.in. nad specjalnie opracowywanym na warsztaty repertuarem kaszubskim, który potem jest wydawany drukiem. Autorem tych opracowań jest m.in. Krzysztof Naklicki ze Świnoujścia.

W roku 2022 Centrum Kultury i Biblioteka w Gniewinie zorganizowała XV Kaszubski Przegląd Orkiestr Dętych. Podobny przegląd funkcjonuje w Szemudzie.

Wydawnicze:

Targi Książki Kaszubskiej i Pomorskiej „Costerina”⁴⁵ prowadzone są przez Miejską Bibliotekę Publiczną im. Konstantego Damrota w Kościerzynie, od roku 2002. Podczas targów nagradzani są autorzy najlepszych nowych wydawnictw, także kaszubskojęzycznych.

Konkurs „Literacki Gryf”⁴⁶ Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Celem konkursu organizowanego od roku 2009 jest m.in. upowszechnianie informacji ukazujących się o nowościach literatury regionalnej oraz promocja twórców piszących o Wejherowie i ziemi wejherowskiej.

Kaszubska Nagroda Literacka „Wiatr od morza” przyznawana jest za szczególne dokonania literackie w języku kaszubskim, w tym także za tłumaczenie na język kaszubski zrealizowane w roku poprzedzającym jej wręczenie lub za całokształt pracy literackiej w tym języku. Organizatorem Nagrody jest Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Fundatorem jest Marszałek Województwa Pomorskiego. Dotychczas Nagrody przyznane zostały Stanisławowi Jankemu, Krystynie

Lewnie, o. prof. Adamowi Ryszardowi Sikorze, Idzie Czaji oraz ks. prof. Janowi Walkuszowi.

Konkursy wiedzy:

Konkurs wiedzy o Kaszubach⁴⁷ został zainicjowany przez gazetę „Dziennik Bałtycki” w roku 1996. W roku 2022 nosi nazwę „Tatczężna”. Organizuje go dziennik „Zawsze Pomorze” i Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie.

Wojewódzka Olimpiada Wiedzy o Kaszubach i Pomorzu⁴⁸ obecna jest w I Liceum Ogólnokształcącym im. Książąt Kaszubsko-Pomorskich w Rumi. W roku 2022 była to IV edycja wydarzenia.

Szkoła Podstawowa nr 82 im. prof. Jana Czochrańskiego w Gdańsku organizuje Wojewódzki Konkurs Wiedzy „Baśnie i legendy kaszubskie”. Wydarzeniu temu towarzyszy konkurs plastyczny. W roku 2022 była to 11. edycja.

Wojewódzki Konkurs Wiedzy o Kaszubach „Kaszubski Wiec”⁴⁹ przygotowujący jest przez Szkołę Podstawową im. Jana Pawła II w Borkowie (gm. Żukowo). W roku 2022 odbył się po raz szósty.

Inne przedsięwzięcia cykliczne, istotne dla kultury kaszubskiej:

Wydarzenia religijne⁵⁰:

Msze św. ogłaszane nie tylko z ambony, ale przez internet: z kaszubską liturgią Słowa, z elementami języka kaszubskiego, msze kaszubskie, z elementami języka kaszubskiego, sporadycznie ze śpiewem po kaszubsku⁵¹: Gdańsk (par. św. Józefa, bpa Polikarpa, bł. Doroty z Mątew); Kartuzy (kolegiata); Sierakowice; Rumia (par. Podwyższenia Krzyża); Wejherowo (par. św. Leona Wielkiego); Reda – Rekowo Dolne; Banino; Żukowo; Chwaszczyno; Luzino (par. św. Wawrzyńca); Kolbudy; Przdokowo; Szemud; Sianowo; Słupsk; Gdynia; Skorzewo; Goręczyno; Brusy.

Nabożeństwa majowe po kaszubsku: Brusy; Luzino – chór „Lutnia” z Luzina (pieśni maryjne pò kaszëbskù); Rumia, Kazimierz – chór „Rumianie” (pieśni maryjne pò kaszëbskù).

Różaniec po kaszubsku odmawiany jest w Gdyni – Wielkim Kacku (każdy wtorek października) oraz w Cisowej (w parafii Przemienienia Pańskiego).

Drogi krzyżowe z rozważaniami po kaszubsku: pandemiczne – internetowe: Wejherowo, Sianowo⁵³. W kościele: Wygoda Łączyńska⁵⁴, Gdynia – Wielki Kack (już 28 lat, każdy wtorek W. Postu); Reda Rekowo; Chwaszczyno; Banino; Pierwoszyno, Pręgowo, Goręczyno, Przdokowo, Lębork (św. Jakuba). W plenerze: Wejherowo⁵⁶ – na Kalwarii, Sianowo – na placu sanktuarium, w Lesie Piasnickim (ZKP Krokowa). Na dodatkowe wspomnienie zasługuje Ekstermalna Droga Krzyżowa (nocna, 50 km).

Pielgrzymki „kaszubskie”: na Jasną Górę, do sanktuariów w Wejherowie, Sianowie, Polanowie, Wielu i Swarzewie.

Wspólne śpiewanie kołęd kaszubskich: w kościele – Wierzhucino; poza kościołem, w sali „Strefy Kultury” – Chwaszczyno (Odwitanie z kòładą).

Imprezy masowe:

Zjazdy Kaszubów, Dni Jedności Kaszubów⁵⁹ – największe kaszubskie imprezy ludowe, wędrujące. Głównym organizatorem jest

Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, który wskazuje współorganizatorów lokalnych spośród ubiegających się samorządów. Podczas tych wydarzeń odbywają się koncerty, kiermasze, spotkania literackie, turnieje kaszubskiej gry karcianej - „baški” i bicie grupowego rekordu w jednoczesnej grze na akordeonie (DJK). Obie imprezy mają charakter integracyjny. Tradycyjnie na zjazdy Kaszubów uruchamiany jest specjalny przejazd pociągiem „Transcasubia”. Kolejne obchody Dni Jedności Kaszubów przyciągały Kaszubów w następujące miejsca: Tuchomie (2006), Kramarzyny (2007), Miastko (2008), Bytów (2009), Kartuzy (2010), Słupsk (2011), Brusy (2012), Kościerzyna (2013), Sierakowice (2014), Sulęcyno (2015), Bojano (2016), Chmielno (2017), Kosakowo (2018), Żukowo (2019), Sopot (2022) i Gniewino (2023). Zjazdy Kaszubów odbywały się w: Chojnicach (1999), Helu, Wejherowie, Kartuzach, Słupsku, Kościerzynie, Łebie, Gdyni, Brusach, Gdańsku, Bytowie, Pucku, Lęborku, Sopocie, Władysławowie, Pruszczu Gdańskim, Redzie, Wdzydzach, Rumi, Luzinie, Chojnicach, Pucku i Brusach. XXIV Zjazd odbędzie w Kartuzach (2023). ZK upamiętniają utworzenie Województwa Pomorskiego, DJK – pierwszą pisemną wzmiankę o Kaszubach w bulli papieskiej w roku 1238.

Jarmark Wdzydzki⁶⁰ jest największą letnią imprezą folklorystyczną w muzeum na wolnym powietrzu. Przygotowuje ją niezmiennie na swoim terenie Muzeum – Kaszubski Park Etnograficzny im. Teodory i Izydora Gulgowskich we Wdzydzach.

Jarmark Kaszubski w Rumi⁶¹, robi Miejski Dom Kultury w Rumi. W roku 2022 miał swoją 28. odsłonę.

Jarmark Kaszubski w Kartuzach⁶², organizowany jest od 1993 roku przez Kartuskie Centrum Kultury.

Festyn Kaszubski w Rewie⁶³ przygotowywany jest przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie oddział Dębogórze-Kosakowo. W roku 2022 była to 25. edycja.

Festyn Kaszubski w Baninie⁶⁴, organizowany przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Baninie. W roku 2022 miał swoją 17. edycję.

Ogólnopolski Konkurs Haftu Kaszubskiego⁶⁵ w Lini realizowany przez Gminny Dom Kultury w Lini. W roku 2022 była to 27. edycja. Konkurs nosi imię jego inicjatora i długoletniego organizatora, Edmunda Szymikowskiego.

Fabryka Kultury w Redzie organizuje (w 2022 roku po raz 8.) – Międzynarodowy Konkurs Kaszubskiej Sztuki Wizualnej⁶⁶. Tradycyjne wzory haftu są cyfrowo interpretowane na nowo.

W roku 2022 po raz 6. zorganizowano Festiwal Truskawek Kaszubskich⁶⁷ nad jeziorem w Chmielnie. Jego organizatorem jest Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Chmielnie.

Sport:

Kaszubskie mecze siatkarskie Treffa⁶⁸, podczas których na trybunach zasiadają uczniowie kaszubskiego biorący udział w konkursie plastycznym, organizowanym przez Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. W roku 2022 odbywał się po raz siódmy.

Kaszubskie Stowarzyszenie Kultury Fizycznej w Żukowie organizuje od roku 2013 cykl biegów pn. „Kaszuby biegają”⁶⁹.

W roku 2023 wzbogacono cykl o bieg dookoła Kaszub. Impreza ma swój hymn.

Gale nagród kaszubskich.

Najważniejszą nagrodą za propagowanie kultury kaszubskiej i wkład w jej rozwój jest przyznawany od roku 1967 przez Klub Studentów „Pomorania” – Medal Stołema⁷¹.

Do istotnych wyróżnień przyznawanych przez społeczność kaszubską, w tym Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie należy zaliczyć:

Oznakę honorową „Pieczęć Świętopięka Wielkiego”, która została ustanowiona przez oddział gdański ZKP w 1975 roku. Przyznawana jest za rzetelną, nacechowaną oddaniem pracę organizacyjną na rzecz Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, dzięki której możliwe jest realizowanie celów statutowych ZKP.⁷²

Medal „Srebrną Tabakierę Abrahama”⁷³, ustanowiony jako wyraz szczególnego wyróżnienia i uznania za zasługi w działalności publicznej przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie oddział w Gdyni.

Skrę Ormuzdową. Przyznaje ją od 1985 roku miesięcznik „Pomerania” wydawany przez Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Okolicznościową rzeźbą oraz dyplomem wyróżniane są osoby, które rozwijają pasje twórcze, propagują kulturę kaszubską i pomorską, działają bez rozgłosu, przewyciężają trudne środowiskowe warunki oraz podejmują społeczne inicjatywy w dziedzinie kultury. Od 1985 roku Skrami Ormuzdowymi uhonorowano ponad 170 osób.⁷⁴

Stypendium im. Izabeli Trojanowskiej⁷⁵ przeznaczone jest dla młodych osób, podejmujących pracę w zawodzie dziennikarskim, w szczególności w dziennikarstwie telewizyjnym, pochodzących z Kaszub i szczerze zaangażowanych w specyfikę swojej małej kaszubskiej ojczyzny. Przyznaje je kolegium Redakcyjne „Pomeranii”.⁷⁶

Ryngrafy Witostawa przyznawane są od 2012 roku przez Kapitułę Odznaki „Ryngraf Witostawa”. Tworzą ją Zarząd Stowarzyszenia Nauczycieli Języka Kaszubskiego „Remusowi Dręże” oraz odznaczeni wcześniej „Ryngrafem Witostawa”. Wyróżnienie nawiązuje do średniowiecznego rycerza Witostawa, którego postać znaleźć można w eposie kaszubskiej Aleksandra Majkowskiego „Żęc i przigodę Remusa”. Wyróżnienie Ryngraf Witostawa wręczane jest podczas dni kaszubskich w Zespole Kształcenia i Wychowania w Kamienicy Szlacheckiej w gminie Stężycza. W roku 2023 uroczysta gala odbędzie się 11 maja.

Zebrane powyżej dane dotyczące najistotniejszych kaszubskich cyklicznych przedsięwzięć kulturalnych mogą nie stanowić pełnej bazy, jednakże liczba zdarzeń i różnorodny charakter pozwalają na stwierdzenie, że kultura kaszubska jest kulturą żywą, w obrębie której zawierają się procesy twórcze i odtwórcze, mające swoich odbiorców. Wynika to przede wszystkim z determinacji organizatorów kultury, zarówno instytucji jak też stowarzyszeń i osób fizycznych. Probiez „popandemijny” w sposób nieco brutalny przydał się w badaniu żywotności kultury Kaszubów. Powrót po stanie przymusowej izolacji okazał się być ważkim wyznacznikiem „potrzebności” danego wydarzenia kulturalnego dla społeczności lokalnych, grupy regionalnej a także rzeszy ogólnokrajowej.

Udokumentowany wyżej stan pozwala na zachowanie pewnej dozy optymizmu wobec stałego nacisku kultur silniejszych, państwowej – polskiej i internetowej – różnorodnej z przewagą angielszczyzny – na język i kulturę kaszubską, która ulega przestaczaniu w kulturową hybrydę, co jednak nie wpływa na utratę jej wartości oryginalnych.

Źródła:

1. Cezary Obracht-Prondzyński, Tomasz Fopke, Katarzyna Kulikowska. *Współczesna Kultura Kaszubska. Teróczasno Kaszëbskô Kùltura*. Gdańsk 2018, s. 238-242;

2. Jan P. Dettlaff. *Kaszubskie Małe Formy Literackie. Poezja*. „Bielawa” im. Jana Drzeżdżona, w: „Światy możliwe Jana Drzeżdżona” pod red. Daniela Kalinowskiego, Biblioteka Publiczna Gminy Wejherowo, Bolszewo 2013, s. 255-256;

3. Roman Drzeżdżon. *Bë nie zabëc... miona Jana Drzeżdżona. 20 lat kònkùrsu kaszëbsczij gòdczi w pùcczim pòwiòce*, w: „Światy możliwe Jana Drzeżdżona” pod red. Daniela Kalinowskiego, Biblioteka Publiczna Gminy Wejherowo, Bolszewo 2013, s. 177-197;

4. Tomasz Fopke. *Powrót Drzeżdżona. Ćwierć tysiąca kaszubskich znaków w „Światy możliwe Jana Drzeżdżona”* pod red. Daniela Kalinowskiego, Biblioteka Publiczna Gminy Wejherowo, Bolszewo 2013, s. 245-247;

5. Tómk Fópka. *Pòdjimiznë dlò rodny mòwë. Stojizna na rok 2017*. Biuletin Radzëznë Kaszëbszczégò Jãzëka 2017, Kaszëbskò-Pòmòrszczë Zrzeszenié, Gduńsk, s. 57-73;

6. Tómk Fópka, *Kaszëbszczë lëteracczë kònkùrsë – jimë z jãzëkã*, „Stegna – kaszëbszczë lëteracczë pismiono” nr 3/2008 (9), s. 25-27;

7. Tómk Fópka, „Pisanie kaszëbszczëch piosnów pieniãdzama (nié) do zapłaceniò”, *Pomerania* nr 5 (509), maj 2017, s.19-21; *Bólszewszëcë rozegracje rodny mòwë – Méster Bëlnégò Czëtaniò*, dz. 1, *Pomerania* nr 7-8 (511) lipiec-sierpień 2017, s. 50-51; *Bólszewszëcë rozegracje rodny mòwë – Méster Bëlnégò Czëtaniò*, dz. 2, *Pomerania* nr 9 (519) wrzesień 2017; *Cassubia cantat*, „Pomerania” nr 5/2015, s. 24-25; Remùsowi Krag w Bòrzëstowie – mòłò kòrbionka ò wiòldzi sprawie, „Pomerania” nr 10 (513) październik 2017, s.19-21; *Cassubia Cantat*. Bògati brzòd bëtowszëcégò festiwalu, „Pomerania” nr 5/2016 (498), s. 26-28.

8. Artur Jabłoński. *Wimię Drzeżdżona*, *Kwartalnik Artystyczny Bliza*, nr 3(27) 2016, Gdynia, s. 188-189.

9. Stanisław Janke. *Srebrna historia „Rodny mòwë”*, w „Światy możliwe Jana Drzeżdżona” pod red. Daniela Kalinowskiego, Biblioteka Publiczna Gminy Wejherowo, Bolszewo 2013, s. 199-203. (przedruk z „Pomeranii” 1996, nr 7-8, s. 65-67).

10. Radosław Kamiński. *Ogólnopolskie Konkursy Prozatorskie im. Jana Drzeżdżona* w: „Światy możliwe Jana Drzeżdżona” pod red. Daniela Kalinowskiego, Biblioteka Publiczna Gminy Wejherowo, Bolszewo 2013, s. 221-229 (lata 1996-2008);

11. Wanda Lew-Kiedrowska. *Królewionka w pałacu. O pòżytkach płynących z Dyktanda Kaszubskiego*, w: *Język. Tradycja. Tożsamość*, pod red. E. Rogowskiej-Cybulskiej i M. Milewskiej-Stawiany, Wyd. UG, Gdańsk 2013, s. 45-51; Wanda Lew-Kiedrowska: *Królewionka w Pałacu – abò „Kaszëbszczë diktanda...”*, w: *Biuletin Radzëznë Kaszëbszczégò Jãzëka, Zrzeszenié Kaszëbskò-Pòmòrszczë*, 2015, s.162-166; Justyna Pomierska „Język kaszubski” w edukacji międzykulturowej Pomorza, w: *Kultura w edukacji międzykulturowej – doświadczenia i propozycje praktyczne*, pod red. T. Lewowickiego, E. Ogródkiej-Mazur, A. Gajdzicy, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2013; J. Pomierska *Nauczanie języka kaszubskiego w dobie powszechnej globalizacji i uniwiersalizacji*, w: *Mała ojczyzna wobec wielokulturowej Europy* pod red. G. Różańskiej, Wyd. Jasne, Pruszcz Gdański-Słupsk 2013;

12. Kwerenda internetowa i telefoniczna.

Przypisy:

1 Cezary Obracht-Prondzyński, Tomasz Fopke, Katarzyna Kulikowska. *Współczesna Kultura Kaszubska. Teróczasno Kaszëbskô Kùltura*. Gdańsk 2018, s. 12.

2 z ang. twarzą w twarz, lepiej na odległość.

3 Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - XXIV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Drzeżdżona (wejherowo.pl)

4 Dotychczas drukiem ukazały się: *Dërchòj królewionkò. Antologia dzysdniowi prozë kaszëbsczij*. Zebròł i òpracowòł Eugéniusz Prëczkòwsczi, SZOS, Gdynia, 1996; Bolesław Bork. *Twierdzą był im każdy próg. Opowieść historyczna*. red. Jerzy Treder, Justyna Pomierska, Wejherowo 1998; Zygmunt Narski, *Zaduma serca. Opowiadanie o losach Ziemi Kaszubskiej*, przedm. Józef Borzyszkowski, Wejherowo 1999; *Czas zelinta i inne opowiadania*. Wybór, układ i wstęp Zbigniew Żakiewicz, Wejherowo 2000; *Kaszëbskò nòtëra. Antologió pòwiòstków nòdgròdzonech w latach 1996-2000*, red. i wybór Jerzy Treder i Stanisław Janke, Wejrowò-Gduńsk 2001; *Bòlesłòw Bòrk, Lesoczczë pòwiòstczij ë jiné dokòzë*. Wstëp, opracowanie i redakcja Jerzy Treder, Wejherowo 2002; *Kaszëbszczë dzeje ë dzyszëszë zëcé*. Dokòzë kaszëbsczij prozë. Zwësk Òglowòpòlszczégò Kònkùrsu Prozatorszczégò miona Jana Drzeżdżona z lat 2000-2003. Uszëkòwòł i kaszëbiznà unormòwòł Jerzi Tréder, Wejrowò 2004; Jan z Zapyziału i inne opowiadania. Wybór, układ, wstęp i redakcja Tadeusz Linkner, Wejherowo 2005; *Tam, gdzie słycać śpiew syren*. Antologia prozy współczesnej. Wybór, układ i wstęp Zbigniew Żakiewicz. Wejherowo 2006; Henryk Dawidowski. *Z Kaszëbama ò Kaszëbach*. Instytut Kaszubski, Gdańsk 2007; *Rost na kamiznie*. Antologia prozy kaszubskiej. Wybór, redakcja i przedmowa Stanisław Janke. Gdańsk-Wejherowo 2008; *Lëdze są lëdzama*, Wydawnictwo Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Gdańsk 2014; Artur Jabłoński. *Smùgà*. Region, Gdynia 2014; *Chceta wiacy krwie?* Antologia utworów z XV Konkursu Prozatorskiego im. Jana Drzeżdżona z 2014 roku, MPiMK-P, Region, Wejherowo-Gdynia 2015; Artur Jabłoński. *Fényks*. Region, Gdynia 2015; *Swiat dobëcò*. Antologió dokòzów nòdgròdzonech w XVI Òglowòpòlszczim Kònkùrsu m. Jana Drzeżdżona w roku 2015. MPiMK-P w Wejherowie, 2016; Krystyna Lewna, *Mòtowidło*, red. Roman Drzeżdżon, MPiMK-P w Wejherowie, 2016; Witòj przigòdo! Antologió dokòzów nòdgròdzonech w XVII Òglowòpòlszczim Kònkùrsu m. Jana Drzeżdżona w roku 2016, red. Grażyna Wirkus, Wydawnictwo ZKP, MPiMK-P w Wejherowie, 2017;

5 You searched for bielawa - OKSIT PUCK

6 W roku 2022 nagrodzono m.in. trzy wiersze kolędowe: Nordowo_kolada_2023.pdf (fopke.pl)

Ogólnopolski Konkurs Literacki Im. Mieczysława Stryjewskiego (biblioteka.lebork.pl)

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - IV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Trepczyka na tekst piosenki dla dzieci w języku kaszubskim rozstrzygnięty (wejherowo.pl)

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - Rozstrzygnięcie IX Ogólnopolskiego Konkursu Kompozytorskiego na chòralny utwór pasyjny do tekstu w języku kaszubskim. (wejherowo.pl)

10 Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - Nowe kolędy. Rozstrzygnięcie IV Ogólnopolskiego Konkursu Kompozytorskiego na kolędę kaszubską (wejherowo.pl)

11 Tłum. z kaszubskiego: Piszę po kaszubsku – królowna w pałacu. tf

12 Muzeum Ziemi Puckiej im. Floriana Ceynowy (muzeumpuck.pl)

13 Diecezjalny Konkurs Poezji Maryjnej. Konkurs ma zasięg ogólnodiecezalny i odbywa się w kategorii autorów wierszy i recytatorów | Kościelny Nasze Miasto

14 Dni Kultury Regionanej na Zaborach – 45. Wielewski Turniej Gawędziarzy – LOT Serce Kaszub (lot-sercekaszub.pl)

15 Genowefa Czech ponownie Mistrzynią Polski w Zazywaniu Tabaki | Kartuzy Nasze Miasto

16 Ewa Warmowska – wyniki XIII Konkursu... (malaszkoła.eu)

17 Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - Rekordowi kònkùrs (wejherowo.pl)

18 Vi Powiatowy Konkurs Recytatorów Z Języka Kaszubskiego „Kaszëbszczë Farwë” – Fundacja Lex Humana

- 19 W Remusowym Kręgu opowiadali o historii oraz poszukiwaniach słynnego ORP Orzeł | Kartuzy Nasze Miasto
- 20 Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - Literackie spotkanie w Łubianie. Lępińć na półnim (wejherowo.pl)
- 21 Kolejna Literacka Środa za nami.. (wejherowo.pl)
- 22 Janina Kosiedowska – Urząd Miejski w Chojnicach (miastochojnice.pl)
Kaszubska Biesiada Kabaretowa "Belny Wic" - Szwajcaria Kaszubska – tu spełniają się marzenia!
- 24 Regulamin Złoty Jigrzan 2023.Pdf - Dysk Google
- 25 XII Festiwal Filmów Kaszubskich. "Bôtë" Pryczkowskiego z nagrodą Filmowego Gryfa | Kartuzy Nasze Miasto
- 26 Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - ŚWIĘCI PATRONI. Zapraszamy na koncert (wejherowo.pl)
- 27 Witosława Frankowska. Spotkania z muzyką Kaszub. Monografia cyklu koncertów 2002-2020, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, 2021.
- 28 XXXIII Edycja Festiwalu | Festiwal Muzyki Religijnej w Rumi (festiwalrumia.pl)
- 29 XV Pomorski Festiwal Pieśni Wielkopostnej Kielno 2023 | Gminne Centrum Kultury, Sportu i Rekreacji (szemud.pl)
- 30 XVII Festiwal Kolęd Kaszubskich i Pieśni Adwentowej - :: Gmina Kosakowo Warto tu być ::
- 31 Harmonogram-2022.pdf (luzino.pl)
- 32 SP w Miszewie była gospodarzem XV Wojewódzkiego Konkursu Pieśni im. Jana Trepczyka | Żukowo Nasze Miasto
- 33 <https://kartuzy.naszemiasto.pl/za-nami-ix-przegląd-tworczosci-kaszubskiej-dzieci-i/ar/c13-9092295>
- 34 XIII-Kaszubski-Festiwal-Polskich-i-Światowych-Przebojów_regulaminy-_.doc (live.com)
- 35 XXV Ogólnopolski Festiwal Pieśni o Morzu - Puls Wejherowa
- 36 Cassubia Cantat 2022 - protokół pokonkursowy - Muzeum Zachodniokaszubskie w Bytowie (muzeumbytow.pl)
- 37 (3) Gmina Krokowa – posty | Facebook
- 38 Festiwal Folkloru W Brusach I Okolicy :: BrusyEnter
- 39 Gmina Brusy - Międzynarodowy Festiwal Folkloru
- 40 (4) Festiwal - Międzynarodowe Spotkania z Folklorem "Muzyka Regionów" | Lebork | Facebook
- 41 Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - Maraton Pieśni Patriotycznej w Pałacu. Zapraszamy! (wejherowo.pl)
- 42 Podczas MPP śpiewa się także w języku kaszubskim.
Maraton Pieśni Kaszubskiej - MuzeOn
- 43 XXIV Kaszubskie Warsztaty Akordeonowe - Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia im. F. Chopina w Wejherowie - Portal Gov.pl (www.gov.pl)
- 44 Costerina – Wikipedia, wolna encyklopedia
- 45 Gryf Literacki (wejherowo.pl)
- 46 Konkurs Wiedzy o Kaszubah Tarczężna. Znamy laureatów, zapraszamy na galę (zawszepamorze.pl)
- 48 Rumia. Poznaliśmy laureatów IV Wojewódzkiej Olimpiady Wiedzy o Kaszubah i Pomorzu. Były dyrektor I LO w Rumi został patronem konkursu | Rumia Nasze Miasto
- 49 Regulamin konkursu "Kaszubski Wiec 2022" - Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Borkowie (szkolna.net)
- 50 grupa Facebookowa: Msze kaszubskie. Kaszëbsczë msze | Facebook
- 51 Najbogatszy repertuar pieśni, utworów religijnych w języku kaszubskim mają chóry/zespoły – członkowie Rady Chórów Kaszubskich: „Lutnia” z Luzina, „Pięciolinia” z Lini, „Rumianie” z Rumi, „Morzanie” z Dębogórza, „Kosakowianie” z Kosakowa, „Harmonia” z Żukowa, „Nadolanie” z Nadola, „Strzelenka” z Tuchomia (gm. Żukowo), „Kaszubki” z Chwaszczyna, Towarzystwo Śpiewacze im. Jana Trepczyka z Wejherowa, Chór Męski „Harmonia” z Wejherowa oraz, osobno, chór „Discantus” z Gowidlina. RKCH od roku 2009 „oprawia” muzycznie po kaszubsku odpusty (bez 2021) na Kalwarii Wejherowskiej (Wniebowstąpienia Pańskiego i Trójcy Świętej).
- 52 Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie - Kaszubska Internetowa Droga Krzyżowa z czasu zarazy AD 2020 (wejherowo.pl)
- 53 XVII (radiowa) Kaszubska Droga Krzyżowa (szwajcaria-kaszubska.pl)
- 54 Droga krzyżowa po kaszubsku w Wygodzie Łączyńskiej [ZDJĘCIA] - zKaszub.info
- 55 Droga Krzyżowa w Baninie - GazetaKaszubska.pl
- 56 Na wzgórzach Kalwarii Wejherowskiej przeszła Kaszubska Droga Krzyżowa | Zdjęcia | Wejherowo Nasze Miasto
- 57 XX Kaszubska Droga Krzyżowa w Sianowie. Ponad 300 wiernych wzięło udział w nabożeństwie - Radio Gdańsk (radiogdansk.pl)
- 58 Kaszubska Ekstremalna Droga Krzyżowa: młodzi wyruszyli z Kartuz [ZDJĘCIA] - zKaszub.info; Kaszubska N(M)ocna Droga Krzyżowa 2023 (veravirtu.pl)
- 59 Dzień Jedności Kaszubów – Wikipedia, wolna encyklopedia
- 60 Muzeum we Wdzydzach Kiszewskich (muzeum-wdzydze.gda.pl)
- 61 <https://domkulturyrumia.pl/2022/11/23/jarmark-kaszubski-scenaletnia-7-08-2022/>
Kartuzy i Jarmark Kaszubski (2022). Na finał koncert Grażyny Łobaszewskiej i Stanisława Sojki. Renis Jusis i duet DJ-ski Kalwi & Remi | FOTO | Dziennik Bałtycki (dziennikbaltycki.pl)
- 63 Zapraszamy na XXV Festyn Kaszubski w Rewie - :: Gmina Kosakowo Warto tu być ::
- 64 XVII Festyn Kaszubski w Baninie – Rada Banino
- 65 Konkurs haftu kaszubskiego w Lini został rozstrzygnięty (zawszepamorze.pl)
- 66 <https://fabrykakultury.pl/repertuar/viii-miedzynarodowy-konkurs-kaszubskiej-sztuki-wizualnej-cassubia-visuals/>
- 67 VI Festiwal Truskawek Kaszubskich – Edycja 2022
- 68 Trefl Gdańsk - LUK Lublin. Mecze Kaszubskie przyciągają tysiące kibiców (trojmiasto.pl)
- 69 Kaszuby Biegają.pl - Biegowa Strona Kaszub
70 Oficjalny utwór na X-lecie cyklu Kaszuby Biegają! (kaszubybiegaja.pl)
- 71 Medal Stolema – Wikipedia, wolna encyklopedia
- 72 Kaszubi.pl
- 73 Srebrna tabakiera Abrahama – Wikipedia, wolna encyklopedia
- 74 Skry Ormuzdowe 2021 – znamy laureatów. Wręczono także stypendia Izabelli Trojanowskiej (zawszepamorze.pl)
- 75 Karolina Stankowska ze Skrą Ormuzdową. Paulina Węsierska z ważnym stypendium - expresskaszubski.pl
- 76 Kaszubi.pl
- 77 Wyróżnienie Ryngraf Witosława dla prof. Jadwigi Zieniukowej, Edmunda Kamińskiego i Stanisława Pestki | Kartuzy Nasze Miasto

ANNA WOŹNIAKOWSKA



RÓŻNE DROGI W ŚWIECIE MUZYKI



Barbara Marczyńska Żełobowska
i Janusz Żełobowski
E. Kalman *Księżniczka czardasza*

Ponoć znakomity polski skrzypek Jakub Jakowicz w dzieciństwie był przekonany że wszyscy ludzie grają na skrzypcach. Miał podstawy by tak sądzić, bo w jego domu grali „wszyscy”, czyli ojciec, matka i starsza siostra. Podobnych „muzycznych” rodzin jest wiele, bo dziedziczenie zawodu muzyka jest stare jak świat, dość wspomnieć rodzinę Bachów czy Mozartów. Kontynuowanie zajęcia rodziców jest częste i w innych zawodach, znamy całe pokolenia lekarzy, prawników czy rzemieślników osiągających mistrzostwo w swej dziedzinie. To zrozumiałe, bo dzieci rosnąc w atmosferze panującej w domu nasiąkają nią i w pewnym momencie swego życia dokonują świadomego wyboru takiej a nie innej drogi życia. Muzyczny świat w tym wypadku różni się jednak od innych profesji jednym ważnym szczegółem. Otóż o rozpoczęciu nauki gry na instrumencie z reguły nie decyduje dziecko lecz jego rodzice. Ich motywacje bywają różne, ale najczęściej można się tu odwołać do słynnego zdania Platona że „obcowanie z pięknem rodzi dzielność”. Codzienne ćwiczenie na instrumencie uczy systematyczności, a kontakt z muzyką uwrażliwia. Nie zawsze dziecięca muzyczna edukacja prowadzi do zawodu muzyka. Zdarza się często że młody człowiek odkrywa inną drogę życiową, ale nigdy czas spędzony w pracy nad instrumentem nie jest czasem straconym. Nieraz po latach okazuje się, że poznany w dzieciństwie świat muzyki tworzy niszę, w której można znaleźć oddech w zmaganiu się z trudną codziennością. Czasem też otwiera szersze spektrum wybranego zawodu, pomaga lepiej się w nim realizować.

Droga do muzyki, a ściślej – do muzycznej sceny, Janusza Żełobowskiego, którego 90. rocznicę urodzin obchodziliśmy w ubiegłym roku, była długa i kręta. Wrażliwością artystyczną obdarzyła go matka, Helena Matejko, znana po wojnie choreografka działająca w Gdyni, ale nie ona wychowywała syna, lecz ojciec, skrupulatny urzędnik. Wojna nie pozwoliła dziecku poznać artystycznej atmosfery Wilna, a po wojnie i repatriacji na Warmię trzeba było zmagać się z trudną rzeczywistością. Ale muzyczne zdolności i skłonności nie dały się ukryć. Choć młody Janusz marzył o karierze marynarza, choć podobał mu się mundur, świat muzyki począł otwierać przed nim swe tajemnice najpierw w szkole muzycznej w Lidzbarku, potem w Olsztynie. Ktoś zwrócił uwagę na jego głos. Zaczął go kształcić. Z zachowanych notek prasowych wynika, że początkowo upatrywano w nim barytona, być może ze względu na charakterystyczną, ciemną barwę głosu. Jeszcze w czasie nauki w olsztyńskiej szkole muzycznej, w 1951 roku, zdobył wyróżnienie w organizowanym w Warszawie I Ogólnopolskim Konkursie Śpiewaków. Studia rozpoczął w 1953 w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie, w klasie prof. Bronisława Romaniszyna, który nie miał wątpliwości, że Janusz Żełobowski jest tenorem. O jakości jego głosu, wrażliwości muzycznej i umiejętnościach technicznych najlepiej świadczy fakt, że jeszcze czasie studiów zdobywa nagrodę w organizowanym w Katowicach Konkursie Mozartowskim. Wszak Mozart



uchodzi za probierz wartości śpiewaka. A jego debiutem w krakowskiej operze – też jeszcze w czasie studiów – jest rola hrabiego Almavivy w *Cyruliku sewilskim* Rossiniego również wymagająca nieskazitelnej techniki i urody głosu.

Po Almavivie przyszły kolejne role, ale prawdziwe swe powołanie Janusz Żelobowski odkrył w 1959 roku, gdy zaproponowano mu rolę Alfreda w Straussowskiej *Zemście nietoperza* wystawianej w krakowskiej operetce w dawnym Domu Żołnierza przy ul. Lubicz. Przyjął tę propozycję z wahaniem, by już po pierwszych spektaklach stwierdzić, że to właśnie operetka jest jego żywiołem. Przez lata był czołowym amantem polskiej sceny operetkowej, cenionym także w innych krajach ówczesnego „bloku wschodniego”. Co charakterystyczne, w recenzjach, zawsze pozytywnych, często nazywano go nie śpiewakiem, lecz „aktorem teatru muzycznego, łączącym świetny głos z aparycją i kulturą sceniczną”. Cechowały go „umiejętność noszenia fraka i munduru, znajomość salonowej etykiety i elegancja dowcipu”. Dobrze mówił tekst, z czym czasem śpiewacy mają problemy, swobodnie tańczył. Miał więc wszystkie atuty i umiał z nich korzystać ku radości widzów i słuchaczy. Był ozdobą polskich scen operetkowych przez dziesiątki lat wcielając się w niezliczone postaci. Równie chętnie występował w repertuarze pieśniarskim. W recitalach często partnerowała mu przy fortepianie córka, Renata Żelobowska-

Orzechowska, bo jeszcze w czasie studiów u prof. Romaniuszyna Janusz Żelobowski poznał swą przyszłą żonę, Barbarę Marczyńską, obdarzoną ładnym mezzosopranem, z którą przez kilka lat, do jej przedwczesnej śmierci, występował na krakowskiej scenie operowej. Z ich potomstwa (dwie córki i syn) jedynie Renata weszła w świat muzyki, ale nie poszła śladem rodziców. Wybrała fortepian, a naukę gry rozpoczęła u słynnej wówczas w Krakowie z surowości ale i umiejętności pracy z dziećmi Ewy Różyskiej by na etapie średniej szkoły zostać uczennicą prof. Ludwika Stefańskiego. U niego też ukończyła studia (była jego ostatnią dyplomantką). Pozostała na uczelni jako pracownik naukowy. Przed kilkoma miesiącami otrzymała tytuł profesora.

O Renacie Żelobowskiej-Orzechowskiej pisałam już z racji obchodzonego w ubiegłym roku 40-lecia jej pracy artystycznej. Teraz więc przypomnę tylko, że jako pole swej działalności wybrała kameralistykę, dziedzinę muzyki może nie tak efektowną jak kariera solowa, ale wymagającą olbrzymiej wrażliwości i umiejętności współpracy z innymi w tworzeniu kreacji artystycznych, i że partnerowała i partneruje kilku pokoleniom wybitnych polskich muzyków. A jej studia w Akademii Muzycznej w Krakowie i kameralne muzykowanie zaowocowały małżeństwem z Krzysztofem Orzechowskim, który pod Wawel przyjechał



Piotr Orzechowski

z Bielska-Białej. W jego rodzinie tradycje muzyczne także były żywe. Jego przodkowie pracowali jako organści.

Krzysztof Orzechowski ukończył studia w klasie wiolonczeli prof. Witolda Hermana. Po studiach podjął pracę w jednej z krakowskich orkiestr, ale to zajęcie nie dawało mu spełnienia, przy jego temperamencie twórczym było zbyt monotonne. Chciał czegoś innego, a mógł sobie pozwolić na poszukiwania, bo grał także na saksofonie i gitarze basowej. To „inne” znalazł w zespole Ewy Demarczyk, z którą współpracował wiele lat podróżując z nią po całym niemal świecie. Dziś dalej jest niespokojnym duchem. Współpracuje z Łódzkim Biurem Koncertowym „Wirtuoz”, przygotowuje programy edukacyjne dla dzieci i młodzieży, wędruje z audycjami po Polsce.

Także dwoje dzieci Orzechowskich poszło śladem matki i odebrało klasyczne muzyczne wykształcenie, choć każde z nich w różny sposób zmodyfikowało swą drogę życiową. Córka Barbara po ukończeniu klasy fortepianu w Liceum Muzycznym wybrała studia w Instytucie Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej UJ. Nie związała się jednak na stałe z mediami. Muzyczna wiedza, wykształcenie uzupełnione studiami podyplomowymi z zakresu prawa autorskiego oraz wrodzone zdolności organizatorskie poprowadziły ją do Krakowskiego Biura Festiwalowego, w którym kierowała działem programowym. Notabene

tam też poznała swego przyszłego męża, Filipa Berkowicza, muzykologa, menedżera kultury, twórcę m.in. festiwalu Misteria Paschalia, Sacrum Profanum i Actus Humanus. Potem związała się z Polskim Wydawnictwem Muzycznym. Koordynowała nagrania i wydanie 36 płyt CD z muzyką polską w ramach przygotowanego na stulecie odzyskania niepodległości projektu „100 na 100. Muzyczne dekady wolności”. Dziś jest producentem wykonawczym powołanej przez PWM nowej marki fonograficznej Anaklasis wydającej płyty ze współczesną polską muzyką.

Jej brat, trzydziestodwuletni dziś Piotr Orzechowski znany jest także pod pseudonimem Pianohooligan, bardzo dobrze oddającym charakter jego poczynań muzycznych.

Na przełomie XIX i XX wieku w Irlandii działała rodzina Hooliganów, drobnych złodziejasków. Do tego stopnia dali się we znaki społeczeństwu, że ich nazwisko stało się synonimem łamania ogólnie przyjętych zasad. Nie wiem, czy dziś używa się tego określenia, ale jeszcze niedawno pojęcia – chuliganeria, chuligan – nie było u nas powszechnie znane. Piotr Orzechowski jako pianista i kompozytor łamie prawidła zarówno te obowiązujące w muzyce klasycznej, jak i te przyjęte w jazzie, który jest głównym polem jego działalności. Ma do tego prawo w myśl zasady, że twórczo łamać reguły może tylko ten, który dobrze je zna. Artysta klasyczne wykształcenie pianistyczne zdobywał w Liceum



Od lewej: Piotr Orzechowski, Renata Żelobowska-Orzechowska, Zosia Berkowicz, Krzysztof Orzechowski, Filip Berkowicz, Barbara Orzechowska-Berkowicz,

Muzycznym w klasie prof. Olgi Łazarskiej, w krakowskiej Akademii Muzycznej studiował fortepian jazzowy u Piotra Wyleżoła i Joachima Mencla. Wiedzę na temat jazzu uzupełnił studiami magisterskimi w Berklee College of Music w Walencji w klasie fortepianu Polo Orti'ego.

Później ukończył studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim, a równolegle uzyskał doktorat na Akademii Muzycznej w Krakowie. W pracy doktorskiej opisywał założenia swojego cyklu 24 Preludiów i Improwizacji. Piotr Orzechowski bowiem od dziecka komponował, a swą pierwszą nagrodę zdobył w Ogólnopolskim Festiwalu Instrumentalistów i Multiinstrumentalistów w 1998 roku. Miał wówczas osiem lat. A potem posypały się inne nagrody, z których chyba najznamienitsza to Grand Prix Montreux Jazz Piano Competition w Szwajcarii w 2011 roku. To wówczas przewodniczący jury, producent Tommy LiPuma, miał mu powiedzieć: „pamiętaj, nie oglądaj się na nic. Cokolwiek by się nie działo, idź dokładnie tą ścieżką”.

I Piotr Orzechowski idzie konsekwentnie własną ścieżką, łącząc jazz ze zdobyczami sonoryzmu, klasyczne piękno fortepianowego brzmienia z perkusyjną ostrością. Nie dzieli muzyki na poszczególne gatunki, jest pianistą totalnym, a w świecie jazzu zjawiskiem niepowtarzalnym. Koncertuje na całym świecie, ma w dorobku osiem płyt i mnóstwo nagród zdobytych solo i w zespole.

Śpiewak, pianistka, edukator muzyczny, menedżer kultury, jazzman...

Nie trzeba powtarzać profesji rodziców. Różne drogi mogą prowadzić w świat muzyki. Trzeba tylko je odnaleźć i przy nich wytrwać. A wszystko zaczyna się w dzieciństwie, od poznania pięciolinii i zapisanych na niej czarnych znaczków.

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

KIEDY MIŁOŚĆ BYŁA ZBRODNIĄ

Michael Rosenfeld był bardzo małeńki, a właściwie w ogóle go jeszcze nie było na świecie, gdy jego matka związała się z Rudolfem Bergmannem. Sięgając pamięcią wstecz, nie potrafił rozdzielić czasu na przed i po, bo Bergmann był zawsze. Wysoki, jasnowłosy, niebieskooki Niemiec w czarnym mundurze SS. Tak go zapamiętał, a szczególnie jego skórzany pas z sentencją „Meine Ehre heisst Treue”, której rzecz jasna początkowo nie potrafił ani przeczytać, ani zrozumieć. Wkraczał do salonu, obejmował jego matkę i przytulał, a ona śmiała się radośnie, a Michael był zbyt mały, aby mógł zastanawiać się, na ile ten śmiech jest prawdziwy a na ile wymuszony sytuacją. Bywało jednak naprawdę wesoło, gdy zjawiali się koledzy Bergmanna, najczęściej sami panowie bez żon, czasami tylko któryś z nich przyproceedzał swoją przyjaciółeczkę ku uciezce towarzystwa, choć Ewie nie podobały się frywolne, obdarzone urodą panienki wątpliwej konduity.

– Daj spokój, *meine Liebe* – irytował się, gdy kwestionowała jego decyzje – jest wojna i nikomu odrobina zabawy nie zaszkodzi.

Piękna i inteligentna prawniczka Ewa Reinhardt miała jednak uprzywilejowaną i niekwestionowaną pozycję jego oficjalnej towarzyszkii życia, wywodzącej się ze starej niemieckiej arystokracji. Był z tym jednak pewien problem, bo państwo Reinhardtowie nie chcieli znać Rudolfa Bergmanna, a co gorsza, nie chcieli znać swojej własnej córki odkąd związała się z nazistą.

Tęgo rzecz jasna mały Michael Rosenfeld nie mógł wiedzieć, gdyż o tym się nie mówiło, lecz było to tajemnicą poliszynela. Co jakiś czas mniej lub bardziej wstawiony Bergmann się wściekał i groził Ewie, że jak tak dalej pójdzie, jej rodzice skończą w komorze gazowej. Domyślał się, że doktor Reinhardt potajemnie udziela pomocy medycznej ludziom z podziemnego ruchu oporu i bywa zabierany do lasu niby to na polowanie.

– Ale dzika, jak dotąd nie upolował – mówił z irytacją, licząc, że Ewa, jak zawsze, padnie przed nim na kolana i będzie błagać, aby zostawił jej rodziców w spokoju. Tak czy inaczej wspomnienie Rudolfa Bergmanna nie było dla Michaela Rosenfelda miłe, a ilekroć kochanek mamy mu się przyśnił,

zrywał się w środku nocy na równe nogi z głośnym krzykiem.

Zapamiętał kolczaste druty obozowe nieopodal domu, w którym stacjonował Bergmann, dokąd jeden jedyny raz zabrała go matka tuż przed ostatnim wspólnie spędzonym Bożym Narodzeniem, i stojącego za drutami człowieka z łopata, który pozorując pracę, uśmiechał się do niego przyjaźnie, tak jakby chciał mu coś powiedzieć. Intuicja podpowiadała mu wówczas, że to ktoś ważny dla jego matki, a w miarę upływu czasu ten obraz, zamiast zacierać się, coraz bardziej utrwalał się w jego pamięci, powracał w snach, aż wreszcie doszedł do wniosku, że to musiał być jego własny ojciec, Maurycy Rosenfeld, któremu pozwolono na tyle zbliżyć się do ogrodzenia, aby mogła zobaczyć go żona, a on zobaczyć pierwszy i ostatni raz w życiu swojego syna.

Ponownie na terenie obozu Michael znalazł się tuż po jego wyzwoleniu przez wojsko rosyjskie wraz z osobą z Czerwonego Krzyża, bo była jeszcze nadzieja, że uda się odnaleźć jego ojca. Obóz jeszcze dymił, ale już okoliczni mieszkańcy przeszukiwali doły na 5–10 metrów głębokie w poszukiwaniu złotych zębów. Widok był tak przerażający, że Michael długo nie mógł później dojść do siebie, a obraz szubienicy, na której wciąż dyndały czyjeś zwłoki w łachmanach, miał go prześladować do końca życia. Nie dociekał kogo tam powieszono, więźnia czy jego oprawcę.

Ukończył właśnie piąty rok życia, gdy zapytano go, czy kiedykolwiek widział się ze swoim ojcem Maurycym Rosenfeldem i wtedy przypomniał sobie o tamtym przedbożenarodzeniowym spotkaniu. Ale gdy zapytano go, czy rozpoznałby swego tatę, przecząco pokręcił głową. Nauczył się jednej rzeczy, że nigdy i pod żadnym pozorem nie wolno mu powiedzieć prawdy, więc również skłamał, gdy zapytano go, czy wie, jak wygląda Rudolf Bergmann.

– Pamiętał synku – przypomniał sobie głos mamy – o co by cię nie pytano, zawsze powtarzaj: „Ja nic nie wiem” i udawaj tego durnego chłopaka z sąsiedztwa. Tak też zrobił, gdy położono przed nim kilka fotografii. Nie potrafił również odpowiedzieć na pytanie, jak się nazywa, bo zapomniał, co mu matka kazała w takim wypadku powiedzieć. Jedno wiedział na pewno, że matka nazywała się Ewa Reinhardt i nie była Żydówką.

Ofensywa radziecka rozpoczęła się w styczniu 1945 roku, lecz dopiero na początku marca Armii Czerwonej udało się dotrzeć do Bałtyku w okolicach Kołobrzegu, odcinając tym samym niemiecką drugą armię od Berlina i zmuszając ją do wycofywania się w kierunku Gdańska. Dowodzący gdańskiego okręgu wojskowego gen. Karl-Wilhelm Specht nie był przygotowany na atak armii rosyjskiej od zachodniej strony miasta.

– To najgorsze, co mogło się zdarzyć – ubolewał, polecając przygotowanie pozycji obronnych na wzgórzach okalających miasto.

Gdy 15 marca 1945 roku Rosjanie rozpoczęli ostrzał artyleryjski jednocześnie od wschodu, południa i zachodu, jedyną drogą, jaką można było wydostać się z Gdańska była już tylko droga wodna lub powietrzna. Połączenie lotnicze z Berlinem zawieszono 21 marca, natomiast pod osłoną okrętów wojennych Kriegsmarine kontynuowano ewakuację drogą morską. Zdezorientowani i przerażeni ludzie tłoczyli się w porcie z nadzieją, że uda im się w ten sposób wyrwać z ogarniającego ich piekła. Wtedy też Albert Forster wraz ze sporą liczbą mieszkańców uciekł w popłochu na Półwysep Helski. Równocześnie w marcu rozpoczęły się naloty bombowe, stając się utrapieniem ludności cywilnej. Wyjące syreny zwiastujące nadciągającą śmierć wytrącały wszystkich z równowagi. Michael Rosenfeld wiedział, co oznaczają spadające z nieba bomby. We śnie długo jeszcze słyszał przerażający warkot nadlatujących samolotów i huk wystrzałów artylerii przeciwlotniczej. Był świadkiem bitwy powietrznej toczonej przez myśliwce i zestrzelenia nad Oliwą czteromotorowego bombowca dalekiego zasięgu wysłanego przez aliantów. W mieście roilo się wciąż od wojska, a ludzie nie mogli opuszczać swoich domów.

Pomimo trwającej ewakuacji Maria Reinhardt nie myślała o wyjeździe, bo choć od czasu, gdy Ewa związała się z Rudolfem Bergmannem nie utrzymywała z nią żadnych kontaktów, myśl o córce spędzała jej sen z powiek. Nie mogła jej porzucić na pastwę losu i choć z pozoru było w tym coś irracjonalnego, nie posłuchała męża i nie wyjechała razem z nim, gdy był na to czas. Później nie mogła sobie też darować, że nie skłoniła Ewy do wyjazdu.

Rosjanie zajmowali kolejne wzgórza wokół miasta, a wyrzutnie pocisków rakietowych bezlitośnie bombardowały Gdańsk. 30 marca resztki niemieckiej armii wycofały się za martwą Wisłę na Stogi, a gdy Rosjanie wdarli się do śródmieścia, biało-czerwona flaga zawisła nad Dworem Artusa.

Gdy 9 maja 1945 nad ranem wojska radzieckie wkroczyły na teren obozu Stutthof, znajdowała się tam już tylko niewielka grupa więźniów. Ewa Reinhardt, nieślubna żona SS-Hauptsturmführera Rudolfa Bergmanna, już nie żyła, a on, podobnie jak reszta nazistowskiej obsady Konzentration Lager Stutthof, ulotnił się.

Ocalały tylko dzieci Ewy Reinhardt: Michael i Jan, bo takim imieniem ochrzciła noworodka Maria Reinhardt, przekazując go w ręce swojej kaszubskiej kucharki, zanim ją aresztowano.

Gertruda zawdzięczającą swoim niemieckim chlebodawcom życie, opiekowała się dziećmi, gdy Marii Reinhardt już nie było i Michael zapamiętał ją jako ciepłą, niezwykle miłą kobietę, która końcem fartucha ocierała jego łzy. Ona też znając historię zamążpójścia Ewy Reinhardt, rozpuściła wici, że ocalał z pozogi wojennej wnuk przedwojennego gdańskiego potentata zbożowego Samuela Rosenfelda. Wkrótce też chłopczyk został przejęty przez swoich przyszłych opiekunów.

Michael Rosenfeld zapamiętał aż nadto dobrze, że miał przyrodniego brata, który urodził się pięć lat po nim.

Zapamiętał noc, podczas której Jan przeszedł na świat, bo tego samego dnia umarła w połogu ich matka i podświadomie obwiniał go o jej śmierć. Wciąż brzmiały w jego uszach wrzaski Ewy, przechodzące chwilami w przerażające zwierzęce wycie, jakie wydobywało się z jej gardła i zamieniało w ciche jęki i błagalną modlitwę do Boga, aby zakończył jej cierpienia. Nie było w domu nikogo, kto mógłby jej pomóc, bo służąca uciekła razem z jakimś oficerem Wehrmachtu. Michael był przekonany, że gdyby nie ten maleńki chłopczyk, który nagle wyskoczył z brzucha jego matki, cały zakrwawiony i zapuchnięty, ona by nie umarła i w głębi ducha mu złorzeczył. Było to jedno z licznych traumatycznych wspomnień, jakie wyniósł z dzieciństwa, na którym swoiste piętno odcisnęła wojna. Dość szybko pojął, że mąż matki, za którego uchodził w jego oczach Rudolf Bergmann, nie jest jego ojcem, a po jego własnym tacie wszelki ślad zaginał.

Fotografię swojego prawdziwego ojca zobaczył dopiero po przyjeździe do Francji, ale nie miał pewności, czy to ten sam człowiek, którego widział za drutami Konzentration Lager Stutthof. Może tak, a może nie. Jak zresztą można porównywać fotografię pięknego młodzieńca grającego na fortepianie w białym smokingu z oberwańcem w pasiaku i z łopata w ręce?

Gdy w Paryżu Michael Rosenfeld, noszący teraz nazwisko swego biologicznego ojca, zapytał o swoją babcię Marię Reinhardt, którą zapamiętał jak przez sen, powiedziano mu, że ona też nie żyje. Zjawiała się niespodziewanie w chwili, gdy jego mały braciszek przyszedł na świat i usłyszał jego ciche kwilenie. Był zaskoczony i nieco przestraszony jej wizytą, więc Maria Reinhardt bardzo delikatnie wzięła go na ręce, przytuliła do siebie i pocałowała w czoło. Na jej widok, jego własna matka wybuchła gwałtownym, niepohamowanym płaczem i długo nie dało się jej uspokoić. Starsza pani obmyła noworodka i przystawiła umierającej córce do piersi. Michael nie potrafił określić, jak długo trwała agonია jego matki i ile czasu upłynęło od chwili urodzenia się dziecka do momentu, gdy poproszono go, aby się z nią pożegnał.

– Pocałuj mamusię po raz ostatni – usłyszał obudzony o świecie, lecz nie od razu zrozumiał, co oznaczają te słowa. Intuicja podpowiadała małemu chłopcu, że nigdy więcej nie zobaczy swojej mamy. Pierwsze promienie marcowego słońca wdzierały się do sypialni poprzez uchylone zasłony i oświetlały trupio bladą, udręczoną twarz Ewy Reinhardt. Widział, jak Maria

Reinhardt płacząc, pochyła się nad córką i otwartą dłonią zamyka jej oczy, gładzi jej długie, piękne, mokre teraz od potu i łez włosy i całuje w czoło. Nie mogła jej uratować. Pomimo że razem ze swoją kucharką Gertrudą obkładała Ewę kostkami lodu, krwotoku nie udało się zatrzymać. Nie udało się nigdzie znaleźć lekarza ani Niemca, ani Polaka, ani nawet Żyda. Wszyscy zapadli się, jak pod ziemię i nawet akuszerka bała się przyjść. Najprędzej jeszcze udałoby się ściągnąć jakiegoś Rusa, ale ten z całą pewnością zastrzeliłby Ewę, dowiedziawszy się kim jest. Jedyne co mogła zrobić to zostać przy córce do końca i obiecać, że zajmie się dziećmi, wiedząc, że każdemu z nich grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, choć każdemu ze zgoła innego powodu.

Upewniwszy się, że Ewa nie żyje, wzięła owiniętego w pled noworodka na ręce i prosząc Michaela, aby szedł za nią, pospiesznie opuściła dom Ewy i Maurycego Rosenfeldów zawłaszczony przez Rudolfa Bergmanna, Hauptsturmführera SS. Prerażony chłopczyk zapierał się nogami i rękami o wszystkie możliwe sprzęty, kładł się na ziemię, krzycząc, że nie zostawi matki. Wyrwał się Gertrudzie i przywarł do ciepłego jeszcze ciała Ewy i począł ją szarpać, błagając, aby się obudziła i nie sposób było mu wytłumaczyć, że to niemożliwe. Dopiero dobiegające z ulicy odgłosy strzelaniny i huk armatniego wystrzału sprawiły, że spanikowany wybiegł z domu i ruszył w ślad za znikającą w ciemnościach nocy babką, kierując się cichym kwileniem tulonego przez nią w ramionach noworodka.

– Chodź, zanim dopadnie nas NKWD – ciągnęła go za rękę Gertruda – Nie mamy ani chwili do stracenia.

Pięcioletni Michael rzecz jasna nie miał pojęcia, co to takie NKWD, ale instynkt samozachowawczy podpowiadał mu, że Marii Reinhardt usuwa się grunt spod nóg.

Tyle zdołał zapamiętać z tej przerażającej nocy, która aż na zbyt dobrze zapisała się w jego pamięci. Gdy dotarli do domu babki, wszystko było już dawno zapakowane i załadowane na samochody, teraz całkowicie bezużyteczne, bo drogi ucieczki z miasta już nie było. Marii Reinhardt nie danym było opuścić Gdańska. Spóźniła się z wyjazdem.

Miasto stało się rejonem zacieklých walk i obracało w gruzy. Płonął kościół Mariacki, wypalał się od środka, a przez ostrołukowe okna wydobywały się płomienie. Dzwoniły jeszcze dzwony na trwogę u Świętej Katarzyny, stapiając się w pożarze, który ogarnął niemal wszystkie kościoły a nawet klasztor ojców Franciszkanów. Płonął również Żuraw na nabrzeżu.

W mieście zapanował chaos, a Marii Reinhardt wydawało się, że nastał dzień Apokalipsy, bo doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co dla niej, jako rodowitej Niemki, to oznacza. Gdyby do Gdańska wkroczyli Anglicy albo Amerykanie, miałyby możliwość powołania się na swego angielskiego ojca, sir Wiliama Westa, ale nie udało się jej wytłumaczyć Ruskom, że nigdy nie była nazistką, ani nawet z nimi nie sympatyzowała. Nie długo też musiała czekać na zarzut, że jej jedyna córka była żoną Rudolfa Bergmanna, Hauptsturmführera SS.

– Nie była jego żoną – tłumaczyła płacząc – Bergmann ją zniewolił.

Ta ostatnia jej wypowiedź wywołała salwę śmiechu przestuchującego ją oficera, który zajął jej dom i wyrzucił ją na bruk. Po Rosjanach przyszli Polacy, a w dalszej kolejności mieli przyjść repatrianci zza Bugi i przejąć jej piękny dom, w który Maria Reinhardt włożyła ogrom pieniędzy, ale przede wszystkim pracy i serca. Los Niemców mieszkających na terenach przyłączonych do Polski, a w tym w Gdańsku, był przesądzony. Część z nich uciekła wraz z cofającą się armią niemiecką, reszta miała być wysiedlona na mocy porozumień międzynarodowych.

Do końca grudnia 1945 roku z samego tylko Gdańska wysiedlono pociągami wahałowymi ponad 61 tysięcy osób, a dalsze 16 tysięcy wyjechało indywidualnie. Wyreklamowano od wysiedlenia część fachowców z uwagi na brak wykwalifikowanej siły roboczej. Duży problem stanowiły małżeństwa mieszane polsko-niemieckie.

Tymczasowo trafiali do obozów pracy i folwarków, głównie starcy, kobiety i dzieci, bo mężczyźni przebywali w obozach jenieckich. Nielicznym komisja weryfikacyjna wydawała zaświadczenie o przynależności do narodu polskiego, co w dużej mierze dotyczyło autochtonów, którzy ulegli procesowi germanizacji. Należała do nich Kaszubka Gertruda, która przez jakiś czas opiekowała się dziećmi osieroconymi przez Ewę Reinhardt.

W niedługi czas po śmierci matki i aresztowaniu babki Michaela zabrali go jacyś ludzie i wywieźli z Gdańska, najpierw do okupowanego przez Rosjan Berlina, gdzie był świadkiem dantejskich scen, samobójczych akcji młodych szaleńców, którym wydawało się, że zdołają w ten sposób doprowadzić do wskrzeszenia umierających Niemiec i rosyjskich akcji odwetowych, wrzasków kobiet gwałconych brutalnie przez krasnoarmiejców w biały dzień na ulicach obróconego w gruzy miasta, wśród walących się domów bez ścian i okien.

Po opuszczeniu tego piekła trafił do Paryża, który w czasie wojny niewiele ucierpiał, do domu swego stryja Arona Rosenfelda i został obrzezany, czego zresztą do końca życia nie zdołał mu wybaczyć. Tam też uświadomiono mu, że jest Żydem.

– Czy to znaczy, że teraz będę musiał nosić opaskę na ramieniu? – zapytał, nie kryjąc przerażenia. Poczul przyplływ gniewu i opanowało go uczucie bezsilności. Nikt nigdy dotąd nie obraził go w ten sposób. Matka do znudzenia powtarzała mu, że jest chrześcijaninem, pokazywała ubranko, w którym zanosła go do chrztu i kościół, w którym ksiądz pokropił go święconą wodą.

– Jakim prawem oni teraz mówią, że jest inaczej – buntował się. Wiedział, że niebezpiecznie jest być Żydem, a mały chłopczyk mieszkający po drugiej stronie muru jest gorszy od niego. Tak przynajmniej utrzymywał Bergmann. Matka w każdą niedzielę ubierała go odświętnie i zabierała go do kościoła, który kojarzył mu się ze śpiewem i muzyką. Śpiewali ludzie i śpiewał chór, a

najpiękniej w Boże Narodzenie. Michael potrafił godzinami wpatrywać się w stajenkę ze świętą rodziną, a mama opowiadała mu o narodzinach Jezusa w Betlejem i o ucieczce do Egiptu przed Herodem, gdy ten rozkazał wymordować wszystkich małych chłopców. Opowiadała tak sugestywnie, że Michael zaczynał płakać, a ona zcałowywała łązy z jego twarzy, zapewniając że nic mu nie grozi. Ale intuicja podpowiadała mu, że to nieprawda, bo świat w dalszym ciągu, pomimo ofiary złożonej przez Zbawiciela, pełen jest złych ludzi. Po latach zastanawiał się, kiedy i gdzie zrodziło się to jego wewnętrzne przeświadczenie o istnieniu złych mocy, o rozgrywającej się gdzieś poza czasem i przestrzenią walce synów światła i ciemności.

Dom podczas świąt Bożego Narodzenia wypełniał się zapachem pieczonego ciasta i świeżo ściętej, przywiezionej prosto z lasu choinki. To była zawsze niespodzianka, trzymana przez matkę do ostatniej chwili w tajemnicy i dopiero w Wigilię gdy się obudził, miał zobaczyć drzewko w salonie obwieszone najróżniejszymi ozdobami, ogromnymi pięknie malowanymi i złocnymi bańkami, figurkami z piernika i kolorowymi cukierkami, a także długimi kolorowymi łańcuchami. Podczas ostatnich wspólnych Świąt pokazała mu swój mocno wypukły i zaokrąglony brzuch, mówiąc, że na wiosnę będzie miał małeńkiego braciszka, którym będzie musiał się zaopiekować.

– Tak małego jak Jezus w stajence? – zapytał z irracjonalnym niepokojem, który odtąd go nie opuszczał. Po latach doszedł do wniosku, że udzielał mu się niepokój pełnej złych przeczuc Ewy Reinhardt. Smutno mu się zrobiło w jakiś czas później w Paryżu, gdy stryj Aron powiedział, że w jego domu nigdy nie będzie choinki, ponieważ Żydzi nie uznają Jezusa. Nie żeby nie istniał, bo to postać historyczna, ale nie mógł być synem Bożym.

– Ale może mógłbym mieć chociaż taką malutką? – nalegał, ściągając na siebie gniew swego opiekuna. Ich relacje nie były dobre, a zaczęło się od wojny o medalik z Matką Boską, ten który Michael otrzymał od swojej chrzestnej mamy i nigdy się z nim nie rozstawał. Nie pamiętał jej rzecz jasna, ale wiedział, że to najcenniejsza rzecz, jaką w ogóle posiada. Ostatecznie pozwolono mu go zatrzymać, ale zabroniono nosić.

– Nie pójdziesz z tym paskudstwem do synagogi! Chciał powiedzieć, że w ogóle tam nie pójdziesz, ale nie odważył się.

Wielka Synagoga w Paryżu przy rue de la Victorie była mocno zniszczona i nie tak piękna jak katedra w Oliwie, dokąd matka zabierała go, aby posłuchać chorałów Bacha. Niejednokrotnie malutki Michael dopytywał, kto tak pięknie gra, ale ona uśmiechała się tylko w odpowiedzi, zartując, że to wiadać jakiś Anioł. Zapewniała go, że on też ma swojego Anioła Stróża, który zawsze będzie go strzegł. Wydawało mu się, że mama wie wszystko o Aniołach, bo mogła o nich opowiadać w nieskończoność. O Ruchieli, który jest Aniołem Wiatru, o Szalgielu – Aniele śniegu i Natanielu Aniele deszczu. Najważniejszy oczywiście w tych opowieściach był Archanioł Mi-

chał, na którego cześć otrzymał imię.

– Masz piękne imię, synku – powtarzała, przytulając go do siebie.

Dużo później miał się dowiedzieć, że Archanioł Michał jest obrońcą zarówno Izraela, jak i Kościoła katolickiego i że Żydzi nazywają Azazela, Gabriela, Uriela, serafinami, posłańcami Boga lub rzecznikami spraw ludzkich, bo zanoszą modlitwy przed Jego oblicze.

– To była piękna kobieta – rzucił stryj mimochodem, zapytany przez chłopca o matkę Ewę Reinhardt. Spotkał ją tylko raz, w dniu jej ślubu z jego bratem Maurycym. Nikt, i on też, nie mógł pojąć, dlaczego syn potentata zbożowego Samuela Rosenfelda żeni się z gojką i na dodatek Niemką, choć jej droga przez proces konwersji zyskała jego uznanie. Z całą pewnością żadna inna kobieta, by się na to nie zdobyła, nie zerwałaby wszystkich więzi ze swoją rodziną, z matką i ojcem, dla którego była oczkiem w głowie. Drugiej swojej babci, Sary Rosenfeld, Michael Rosenfeld nigdy nie poznał. Powiedziano mu, że zanim przyszedł na świat została zamknięta w getcie, a następnie wywieziona do obozu koncentracyjnego w Theresienstadt razem z całą resztą rodziny i tam zginęła. Gdy dorósł, usłyszał przypadkiem, że trwają poszukiwania SS-Hauptsturmführera Rudolfa Bergmanna, oskarżonego o zbrodnie wojenne. Dowiedział się też, że odnaleziono w sierocińcu jego przyrodniego brata i że wystawiono go na przynętę. Potem ktoś powiedział, że prawdziwą karą dla Bergmanna byłoby zabicie jego własnego syna, tak jak on bezlitośnie ścigał dzieci Izraela i wysyłał je do gazu. Michael nie mógł tego słuchać, bo miał przed oczami obraz noworodka tulonego w ramionach przez swoją konającą mamę i jej błagalny wzrok zdający się mówić: zaopiekuj się braciszkiem. Gdy był już niemal całkiem dorosły, postanowił go odszukać, ale okazało się to wcale nie takie proste, bo chłopcu w międzyczasie zmieniono nazwisko z Bergmann na Berg. Skrócono je o jedną sylabę, aby nie kojarzono dziecka z oprawcą wojennym Rudolfem Bergmannem, albo aby nabrało bardziej polskiego brzmienia.

Po aresztowaniu Marii Reinhardt, Gertruda również znalazła się w niebezpieczeństwie i zanim zdołała opuścić Gdańsk trafiła wraz z noworodkiem do aresztu, skąd przekazano go do prowadzonej przez siostry zakonne ochronki. Gertruda ujawniła, że matką dziecka była Ewa Reinhardt, ale zataiła fakt, że ojcem był Rudolf Bergmann, a co więcej podała, że dziecko najprawdopodobniej pochodzi od kierowcy Reinhardtów, niejakiego Berga. Chłopiec wychowywał się w sierocińcu, bo z całej rodziny Reinhardtów nikt nie przeżył wojny, a jeśli nawet by przeżył, to i tak nie chciałby mieć nic wspólnego z Ewą Reinhardt, która najpierw poślubiła Żyda a potem wdała się w romans z SS-Hauptsturmführerem Rudolfem Bergmannem. Bergmann choć jej nie poślubił, z całą pewnością uratował jej i jej synkowi życie, wymazując z dokumentów fakt, że wzięła ślub pod lupą z Maurycym Resenfeldem.

Pewnego dnia, gdy Michael kończył piętnaście lat, pojechali do Chateau de Montsegur. Wyniesiony na wysokim wzniesieniu zamek był jednym z ostatnich miejsc, w którym schronili się katarzy. Zmęczony wspinaczką na szczyt góry Michael ledwie mógł złapać oddech i tam właśnie z trudem dochodząc do siebie, stanął oko w oko z przeszłością, a właściwie z jej duchem, Rudolfem Bergmannem, który na przestrzeni minionych dziesięciu lat przeobraził się z butnego młodzieńca w dojrzałego mężczyznę w sile wieku. Nadal był wysoki, postawny, jasnowłosy i niebieskooki. Michael Rosenfeld zamarł z przerażenia na widok mężczyzny, którego w pierwszym momencie nie rozpoznał, a po chwili w dalszym ciągu nie wiedząc jak się zachować, schylił się, udając, że poprawia sznurowadła u swoich traperek. W jednej chwili stracił poczucie bezpieczeństwa i opuścił go spokój. Byli sami na szczycie przy wejściu do ruin zamku, gdyż jego stryj mozolnie gramolił się dopiero pod górę. Mężczyzna obrzucił go lodowatym wzrokiem i odezwał się do niego po niemiecku, na szczęście chłopak nie dał się sprowokować i odparł po francusku, że nie rozumie. Bergmann uśmiechnął się do niego i zaczął schodzić w dół. Gdzieś w połowie drogi na szczyt minął się z niczego nie podejrzewającym Aronem Rosenfeldem. Po tym pamiętnym spotkaniu Michael nie mógł przez długi czas zmrużyć oka, a kiedy wreszcie zdołał zasnąć, budziły go koszmary, zaś intuicja podpowiadała mu, że nie było to spotkanie przypadkowe i z całą pewnością Bergmann ma w stosunku do niego jakiś plan. Nie miał jednak pojęcia, o co może chodzić naziście i co u diabła robi na południu Francji zaledwie w dziesięć lat po wojnie, wiedząc, że jest poszukiwany na całym świecie za zbrodnie wojenne.

Wtedy Michael Rosenfeld zaczął popadać w mistycyzm. Śniła mu się matka, raz pogodna i uśmiechnięta, innym razem umierająca. Prześcieradła zbroczone krwią i coś, co przypominało wątrobę, a chyba było łożyskiem. Krążył we śnie po cmentarzu, pomiędzy kamiennymi tablicami i nie mógł odnaleźć jej grobu. Domyślał się, że jeśli matka w ogóle została pochowana, w co wątpił, to babka musiała pochować ją na cmentarzu katolickim. Innym razem śniły mu się gigantyczne doły, takie jakie ujrzał w Stutthofie, pełne rozkładających się ciał wyciągających do niego ręce, tak jakby to on był Bogiem i mógł przywrócić pamięć o nich. Szukał wśród tych ciał swojego ojca, choć nigdy go nie widział. Nigdy, poza jednym jedynym razem, kiedy zobaczył nieznanego mężczyznę za drutami Konzentration Lager Stutthof, a intuicja podpowiadała mu, że to może być jego własny ojciec. Nie był pewny, czy to miało być pożegnanie czy znak, że jeszcze kiedyś się spotkają, bo ten mężczyzna zawsze i wszędzie go rozpozna.

Michael Rosenfeld wołał drogę do Boga na skrót i nie mając jeszcze nawet osiemnastu lat, a więc gdy daleko mu było

do wymaganej czterdziestki, sięgnął po *Kabale*. Próba obliczenia liczbowej wartości wyrazów i interpretowania *Tory* zaprowadziła go rzecz jasna na manowce, i gdzieś na granicy prawdy i fałszu nie mógł już rozgraniczyć świata rzeczywistego od nierzeczywistego. Boga Żydów, Jhwh czy Elohim, od Boga chrześcijan. Trzymając w jednej ręce *Biblię*, a w drugiej *Torę* – pięć pierwszych ksiąg *Starego Testamentu* – starał się przeprowadzić samodzielnie badania porównawcze. Znał księgi *Rodzaju*, *Wyjścia*, *Kapłańską*, *Liczb* i *Powtórnego Prawa*, bo stryj wielokrotnie zmuszał go do ich słuchania, uważając że to najlepsza forma nauki. Lepsza aniżeli w chederze. Osobiście nauczył go też żydowskiego wyznania wiary: *Masz miłować Jehowę twojego Boga, całym swym sercem i całą swą duszą i całą swą siłą życiową*.

Kończąc studia medyczne, Michael odkrył, że w *Biblii* umieszczono *Księgę Daniela* po *Księdze Ezechiela*. Innych większych różnic poza liczbową numeracją nie zauważył albo uznał za nieistotne. Pytanie, czy Ezechiel został ważnym prorokiem, bo ujrzał rydwan Jahwe i czy ten rydwan był rzeczywisty, czy też był li tylko wytworem jego imaginacji, miało powracać w przyszłości wielokrotnie, w czasie gdy robił specjalizację z psychiatrii i później, gdy już był doświadczonym lekarzem zajmującym się między innymi leczeniem schizofreników. Ale teraz, gdy podzielił się tą wiedzą z Aronem, ten go wyśmiał, wskazując na *Misznę* (*Torę* ustną), która została objawiona Mojżeszowi i przekazywana ustnie, do czasu gdy została spisana oraz na *Talmud*, zawierający pełny i autorytatywny wykład dla współczesnego judaizmu.

– *Jehowa przemówił do Mojżesza: „Zapisz sobie te słowa”* – Michael zacytował *Księgę Wyjścia* i dodał, że nie ma żadnych dowodów, że Bóg dał Mojżeszowi prawo ustne, które miałyby uzupełniać spisana *Torę*.

– Kwestionujesz *Misznę*? – rozgniewał się Aron.

– Nie – odparł Michael – zastanawiam się, jak daleko może posunąć się chory umysł człowieka. Chory, bo w owym czasie za przejaw choroby Michael uznawał wszelkiego rodzaju objawienia.

/Fragment przygotowywanej do druku pierwszej części powieści *Kiedy miłość była zbrodnią*/



ŁATWIEJ PISAĆ CZY KRYTYKOWAĆ? IRENA KACZMARCZYK PYTA PROFESORA IGNACEGO S. FIUTA

Irena Kaczmarczyk:

Jak przebiegała Twoja droga edukacyjna, naukowa, uwieńczona tytułem profesorskim?

Ignacy S. Fiut:

Do Krakowa przyjechałem w czerwcu 1967 roku na kurs przygotowawczy przed egzaminem wstępnym na biologię, ale studia rozpocząłem dopiero w listopadzie 1967 roku, bo przyjęto mnie dopiero w wyniku odwołania od negatywnej decyzji komisji kwalifikacyjnej do ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa – Henryka Jabłońskiego. Przez miesiąc pracowałem w Szpitalu Powiatowym w Nowym Sączu jako pielęgniarz i podjąłem studia z miesięcznym opóźnieniem, by do końca pierwszego semestru roku akademickiego 1967/68 uzupełnić braki i stać się pełnoprawnym studentem, a także otrzymać stypendium socjalne. W akademiku „Żaczek” zakwaterowywał mnie dr Zbigniew Bajka, z którym wielokrotnie krzyżowały się moje drogi rozwoju naukowego i towarzyskiego.

Zamieszkałem wtedy w pokoju 125 na pierwszym piętrze „Żaczka”. Podczas całych studiów nie oblałem żadnego egzaminu, nawet z wojska, bo dobrze strzelałem i tymi wynikami nadrabiałem braki teoretyczne. Moim dowódcą kompanii był major Poldek Proniewicz, a dowódcą Studium Wojskowego przy UJ był pułkownik Niemczyk. Najczęściej podczas tego pierwszego roku przesiadywałem w akademiku w pokoju „cichej nauki”, bo w moim pokoju mieszkało czterech studentów i walet – Bolek W., który przez kilka lat studiów zaliczył tylko jeden

semestr studiów z matematyki i ciągle powtarzał ten rok, aż wyłądował w domu dla „psychicznie chorych”. Innym ciekawym mieszkańcem był student matematyki – niejaki Rylski, fanatyk gry w szachy, który spał na łóżku piętrowym nade mną, a magnetyczną szachownicę miał przyklejoną do sufitu i przed snem rozgrywał kilka partii, zaś ja budziłem się rano z wbitą w plecy figurą szachową. Na drzwiach naszego pokoju przybił pudło, w którym codziennie pojawiała się ok. 60 kartek z ruchami szachowych figur, bo również prowadził gry korespondencyjne. Kolejnym mieszkańcem tego składu był obecny profesor polonistyki w krakowskim WSP/UP – Maciej Kawka, zaś ostatnim student z Nowego Sącza, który chlał wódkę, naklejał na ścianie nad łóżkiem całe serie klepsydr wyciętych z „Gazety Krakowskiej”, „Dziennika Polskiego” i „Echa Krakowa” i po semestrze został skreślony z listy studentów.

Po zakończeniu pierwszego roku studiów spakowałem książki, rzeczy osobiste i zaniósłem je do przechowalni w akademiku. Całe wakacje spędziłem w mojej rodzinnej wsi Mostki pod Starym Sączem. W pierwszym miesiącu wakacji byłem także na poligonie w Lidzbarku Warmińskim, z którego wróciłem w mundurze wojskowego studenta z białą kololetką pod szyją, książeczką wojskową w kieszeni i czapką ze znaczkiem orła „bez korony”.

Od drugiego roku studiów zacząłem działalność w Sekcji Porządkowej Klubu (ZSP) Nowy Żaczek. A kierowali nim dwaj studenci matematyki: Stanisław Lis i Marian Łoboda, zaś Radzie Klubu przewodniczył dr Andrzej Potok z wykształcenia biolog-fizjolog. Zostałem też członkiem RK i zastępcą kierownika ds. porządkowych, a więc prowadziłem z członkami sekcji działania porządkowe w innych klubach podczas dyskotek sobotnich i niedzielnych, tj. w: „Nawojce”, „Słowiankach” i „Piaście”.

Na trzecim roku studiów przeniosłem się do nowego skrzydła akademika (wyróżnienie za pracę społeczną)

do pokoju 187, w którym mieszkałem kolejne lata aż do skończenia studiów biologicznych, a następnie filozoficznych, czyli do lat 1975-1976. Później zacząłem mieszkać w Hotelu Asystenckim AGH, gdzie podjąłem pracę asystenta w dziedzinie „Podstaw Filozofii”. W 1976r. obroniłem pracę magisterską „Filozofia człowieka Alberta Camusa”, która ukazała się w następnym roku w wydaniu książkowym. Książkę zasponsorował Konsulat Francuski w Krakowie. Pracę doktorską przygotowałem pod kierownictwem prof. Władysława Stróżewskiego nt. „Koncepcja negacji i niebytu” w filozofii J. G. W. Hegla i M. Heideggera”.

I.K. W Antologii *Poeci Sądeckizny* (2019) prof. Bolesław Faron pisze, że jesteś najbardziej wiernym recenzentem twórczości poetów Sądeckizny. Opublikowałeś dziesiątki omówień ich tomików w prasie lokalnej. Opowiedz o swoim związku z *Małą Ojczyzną*.

– Moja „Mała Ojczyzna” znajduje się nad Dunajcem, który przepływa przez moją wieś – Mostki, ale i z widłami Popradu i Dunajca, z Piwniczną, gdzie mieszkają ciekawe poetki piszące nawet w gwarze „Czarnych Górali”; Wanda Łomnicka-Dulak, Maria Lebdowiczowa i Barbara Paluchowa. Często bywałem w Pijalni wody mineralnej „Piwniczanki”, gdzie odbywały się spotkania literackie, a ich pokłosie drukowano w czasopiśmie regionalnym „Nad Popradem”. Również recenzje tomików wierszy sądeckich autorów drukowałem w „Głosie Sądeckim” i „Gazecie Starosądeckiej” współpracując tam z poetką i redaktorką Danutą M. Sułkowską, którą wciągnąłem do działalności związkowej. Moja „Mała Ojczyzna” do dzisiaj jest mi bardzo droga, choć rodzice i znajomi w większości pomarli i odpoczywają na cmentarzach (nowym i starym) w Starym Sączu.

I.K. Jak to się dzieje, że autor uprawiający zawodowo badania naukowe, zajmujący się filozofią, prasoznawstwem, mediami, próbuje swych sił w sferze literatury, pisze wiersze...

– Uprawianie i rozwój naukowy był dla mnie głównym celem i sensem życia. Po stypendium naukowym w Instytucie Konrada Z. Lorenza wydałem książkę pt. *Filozofia Ewolucyjna Konrada Zachariasza Lorenza. Studium Problemowe i Historyczne* (1994), którą na stronie tytułowej otwiera wiersz pt. „Konrad Lorenz”, w którym dyskursem języka poetyckiego staram się wydobyć jego wkład w rozwój nauki (o zachowaniu się zwierząt), za który w 1973 r. z otrzymał wraz z innymi badaczami Nagrodę Nobla. Notabene – jest to też dobry przykład związków nauki z poezją. W oparciu o tę książkę obroniłem rozprawę habilitacyjną w Instytucie Filozofii UJ i otrzymałem tytuł doktora habilitowanego. Po wypromowaniu dwóch doktorów otrzymałem tytuł profesora uczelnianego w dziedzinie nauk społecznych. Równolegle podjąłem pracę zawodową nauczyciela akademickiego od roku 1972 na Wydziale Nauk Społecznych AGH (obecnie Wydział Humanistyczny).

I.K. A inne Twoje znaczące publikacje naukowe?

– Kiedy odwiedzałem Zakład Etologii na Wydziale BiNoZ UJ zauważyłem, że do pojemnika na śmieci wyrzucane są publikacje profesora (moich profesorów) – Tadeusza Garbowskiego. Pozbiierałem je do torby (ok. 190 nadbitek sprzed 100. lat) i po ich lekturze doszedłem do wniosku, że warto o tych poglądach napisać książkę. Zauważyłem, że to nie Karl R. Popper jest twórcą idei ewolucyjnej teorii poznania, ale właśnie nasz rodak T. Garbowski. Jej konspekt zrecenzowała prof. Zdzisława Piątek i tak powstała książka *Tadeusz Garbowski – prekursor filozofii ewolucyjnej* (Aureus 2012). W ten sposób przywróciłem prymat badawczy naszemu rodakowi, który po wojnie nie był szanowany w Polsce i nie dano mu nawet tytułu profesora zwyczajnego. W oparciu o tę pracę w roku 2012 otrzymałem tytuł profesora zwyczajnego, który wręczył mi w marcu 2013 roku nowo wybrany Prezydent RP Bronisław Komorowski. W roku 2017 odszedłem na emeryturę, choć do tej pory prowadzę wykład dla socjologów i kulturoznawców z Podstaw Filozofii na Wydziale Humanistycznym AGH.

I.K. Od jak dawna zajmujesz się też medioznawstwem?

– To, że zajmuję się mediami i prasą zawdzięczam przypadkowi. Kiedy dzięki koledze dr. Bogusławowi S. Kundzie podjąłem współpracę z Ośrodkiem Badań Prasoznawczych, najpierw przy „RSW Prasa Książka Ruch”, a potem OBP UJ, natrafiłem na fachowców od tego typu badań: prof. Walerego Pisarka, dr. Sylwestra Dziekiego i wielu innych medioznawców, a nawet zacząłem kierować Pracownią Analizy Zawartości przy OBP UJ i współpracować na nowo z dr. Zbigniewem Bajką. W wolnym czasie, np. w weekendy, pisałem recenzje literackie, prasoznawcze, tłumaczyłem teksty naukowe i poezję, pisząc własne wiersze. Interesował mnie również rozwój ruchów ekologicznych i prasa ekologiczna, z którą również współpracowałem – np. „Zielonymi Brygadami”. W tym czasie prof. Waclaw Mejsbaum przyjął mnie do redakcji czasopisma filozoficznego „Nowa Krytyka”, w którym również publikowałem.

I. K. Czy język poezji daje inne możliwości wyrażania siebie niż język nauki?

– Język filozofii – to pojęcie jest bardzo trudno zdefiniować. Prawie każdy kierunek i każda szkoła mają własny język i należy starać się go zrozumieć oraz wyciągnąć z niego wnioski praktyczne. Dobrym przykładem są tu dwa konkurencyjne kierunki filozoficzne XX wieku: fenomenologia i pozytywizm oraz szkoły od nich pochodne, konkurujące pomiędzy sobą.

I. K. Czy poezja ma jakiś związek z nauką?

– Tak, bo świadczą o tym historie ich rozwoju. One wzajemnie się inspirują i napędzają swój rozwój; popychają do rozszerzenia własnych horyzontów intelektualnych, a rezultat

jest ogólnie znany: „im więcej wiesz, tym więcej nie wiesz” i tak to wokół spirali intelektualnej w czasie i przestrzeni się nakręca. Nawet na emeryturze ciągle uczestniczę w tej spirali: bardzo pociąga mnie fenomen życia, kosmosu i ich związku między sobą. Można przecież wskazać w historii, że poeci i artyści antycypowali kierunki rozwoju nauki i przyczyniali się do dynamiki ich rozwoju. Trzeba jednak chcieć w tym uczestniczyć, a nie czekać na śmierć, która i tak nadejdzie, bo taka jest natura życia (kto się urodził, musi umrzeć). Ci, którym do niej się spieszy sięgają po nią lub walczą o prawo do eutanazji. W tej ostatniej kwestii nie mam jednak wyrobionego zdania, choć wiem, że życie jest „najwyższą wartością”.

I. K. Czy studia filozoficzne, praca naukowa, dydaktyczna znajdują rezonans w Twojej poezji? Jesteś autorem kilkunastu tomików wierszy. Który z nich cenisz najbardziej?

– Oceniać swą poezję byłoby barbarzyństwem. Moja ocena nie ma tu żadnego znaczenia: piszę to, co piszę. Do niektórych wierszy i ich zbiorów mam większy lub mniejszy sentyment. Obecnie sentyment żywię do niedawno wydanego mojego tomiku: *Tylko nie czytaj tego nikomu*. Jednak pracuję nad nowym (13.) tomikiem i zobaczymy co będzie?

I. K. Co inspiruje Profesora filozofa?

– To, co każdego człowieka, czyli jak pozyskiwać sens życia i nadawać mu wartość jako czemuś niepowtarzalnemu i unikalnemu. Nie ma żadnej jednak pewności, że to się zdarzy, bo „wszyscy jesteśmy sobie równi”!

I. K. Czy można Ciebie nazwać poetą Sądeckim? Sympatyzowałaś z Grupą „Tylicz”, „Wprost”. Opowiedz o tym...

– W pewnym sensie tak, bo ta kraina ciągle mnie inspiruje. Lubię czytać autorów z Grup „Tylicz” i „Wprost”, np. Adama Ziemianina, Andrzeja Warzechę, a często echa ich wierszy słychać chyba i w moich.

I. K. Uważasz, że poezja jest samoobroną przed złem, kłamstwem, manipulacją? Co uwiera Cię w dzisiejszym świecie? Jaka jest według Ciebie rola poety w społeczeństwie?

– Mam pewną wiedzę o dziejowości człowieka i nie mam złudzeń, że zawsze było podobnie. Twórcy zawsze walczyli ze złem, chamstwem, manipulacją w otaczających ich światach, co ludziom inteligentnym i wrażliwym dawało jakąś ulgę, stawali się bardziej wolnymi, a więc i tworzyli, by poprawiać kondycję ludzi we wszechświecie w wymiarze globalnym.

I. K. Zrecenzowałaś dziesiątki zbiorów poetyckich na łamach czasopism literackich. Napisałaś też trzy książki poświęcone poezji współczesnej: *Światy poetów* (1996), *Kulturowa tożsamość poetów. Prezentacje i analizy* (2008) i *Tożsamości światów poetów* (2014). Co sądzisz o kondycji współczesnej poezji?

– Współczesna poezja polska i światowa, może poza poezją lingwistyczną, jest niezła i jest w niezłej kondycji. Tu duże spustoszenie powoduje dominacja świata medialnego nad rzeczywistym. Większość ludzi nie umie odróżnić tych dwóch warstw od siebie i w zależności od własnych potrzeb je zastępuje. Ta sytuacja czasem świat rzeczywisty poszerza lub zubaża.

I. K. Od 1990 roku jesteś członkiem Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. W tym roku obchodzisz 40 - lecie pracy twórczej. Planujesz uczcić ten jubileusz? Może warto byłoby napisać autobiografię, dziennik, stworzyć własny naukowo-literacki portret? Myślałaś o tym?

– Jubileusz 35-lecia pracy twórczej kiedyś obchodziłem! Raz drugi nie zamierzam, bo byłaby to „powtórka z rozrywki i zenady”. Piszę, bo mam taką głęboką potrzebę duchową: ciągle spowiadać się przed własnym „ja” i resetować własne sumienie.

I. K. Ignacy, siedzimy w dawnej Cukierni Lwowskiej Jana Michalika przy ul. Floriańskiej 45. Tu, na początku XX wieku królował zgiełk, z radosnej twórczości spontanicznie rodziła się sztuka. Wystarczy spojrzeć na obrazoburcze malowidło Kazimierza Sichulskiego „Sąd Ostateczny”. Filisterskie oburzenie spowodowało, że obnażonym na płótnie artystom mistrz pędzla zmuszony był domalować majtki. A my dzisiaj pośród młodopolskich litografii, karykatur i witraży dywagujemy nad tym, czy poezja jest samoobroną przed złem, czy łatwiej jest pisać, czy też oceniać cudzą twórczość. Jako doświadczony poeta i krytyk, wyraż swoją opinię: łatwiej pisać czy krytykować?

– Jak to już wcześniej sygnalizowałem pisanie i krytykowanie musi być w pewien sposób odpowiedzialne. Nie może przekraczać granic autorskiej odpowiedzialności, ale powinno inspirować czytelnika lub innego autora, który zagłębia do tych tekstów. Notabene – to miejsce, w którym prowadzimy rozmowę było i jest ważne dla inspiracji i rozwoju naszej narodowej twórczości. Odkryłem je ok. 1970 roku na trzecim roku studiów. Lubiłem tu przychodzić, pić kawę, kurzyć, choć moje ubranie tak nasiąkało dymem, że przez dobę traciłem tym zapachem. Poznałem tu osobiście samego Piotra Skrzyneckiego, kilku aktorów i piosenkarzy, np.: Leszka Długosza, Ewę Demarczyk, Ewę Wyrodek i wielu innych artystów, np. Krzysztofa Litwina czy Jana Kantego Pawлуśkiewicza.

I. K. Dziękuję Ci serdecznie za poświęcony czas i składam gratulacje z okazji jubileuszu 40-lecia pracy twórczej.

Jama Michalika, 14.03.2023

MAREK SOŁTYSIK

WIELKI ŚWIAT WOBEC MĘCZEŃSTWA WIKTORII BERG

Joanna Krupińska-Trzebiatowska oddaje do rąk czytelnika książkę będącą z jednej strony odzwierciedleniem lęków, które nawiedzają prawie wszystkich w naszych ciekawych czasach, z drugiej – będącą próbą wyjaśnienia mechanizmów, które powodują te lęki. Powieść *Kiedy miłość była zbrodnią* prowadzi czytelnika zarówno po meandrach historii, jak i po współczesnej Europie. I tu, w realiach sprzyjających wygodzie, wysoce funkcjonalnych, żeby nie powiedzieć zbyt konkretnych, rozgrywają się na naszych oczach ludzkie dramaty. Rozdarcia moralne i sprawy kryminalne. Skąd przychodzimy? Co zrobimy z bagażem, którym obarczyła nas historia? Świat, tak funkcjonalny, zwłaszcza dla zamożnych, nie spełnia, jak się okazuje, jednego żądania, jednej prośby – balast przeszłości, nie naszej, naszych przodków, pozostanie niewyrzucony.

Jak nie balast, to oznaczenie. Znak, wprawdzie nie jaskrawy, ale jasny dla zainteresowanych: sygnał pochodzenia. Główna bohaterka powieści, Wiktoria Berg, krakowianka z obronionym na UJ doktoratem na temat fanatyzmu religijnego jako źródła totalitaryzmu, raczej z dala od życia trzymana córka sławnego profesora Jana Berga, po niespodziewanej śmierci ojca otrzymuje – oprócz ogromnego spadku – sygnał. Sygnał ten to ewidentna trucizna. Więc to tak, dotąd o tym nie miała pojęcia: dziadek Wiktorii był wysokim rangą oficerem SS, budowniczym hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Stutthof. Ukrywający się i do dziś poszukiwany. Pięć lat życia Wiktorii, od roku 2010 do 2015 to z jednej strony gorączkowe poznawanie realiów związanych z współczesnymi układami i procedurami towarzyszącymi interesom obrońców różnych prawd, z drugiej – próby pogodzenia się z faktami, które są stwierdzone i potwierdzone dziennikiem babki, kobiety, która wydała na świat dwóch chłopców: jednym z nich był synem Żyda, lekarza z szanowanej bogatej gdańskiej rodziny, drugi – synem Hauptsturmführera SS.

Poszukiwania odtrutki przez główną bohaterkę, jej brawurowe próby dotarcia do prawdy i malownicze, niebezpieczne przygody z erotyką niekoniecznie w tle, bo w tle czai się dramat, są jedną z warstw tej opasłej powieści, podzielonej na cztery części, z których druga, retrospektywna – 1914-1945 – nosi w sobie cenny ciężar wyjaśnień wpływu wydarzeń społecznych i historycznych na postępowanie antenatów Wiktorii i całego, barwnie naszkicowanego otoczenia zacnych mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska. Autorka także i w tym rozdziale, z realiami jakże odbiegającymi od reszty, dziejącej się tu i teraz, wykazuje się tym instynktem działającym na prozatorską maestrię, który pozwala tak naświetlić i przekazać czytelnikowi ważne, a przecież skomplikowane treści, aby go nie znużyć i – tak, tak – aby nauczyć. Wprowadza barwne postaci, każdą z nich obdarza ciekawą charakterystyką, małe słabości wzbudzają sympatię, złe skłonności budzą oburzenie.

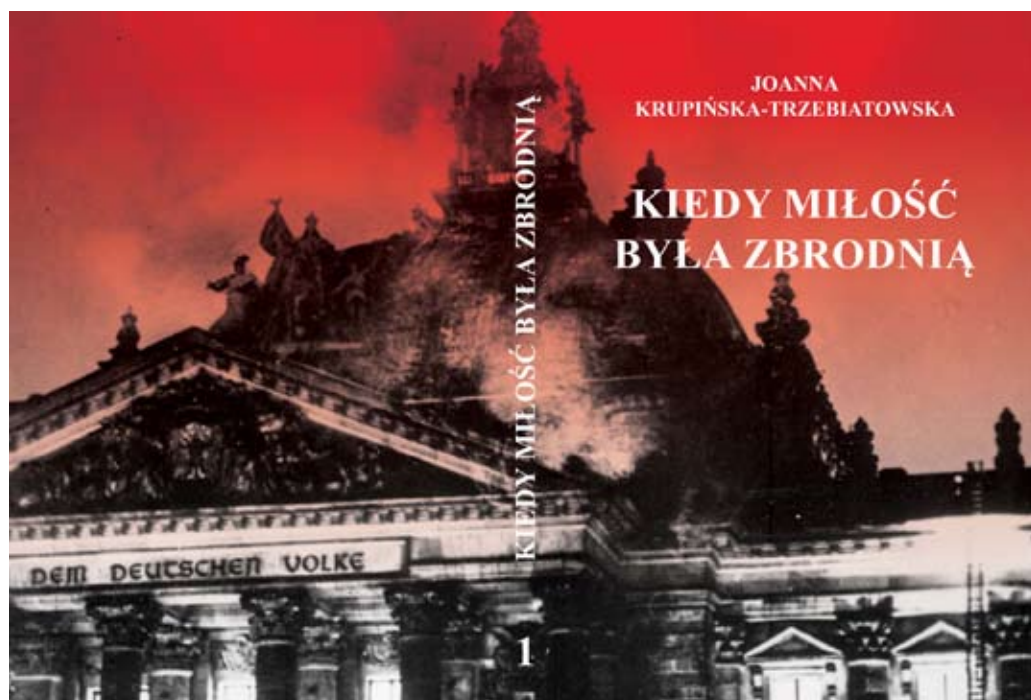
Nawet gdy jesteś sam, nie jesteś sam – mruczą ostrzegawczo karty powieści Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej. Nawet kiedy ci się wydaje, że

jestes człowiekiem niewyróżniającym się w tłumie, a zdradziłeś się oryginalniejszą uwagą lub kontaktowałeś się z kimś, kto jest dyskretnie śledzony, wiedz, że i ty jesteś obiektem zainteresowań wielkich służb wywiadowczych. Podśluchy, prowokacje, niby przypadkowe spotkania i miło zadziergnięte znajomości, w tym kontakty erotyczne, obserwacje dotyczące zwyczajów, przychodów, stanu zdrowia, nie mówiąc o zbadaniu kodu genetycznego, wszystko to sprawia, że stajesz się w takim stopniu własnością śledzących cię agentów, że choć nie masz wiadomego znaku inwigilacji, odczuwasz przytłoczenie, powodujące lęk przerażający się we wstręt do życia. Każdy nowo napotkany człowiek będzie się wydawał w tej sytuacji ratunkiem. Niestety, ci nowi znajomi, do których łgniesz, okażą się ludźmi interesownymi, albo nasańcami, albo narzędziami szpiegujących cię „opiekunów”; szkodząc ukradkiem tobie, uratują swą skórę. Tak tylko sądzą.

Powieść oczywiście nie ma nic wspólnego z dziennikiem pacjenta psychiatry, nie jest opisem rozwoju psychozy maniakalnej, metody bowiem i efekty wywiadowców pracujących w białych rękawiczkach są przedstawione precyzyjnie, rozciągają się przed czytelnikiem siatki powiązań, sensacyjna akcja przenosi się z miejsca na miejsce – a te miejsca są opisane wyjątkowo sugestywnie, autorka zabiera czytelnika w miejsca, które on zna (krakowski Salwator, warszawski apartamentowiec na Sadybie), które poznaje dzięki niej (Sopot i Wolne Miasto Gdańsk w dwudziestolecu międzywojennym), wreszcie te, których poznać by nie chciał... w takich okolicznościach.

Ta powieść par excellence współczesna jest historią męczeństwa Wiktorii Berg w świecie, gdzie wciąż jeszcze w kręgach mścicieli obowiązują prawa odpowiedzialności zbiorowej. Okoliczności gwałtownej śmierci głównej bohaterki na polskiej prowincji, gdzie Wiktorcia usiłowała się ukryć, najprawdopodobniej nie zostaną wyjaśnione, ponieważ ambitny prokurator, badający sprawę, dostaje solidną nauczkę od osób wplątanych w wymyślną wirówkę dobra i zła, dobrobytu i osobistych nieszczęść, blichtru i piętna. Dowie się wiele, mało tego, dowie się prawdy o okolicznościach mordu, który, z pozoru rytualny, okaże się... zabiegiem dla dobra nauk medycznych. Dowie się jeszcze czegoś, co na zawsze zachwieje jego pewnością siebie. Nie mamy złudzeń – współczesny świat nie rozpieszcza nieprzyzwyczajonych. Powieść Krupińskiej-Trzebiatowskiej przekazuje czytelnikowi tę konstatację, nie przytłacza go jednak, ładnie przedstawia ludzi, buduje swoje postacie bez złości, one dopiero po wyjściu spod jej pióra robią swoje. Bez opamiętania. Dopóki są żywe w tym naszym zastygającym świecie.

Joanna Krupińska-Trzebiatowska, *Kiedy miłość była zbrodnią*, powieść, Wydawnictwo POLART, Kraków 2023



WOJCIECH ANTONI SOBCZYŃSKI



DZIURA W DACHU I MATERII

I'm fixing a hole where the rain gets in

And stops my mind from wandering

Where it will go

(słowa – Paul McCartney + The Beatles
– z płyty Sgt. Pepper Lonely Hearts Club
Band)

*Łatam dziurę, gdzie przecieka deszcz, zatrzy-
mując myśl na błędzącym szlaku. Dokąd
ona zmierza?*



W. A. Sobczyński, Maska "Cosimo I Medici"
wg Giovanni Bandini, papier

Przeszło pół wieku minęło od czasu, kiedy słynni The Beatles wydali swój najbardziej ambitny album, który spotkał się z aprobatą nie tylko nastolatków lecz także ich rodziców i dziadków.

Znakomita okładka płyty zaprojektowana przez uznanego artystę Peter Blake (nie odmieniam celowo angielskiego nazwiska) opisana była w prasie artystycznej jako symbioza Pop Artu P.Blake i Pop Music Beatlesów. Była bardzo kolorowa, pełna hipisowskiej symboliki 'flower power' i halucynogennych skojarzeń. Piosenki też. Cytowane powyżej słowa odwoływały się bardziej do przemyśleń z obszaru poezji i wschodniego mistycyzmu, mniej do wcześniejszych rockowych „Twist and Shout”. Muzyka zawierała zdecydowanie nowe przesłanie, jedna z piosenek pt. „Lucy in the sky with diamonds” nie ukrywała, że mówi o przeżyciach doznanych pod wpływem LSD pozornie ukrytym w samym tytule .

Światowa fala oporu młodzieży przeciwko odziedziczonym stereotypom dawniejszych pokoleń powstała głównie na tle okropności wojny trwającej wówczas w Wietnamie. Najbardziej słynny z The Beatles – John Lennon śpiewał – „All we are saying is give Peace a chance” – Mamy tylko jedną prośbę, dajcie szansę POKOJOWI !

Czas leci nieubłagane a 'pokoju' jak nie było tak nie ma.. Cały wiek już minął od czasu utworzenia Ligi Narodów (LN) – międzynarodowego forum powstałego w 1920 roku w rezultacie katastrofy, którą była pierwsza wojna światowa. LN rozwiązana była oficjalnie w 1946, potępiona i pogardzana za nieskuteczność działań. Na jej miejsce 77 lat temu utworzono Organizację Narodów Zjednoczonych (ONZ), podobne forum z identycznymi aspiracjami pilnowania pokoju na świecie. Żeby zwiększyć skuteczność organizacji uchwalono tym razem, że ONZ będzie miała tzw Niebieskie Hełmy (NH), czyli oddziały wojska potrzebne do utrzymywania pokoju i interweniowania w zapalnych punktach naszej pokłóconej planety. O ile dobrze pamiętam NH interweniowały na przestrzeni czasu tylko kilka razy – w wojnie koreańskiej, na Cyprze, na Bliskim Wschodzie, w Kongo i ostatnio na Bałkanach. Dla ścisłości NH pełnią nadal cenną służbę na granicy Syryjsko Izraelskiej oraz w rejonie zatoki Gwinejskiej, ale konfliktów nie brakuje. Można by wylizać po kolei wszystkie rejony świata jak lekcję geografii. Skończyły się już wojny terytorialne wielkich władców. Wyjątkiem chyba jest obecny dyktator post-sowiecki, który jak echo dawnych imperialnych czasów pojawił się na arenie międzynarodowej w najgorszym złośliwym wydaniu. Rywalizacja współczesnych państw powstaje najczęściej na tle ekonomicznym, wzajemnych stref wpływów gwarantujących rynki zbytu, dostęp do surowców i energii niezbędnej do produkcji, choć terytorialne spory trwają do dzisiaj. 30 lat temu usłyszałem triumfalne przemówienie amerykańskiego prezydenta Georga Busha (seniora), który po spotkaniu z rosyjskim prezydentem Jelcynem ogłosił globalne nadejście ery pokoju. Wbrew rozsądkowi zapatrzony w siebie świat zachodu chciał w to uwierzyć, ale ewidentnie ówczesny premier administracji Jelcyna a obecny prezydent Putin, miał na ten temat inne koncepcje. Era pokoju na rozległych polach bitew na wschód od Bugu skończyła się już w 2014 kiedy rosyjski dyktator wysłał swoje wojsko na Krym i dokonał pierwszego rozbioru Ukrainy. Tam



Donatello "Dawid" – marmur

dokonał się wstępny akt dramatu trwającego do dzisiaj. Co będzie dalej?

Świat Londynu, który mnie otacza przypomina trochę ostatnie chwile na pokładzie *Titanica*. Wtedy rozbawione towarzystwo zebrane w sali balowej parowca nie mogło uwierzyć, że bal się skończył, a „niezatapialny” liniowiec wchłania głęboki ocean. Orkiestra przecież nadal grała. Szampan stał niedopity, a smaczny deser był dopiero co zacząty?

Tak, to prawda. Dzisiejsze państwo Brytyjskie zasłużyło na pochwałę. Ukraina otrzymała i nadal dostaje konkretną pomoc. Uciekinierów przyjęto z godną podziwu szczodrością ale..... Krew ukraińska rozlewa się bardzo daleko za wschodnim horyzontem a transfuzja dla krwawącej ofiary w postaci czołgów czy samolotów nadal leży w odległej przyszłości. Wprawdzie straszne obrazy wojenne docierają do wszystkich na ekranach domowych telewizorów ale zmęczenie tematem można rozstrzygnąć zmieniając kanał i popatrzeć na coś przyjemniejszego. Hipokryzja czy samoobrona psychiczna? Wyrok zostawiam dla sumienia indywidualnych ludzi.

Ja też znalazłem czas na znieczulające lekarstwo wychodząc na nowo otwartą wystawę w Victoria & Albert Muzeum poświęconą Donato di Niccolo di Bertto Bardi – powszechnie znanego jako Donatello. Dla niewtajemniczonych jest to włoski rzeźbiarz okresu renesansu. Dla zainteresowanych wielbicieli sztuki Donatello pozostaje nadal jednym z największych artystów na świecie.

Już w niecałe sto lat po śmierci rzeźbiarza wspomina o nim Giorgio Vasari w swojej książce pod tytułem „*Żywoty najświetniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*” (wydanej w 1555), w której pisze – Świat jest tak pełen prac Donatello, że inni artyści powinni uznać jego wielkość jako wyróżniającą się ponad wszystkich współczesnych ponieważ skupił w sobie zdolności, inwencję, osąd, łącząc w swoich projektach jakości rysunku i warsztatu oczekiwane wyłącznie od geniuszy (luźne tłumaczenie autora).

Vasari – uznany powszechnie jako ojciec historii sztuki nie rzucał słów na wiatr, ponieważ dedykując encyklopedyczne dzieło swojemu patronowi Cosimo (I) Medyceuszowi przyjmował na siebie najwyższe zobowiązanie jakościowe. Florencja, Siena, czy Padwa, gdzie Donatello stawiał pierwsze artystyczne kroki cieszyły się niesłychaną koniunkturą ekonomiczną i intelektualną. Patronat wielkich rodzin, książąt, dostojników kościoła lub samorządów miejskich przyciągały artystów wszelkiego rodzaju. Powstawały fortece, ratusze, kościoły i pałace w atmosferze wielkiej rywalizacji kto wybuduje i przyozdobi, więcej i piękniej. Florencja była najważniejszym ośrodkiem przyciągającym artystów kiedy Donatello dostawał pierwsze zamówienia. Wśród nich byli zaprzyjaźnieni współpracownicy jak Filippo Brunelleschi, autor architektonicznie rewolucyjnej kopuły katedralnej, rzeźbiarze Luca della Robbia i Andrea del Verrocchio a niedługo później następna generacja nieprawdopodobnych talentów jak Michał Anioł, Baccio Bandinelli, Giovanni Bandini czy Nanni di Bartolo. Tradycje Grecko-Rzymskie nigdy nie wygasły we Włoszech. Ruiny Imperialnego Rzymu były widoczne wszędzie służąc przykładami zarówno stylistycznymi jak i technologicznymi. Dzisiejszy turysta zwiedzający Florencję nasycony wrażeniami zabytków w centrum miasta idzie czasami na spacer na drugą stronę rzeki Arno. Za Ponte Vecchio (Stary Most) mijając ogrody Boboli podejździe na wzniesienie, gdzie mieści się klasztor San Miniato al Monte i będzie zdumiony, że kościół z okresu średniowiecznej romańszczyzny wygląda zupełnie jak przykład Renesansowej architektury. Kłasyka Greko-Rzymska nie tylko przetrwała, ale pozostaje we Włoszech jako odnośnik lub drogowskaz dla nowych poszukiwań stylistycznych na przestrzeni wieków.

Wystawa w Muzeum V&A wita swoich widzów najważniejszą pracą młodego Donatello. Miał on zaledwie 22 lata kiedy zaczął rzeźbić w marmurze postać Dawida. Pracował nad nim ponad dwa lata. Skończona rzeźba ma 191cm. To nieprawdopodobne przedsięwzięcie przyniosło mu natychmiastową sławę. Początkowo jej przeznaczeniem była jedna z katedralnych sal pomocniczych lecz władze Florencji zaproponowały artyście nowe miejsce w Sala dell’Orologio (sala z zegarem) w Ratuszu. Marmur ustawiono na tle lazurowej ściany, aby uświetnić jej wnętrze, a przede wszystkim jako obiekt godny podziwu i inspiracji dla dalszych pokoleń.

Historia zwycięskiego Dawida, młodzieńca z zamierzchłych kart starego testamentu opowiadała o ocaleniu Izraelitów od pewnej klęski podczas najazdu Filistynów, na czele których stał Goliat. Siejąc terror i popłoch wśród Izraelitów zwycięstwo Goliata było przesądzone do czasu aż stanął przed nim nieulekły David. Zwinnie sięgając po rzeźny kamień, włożył go do rzemiennej procy i z zamachem zadał nim cios Goliatowi mierząc celnie między oczy. Goliat padł nieżywy a Filistyni pozbawieni wodza rozpiezchli się w popłochu.

Dydaktyczny temat wybrany dla pokrzepienia serc mówiący o zwycięstwie słabszego nad przemocą brutalnego wroga przemawiał do wyobraźni mieszczan, ostrzegając równocześnie wrogów.

Tak w skrócie można opisać oficjalne założenia tego dzieła. W istocie i nie bez podstaw można powiedzieć więcej z obserwacji rzeźby dlaczego



Donatello – "Pazzi Madonna"- marmur

jest to wielkie dzieło artysty. Nie znalazłem żadnej wzmianki kto pozował do tej rzeźby. Może to był zaprzyjaźniony młodzieniec? A może po części jest to odbicie samego artysty. Wystarczy dodać, że marmurowy Dawid jest z wyglądu w tym samym wieku co pracujący nad nim rzeźbiarz. Odwaga młodości i wiara w swoje siły emanuje z twarzy Dawida. Patrzy na nas bez pychy ale z hardym spojrzeniem. Niby zapytując nas widzów – o co wam chodzi? Ja przecież wiedziałem gdzie mam uderzyć, a że trafię – nie miałem wątpliwości. Mówiąc to marmurowy Dawid patrzy nam prosto w oczy. Mówi oczywistą prawdę, prosto, bez wahania, zdecydowanie. Lewa ręka oparta o bok, a jej dwa palce wskazują bez fałszywej skromności – to ja jestem zwycięzcą, bo ja wiedziałem jak zwyciężyć. Dawid stoi na rozstawionych stopach. Pomiedzy nimi leży martwa głowa Goliata, a śmiertcionośny kamień tkwi w samym środku jego czoła. Drugi zapasowy jest już w procy gotowy do następnego ciosu. Głowę Davida uniesioną wysoko przybrał rzeźbiarz w wieniec Amarantu wmiessamy w pukle włosów. Ciało okrywa ochronny strój i peleryna ze skóry opadająca po obu stronach rzeźby w luźnych fałdach aż do stóp. Pomimo pozornej i zamierzonej prostoty Donatello demonstruje z wirtuozerską pewnością detale ubioru, fałdy, włosy Dawida i Goliata – a dla mnie godne podziwu są po mistrzowsku ustawione ręce oraz szczególnie przepiękne w modelunku palce obu rąk.

Wystawa Donatello jest ogromna i analizuje wiele wątków jego bogatej twórczości. Wzajemne wpływy współczesnych jemu artystów, późniejszych kontynuatorów oraz naśladowców aż po dzień dzisiejszy. Jeden motyw powtarzający się z największą częstotliwością to wizerunek Madonny z Dzieciątkiem. Zaskakująca ilość zamówień tego rodzaju była dla artysty zapewne złotą żyłą dochodową. Z konieczności zamówienia musiały się różnić stymulując różnorodność kompozycyjną i rodzaj materiału. Format ołtarzowy narzucał inny kompozycyjny rygor niż zamówienia do prywatnego użytku modlitewnego. Są na wystawie kompozycje z marmuru, terakoty z polichromią i złoceniami. Są też



Donatello -"Madonna w chmurach"- marmur

brązy i wyroby z blachy. Jest nawet ilustracja (wspomniana tylko w katalogu) pokazująca Madonnę z Dzieciątkiem wykonaną w technice mieszanej przy użyciu polichromowanego gipsu, gesso, złocień, skóry, werniksowanego srebra, wosku, kleju i gwoździ. Wszystko to jest na desce 97x78cm.

W całości żonglerki technologicznej Donatello ponad wszystko był artystą z szalenie osobistym podejściem do tematu. Dobrym przykładem jest odejście od formalnego statycznego pokazania dzieł sakralnych. Madonna i Dzieciątko przestają patrzeć w stronę kapłanów i wiernych. Matka i dziecko patrzą na siebie, często pogrążone we wzajemnej miłości i oddaniu. Najpiękniejszym przykładem jest płaskorzeźba zwana Pazzi Madonna, wykonana w marmurze i datowana 1420-5 (Muzeum Narodowe w Berlinie).

Eksperymentując bezustannie Donatello zmienia kompozycyjną narrację jak zawodowy choreograf sceniczny. Konceptyjne projekty na papierze artysta przynosił na przygotowany marmur. Uzyskane w ten sposób rysunki na kamieniu Donatello minimalnie pogłębiał uzyskując piękny graficzny rodzaj niskiej płaskorzeźby nazwany przez niego 'relievo schiachiato'. Szkicowość tej metody sprzyjała kompleksowym opowiadaniom jak na przykład tzw: Madonna w chmurach (Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie). Donatello przedstawia scenę kompletnie intymną. Karmiąca matka tuli swoje dziecko, które spojrzało na chwilę w naszą stronę. Oczy nas widzów napotyka ten wzrok. Całość sceny odgrywa się w niebiosach a siedem aniołków daje świadectwo tej scenie. Dramat pozornie sielskiego wydarzenia zawarty jest w ekspresji twarzy matki, która zna męczeńską przepowiednię losu swojego dzieciątka. W radykalnym odejściu od konwencji Donatello zademonstrował nowatorstwo swojej artystycznej myśli i potwierdzenie ducha renesansowego humanizmu, którego był jednym z prekursorów. Dlatego właśnie Vasari przypisał mu miano geniusza.



A MOŻE COŚ O TEJ WYSTAWIE ...?

Taka wiadomość nadeszła na fali Świątecznej poczty elektronicznej od Pani Redaktor

Moja pierwsza reakcja oporu do 'auto-reklamy' wynikała z niechęci do analizowania własnych prac artystycznych i wiążącym się z tym brakiem obiektywnego punktu widzenia.

A jednak sam fakt postawionego przez Panią Joannę pół-pytania „A może...” wnikał z rozesłanego wcześniej zawiadomienia o mojej wystawie p.t. *Early Easter in Waterloo*. A więc stało się. Ograniczę się więc tylko do paru opisów jak do doszło do tego przedsięwzięcia.

Zaledwie kilka tygodni temu znalazłem się na koncercie w kościele St. John's Waterloo. Muzyka była raczej nietypowa i oparta na archiwalnym nagraniu, które usłyszałem już kiedyś na radiowych falach BBC. Anonimowy głos bezdomnego człowieka, chwiejny i bezsilny śpiewał prostą i powtarzającą się melodię z wplecionymi w nią słowami „Jesus blood never failed me yet”, co w polskim tłumaczeniu brzmi „Krew Jezusa jeszcze nigdy mnie nie zawiodła”. Głos staruszka dodaje jeszcze parę innych słów, które są już trudniejsze do rozszyfrowania. Spontaniczny śpiew został nagrany wiele lat temu przez przypadek podczas próby mikrofonowej przed koncertem znanego kompozytora angielskiego Gawina Brayersa. Śpiew zarejestrowany na taśmie magnetofonowej Brayers odkrył dopiero później i urzeczony jego prostotą

utrwalił się w jego pamięci. Próby odszukania staruszka były bezskuteczne. W rezultacie kompozytor opracował instrumentalną wersję na zespół smyczkowy + głos z taśmy. Utwór doczekał się wielu koncertów w Anglii a nawet kiedyś w Nowym Jorku przy współpracy słynnego Tom Waits.

Niedawny koncert w londyńskim St John's nie był przypadkiem, gdyż parafia angażuje się od lat jako jeden z głównych punktów pomocy dla ogromnej rzeszy bezdomnych zamieszkujących w tekturowych schronach na ulicach Londynu. Kościół stoi obok ogromnego dwu poziomowego skrzyżowania. W najniższej części, zadaszonej przed uporczywym deszczem mieściło się obozowisko noszące nieoficjalną nazwę Areny Walki Byków. W St. John's głodni i na wpół zamarznęci ludzie mogli liczyć na codzienny kubek gorącej zupy a nawet coś więcej podczas wielkich Świąt.

Pamięć o bezdomnych trwa do dzisiaj, choć miasto tekturowe rozpieczętowało się, a na jego miejscu stoi luksusowe futurystyczne kino. Koncert Brayersa był poświęcony bezdomnym popartym solidarnie przez zgromadzoną publiczność. Siedząc wśród nich patrzyłem z urzeczaniem na ołtarzowy obraz przedstawiający dramat ukrzyżowania. Autorem dzieła namalowanego w 1954 był Hans Feibusch, który w 1938 roku uciekł z Niemiec wiedząc, że jako już poszukiwany Żyd nie ma innego wyjścia. Hitler zaliczył jego twórczość do wystawy tzw 'degeneratów'. W niecałe dziesięć lat po zakończeniu II wojny światowej agonia Chrystusa miała dla artysty szczególne metaforyczne znaczenie. Feibusch jako wychowanek niemieckiego ekspresjonizmu nie oszczędza widza przedstawiając umęczone ciało Chrystusa, rozpacz Matki Boskiej i padającej u stóp Jezusa Marii Magdaleny, przerażone twarze innych postaci włącznie z płaczącymi w przestrzeni aniołami. Twarz Chrystusa jest już martwa. Patrzyłem na ten obraz po raz pierwszy, jak w hipnozie, słuchając urzeczony bezmiennego i drżącego głosu oznajmiającego, że „Krew Jezusa nigdy mnie nie zawiodła”.

Po koncercie rozmawiałem z dyrektorem artystycznym kościoła i tak powstał plan mojej Świątecznej Wystawy. Zrealizowana była zaledwie w dwa tygodnie, bez prasy, ogłoszeń lub plakatów, na bazie prac, które robiłem na przestrzeni czasu. Powstawały w różnych warunkach. Czasami słuchając Pasji Jana Sebastiana Bacha, czasami Krzysztofa Pendereckiego, lub kiedyś – słuchając radia zabrzmiały dźwięki trąbki z wierzy Mariackiej wywołując lawinę emocji wspomnianych w wierszu Gałczyńskiego „zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz, zaczarowany koń”.

WOJCIECH A SOBCZYŃSKI



Dwór Sztuki w Siennicy Różanej

13 stycznia w Siennicy Różanej (Lubelskie) otwarto Dwór Sztuki, odrestaurowany m.in. za unijne pieniądze zabytek, który jest chyba pierwszym w Polsce muzeum sztuki nowoczesnej na wsi. A chojnicko-krakowski artysta ma tu swoją stałą ekspozycję.

Dlaczego? Trzebiatowski przyjeżdża do Siennicy od lat 80. ubiegłego wieku, na warsztaty i plenery malarskie, także międzynarodowe. Dał się poznać lokalnej społeczności jako miłośnik sztuki i – jak mówiono na uroczystości otwarcia dworu – artysta przez duże „a”. To on zainspirował miejscowy samorząd do myślenia o tym, żeby dwór służył kulturze i sztuce, nie tylko regionalnej, także tej z górnej półki. By to do Siennicy przyjeżdżali ciekawi nowych tendencji i zjawisk w sztuce współczesnej.

Obrazy i ...toporek

W Chojnicach artysta rezyduje w baszcie na Sukienników, gdzie istnieje jego muzeum. – Ekspozycja w Siennicy różni się od chojnickiej – tłumaczy. – Nie ma tam tego nalu „martyrologii”, bo w baszcie jest trochę opowieść o chłopcu z Chojnic, który został artystą. W Dworze Sztuki natomiast od razu jest poważna sztuka, zasiloną też cyklem „Katedra”.

Trzebiatowski podarował Siennicy 200 prac. I analogicznie jak w Chojnicach połączył nowoczesność z tradycją. – Najstarszy zabytek, jaki tutaj trafił, to toporek wikingów sprzed 50 tys. lat – śmieje się. – Pochodzi z północnej Szwecji.

Malarz ma też tutaj swoją pracownię, szóstą w kraju. Jego atelier o powierzchni 45 m kw. pozwoli mu

tu na twórczą aktywność. I obmyślanie planów o funkcjonowaniu Dworu Sztuki.

– Chciałbym, żeby była tu pokazywana sztuka nowa, odkrywczą, czasem kontrowersyjną – wyjawia. – Trudna, ale niosąca w sobie bogactwo.

Jak podkreśla, w Siennicy chłonność i potrzeby są ogromne.

– Tylko 900 dusz, a setka z nich to uczestnicy Uniwersytetu Trzeciego Wieku – nie ukrywa entuzjazmu. – Ta mała wieś wspiera od lat zespół folklorystyczny Jawor, który działa przy Uniwersytecie Lubelskim. To naprawdę niezwykłe miejsce na ziemi.

Goście z Chojnic

Uroczystość otwarcia Dworu Sztuki zgromadziła wielu zacnych gości, a pokropił go arcybiskup lubelski Stanisław Budzik. Nie zabrakło gości z Chojnic. Z listem gratulacyjnym od burmistrza Arseniusza Finstera i prezydentem przyjechali dyrektorzy Chojnickiego Centrum Kultury – Radosław Krajewicz i Łukasz Sajnaj. Kaszuby reprezentowali samorządowcy z Tuchomia – tam Trzebiatowski także zamierza zapuścić korzenie...

Jak znajdzie na to czas?

– Spokojnie – odpowiada. – Wszędzie dotrę w swoim czasie. Do Chojnic we wrześniu na Dni Sztuki...

MARIA EICHLER



**DWÓR SZTUKI
JANUSZA TRZEBIATOWSKIEGO
W SIENNICY RÓŻANEJ**

POLART ŻEGNA

ALEKSANDRA KRAWCZUKA

27.01.2023

W 39 numerze HYBRYDY zamieściliśmy obszerny artykuł "Spotkanie z Aleksandrem Krawczukiem" napisany przez Rafała Skąpskiego w związku z 99 rocznicą urodzin Profesora.

Aleksander Krawczuk zmarł 27 stycznia 2023, więc pozwólcie Państwo, że dla upamiętnienia Jego pamięci przywołamy niewielkie fragmenty tamtego tekstu.

<http://mbc.malopolska.pl/dlibra/docmetadata?id=122838&from=publication>

(...)

Zacznijmy więc od początku. W roku 1922 urodził się w kamienicy na Rynku Głównym w Krakowie, dziś to siedziba znanej restauracji Wierzynek. Czyż można być bardziej krakowskim? A więc od urodzenia krakowianin. Podczas II wojny światowej był żołnierzem Armii Krajowej. W 1949 roku ukończył studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i podjął pracę naukową w Zakładzie Historii Starożytności, uzyskując w 1985 tytuł profesora. Opublikował liczne, tłumaczone na szereg języków, prace naukowe i książki popularnonaukowe. Wciąż kojarzony jest jako znakomity popularyzator historii i filozofii antyku w Telewizji Polskiej (tej z lat 70. i 80.), przybliżający rzymskich i greckich bohaterów, tych rzeczywistych i tych mitycznych, milionom widzów. Swymi wykładami, będącymi swoistą rozmową ze słuchaczem o historii i kulturze, stworzył niedościgniony wzór, swoistą „szkołę Krawczuka”, do której jakże często tęsknimy dziś próbując z pomocą pilota natrafić na program telewizyjny warty oglądania. Antyczny świat profesora Krawczuka przywoływany był w ostatnich latach jedynie w Jego wywiadach prasowych. Profesor mówił w nich na przykład o najbliższym Mu - Julianie Apostacie. Wspaniałej, jak twierdził, postaci w historii Rzymu i jednej z najwspanialszych w dziejach Europy. „Imponuje mi – mówił - nie tylko ze względu na swój stosunek do religii, ale przede wszystkim ze względu na wspaniałe cechy charakteru. Proszę sobie wyobrazić młodego chłopaka, który kocha książki, spokojne życie uniwersyteckie i starą kulturę. Tak jak Krawczuk właśnie. I w pewnym momencie staje on przed zupełnie dla niego niepojętym zadaniem. Musi jechać [Apostata] z Aten do Galii i walczyć z Germanami.” Aleksander Krawczuk w drugiej połowie lat 80. udał się ze swoich Aten do Galii, z Krakowa do Warszawy, by walczyć o kulturę polską.

Rozstanie z wysokim urzędem i powrót do Krakowa nie osłabiło aktywności społecznej profesora Krawczuka, pozostał w sprawie kultury zaangażowanym. Pole do działalności odnalazł Aleksander Krawczuk w Fundacji Kultury Polskiej. Powołana

w 1988 roku, działała przez prawie 30 lat, a jej Filia w Krakowie, której Profesor przewodniczył, tyle samo! Działalność Fundacji i jej znaczący dorobek to spora zasługa Aleksandra Krawczuka, który został członkiem zarządu Fundacji i przewodniczącym Rady jej krakowskiej Filii.

(...)

Od 1991 r. do 1997 r. Aleksander Krawczuk sprawował mandat posła na Sejm I i II kadencji z ramienia Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej (SdRP). Nie kandydował dla zaspokojenia swych ambicji, ani dla splendorów. W tamtym czasie, w tamtej atmosferze, podjęcie się reprezentowania lewicowych poglądów, nie mając z lewicą związków formalnych - był zawsze bezpartyjny - świadczyło o przywiązaniu do tradycji postępowych nurtów rodem z XIX-wiecznej krakowskiej myśli Edwarda Dembowskiego, czy początków krakowskiego PPS-u, przedwojennego i tuż powojennego. To wywołało u Niego impuls wsparcia lewicy i zmanifestowania tego sprawowaniem mandatu posła. Trzeba także pamiętać o aktywności Aleksandra Krawczuka w krakowskiej Kuźnicy, oraz jakże istotnej roli, jaką przez lata pełnił jako animator słynnego krakowskiego, profesorskiego stolika w kawiarni hotelu „Grand”. To było nadzwyczaj opiniotwórcze, choć nieformalne, forum dyskusyjne. Kawiarniana akademika nauk, taka „Kana galicyjska”.

(...)

Dla statystyków ufnych w daty i liczby, Aleksander Krawczuk, z metryki tylko był sędziwym mędrcom. Dla znających Go - z ducha - był wciąż Apollinem, najmłodszym, najpiękniejszym bogiem, o niezwykłych walorach umysłu. Apollinem, któremu dedykowano wawrzyn szlachetny. Liczne nagrody i wyróżnienia, w tym Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski nadany i wręczony przez Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, ale też Kowadło, nagroda Kuźnicy, są swoistą, współczesną odmianą owego wawrzynu - wieńca laurowego.

(...)

Sześć lat temu w jednym z wywiadów Profesor Krawczuk powiedział: „Dobrze jednak, byśmy znali historię, uczyli się jej, szanowali i wyciągali odpowiednie wnioski. Wtedy uniknęlibyśmy wielu dramatów i złych decyzji. Oczywiście - nigdy się tak nie dzieje. Ludzie zawsze popełniają te same błędy. A historia uczy, jak czasem bezsensowna decyzja jednego człowieka może zmienić losy całych narodów.” Jak aktualne są te słowa.

RAFAŁ SKĄPSKI

MACIEJA ZBOROWSKIEGO



10.03.2023

Dotarła do nas tragiczna wiadomość z Liechtensteinu, gdzie 10 marca 2023 zmarł nagle wybitny muzyk, organista katedralny w Vaduz, Maciej Zborowski.

To niepowetowana strata dla świata muzyki, a dla mnie szczególnie bolesna, gdyż poza bliskimi więzami krwi łączyły nas więzi przyjaźni i owe rzadko zdarzające się pomiędzy ludźmi wrażenie, że nadają na tych samych falach, wynikające z dotykania subtelnym umysłem tajemnicy wszechświata i daleko wykraczające poza granice rzeczywistości. Maciej, wybitny intelektualista i erudyta, czerpiący wiedzę z najstarszych ksiąg ludzkości, żywo interesujący się numerologią Starego Testamentu i Kabałą, o zasadach rządzących wszechświatem zdawał się wiedzieć wszystko. Komponował i improwizował i wychował rzeszę wiernych uczniów. Od 2007 był członkiem Stowarzyszenia Twórczego Polart i do dziś brzmi mi w mojej pamięci piękny koncert, jaki zagrał dla nas w Bazylice O.O Paulinów na Skałce.

Zanim ukończył Liceum Muzyczne w Krakowie, dokąd wreszcie po latach tułaczki udało się powrócić jego rodzinie zesłanej z nakazem pracy na ziemię odzyskane, jako młody, nikomu jeszcze nie znany organista rozpoczął międzynarodową

karierę muzyczną udowadniając, że Europa jest bez granic.

– A wszystko zaczęło się od konkursu muzyki organowej w Linzu, czyż nie? – zapytałam w naszej pierwszej po latach rozmowie, gdy zjechałam wraz z córką, wówczas pianistką in spe do Vaduz. Matka Maćka, doktor Hanna Zborowska, która przez wiele lat prowadziła prywatną praktykę lekarską w Meiningen, lecząc dzieci mieszkające po obu stronach granicy pomiędzy Austrią a Szwajcarią przebiegającej wzdłuż Renu, odpowiedziała wówczas z dumą: Maciej był najmłodszym uczestnikiem tamtego konkursu i od razu zaskarbił sobie sympatię jednego z najznamienitszych profesorów sztuki organowej z Wiednia, Haselbecka, który zaproponował mu nie tylko studia muzyczne w Wiedniu, ale również ufundował prywatne stypendium, aby biedny przybysz z Europy wschodniej mógł je ukończyć. Później Maciej studiując pod kierunkiem profesora Radulescu zdobył dyplom z odznaczeniem.

Podkreślał, że był niebywale uroczy człowiek, a przy tym wyśmienity pedagog, któremu ogromnie dużo zawdzięcza, bo szczególnie ważne w procesie nauczania jest pełne poświęcenie zaangażowanie oraz pozytywne nastawienie nauczyciela do ucznia. O swojej pracy pedagogicznej i metodyce nauczania mówił dużo i chętnie. Wiadać było, że jest pasjonatem tego co robi. Już w trakcie studiów zaczął pracować jako nauczyciel muzyki w jednej ze szkół w Wiedniu, a po ich ukończeniu dziwnym zrządzeniem losu otrzymał posadę organisty katedralnego. w Liechtenstein oraz pracę w Music Schule w Vaduz

Był również kompozytorem.

Komponował głównie muzykę organową, ale miał też w swoim dorobku około 80 partytur. Napisał sonatę na flet i klawesyn, która została nagrana w radio Dornbirn, dokąd osobiście zaniósł klawesyn, nastroił go na oczach zdumionych radiowców, a na koniec wykonał na nim własną kompozycję. Pasjonował się budową klawesynów oraz renowacją zabytkowych fortepianów i innych instrumentów, które kolekcjonowa-

wał w swoim szwajcarskim domu.

Ale to nie był koniec jego pasji. Napisał sześć dramatów w języku niemieckim.

– Część związana jest z nauką podstaw harmonikalnych – wyjaśnił.

Uważał za konieczne wprowadzenie do programu nauczania improwizacji oraz podstaw kompozycji, co łącznie poszerzałoby horyzont w zakresie odpowiedzialności za przebieg muzyk, brzmienie instrumentu oraz zwrócenie uwagi na rozwój psychosomatyczny człowieka, na synchronizację, utrzymanie wysokiego poziomu dopaminy w mózgu za pomocą odpowiednich ćwiczeń, a w tym tych czysto fizycznych. Stosował metodykę tradycyjną, udokumentowaną w XVII i XVIII wieku, a z bliżej nie określonych powodów po prostu zarzuconą, pomimo że są metody ściśle określone i istnieje na ten temat bogata literatura. Cenił sobie możliwość realizowania programów autorskich, brak nonsensownego formalistycznego i niczemu nie służącego nadzoru.

Gdy ukończył studia w Wiedniu i uzyskał tam pracę z obywatelstwem nie było już większych problemów. Problem był jedynie z obywatelstwem polskim, którego chcąc nie chcąc musiał się zrzec. Zdołał je odzyskać dopiero w 1990 roku po zmianach ustrojowych w Polsce.

Marzył o stworzeniu w Polsce, a dokładnie w odkupionych od Skarbu Państwa włościach rodzinnych w Zwierniku wielkiego centrum muzycznego z dwoma salami koncertowym, lecz tamtejsi urzędnicy z konserwatorem za bytków na czele rzucali mu przysłowiowe kłody pod nogi, aby go zniechęcić.

Z perspektywy czasu patrząc nie mogę uwolnić się od wrażenia, że Maciej Zborowski był nie tylko niepoprawnym marzycielem, ale również wizjonerem i warto by przyjrzeć się bliżej jego spuściznie muzycznej i literackiej, nie mówiąc już o gromadzonych latami instrumentach.

Maćku, będzie nam Ciebie brakowało!

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

ZDZISŁAWA OLSZANOWSKIEGO



Po ukończeniu studiów wyższych w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Rzeźby w pracowni profesora Jerzego Bandury nastąpił czas wypełniony aktywną pracą twórczą w zakresie rzeźby i medalierstwa. Wtedy też nastąpiło moje spotkanie z Zdzisławem Olszanowskim, odnowienie dawnej przyjaźni i wieloletnia współpraca, którą niezwykle sobie ceniłem. Zdzisław był nie tylko wspaniałym znawcą materii, w której się poruszał, fascynatem sztuki, zwłaszcza medalierstwa, któremu był szczególnie oddany będąc wspaniałym, wieloletnim dyrektorem Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu. Była to placówka nie tylko wysoko ceniona wśród fachowców, ale pełna życzliwości dla nowych twórców. Jego profesjonalne uwagi były pomocne i zachęcały do pracy, a każde spotkanie w tym wspaniałym muzeum, było dla nas niezapomnianym przeżyciem.

Zdzisław Olszanowski był nie tylko profesjonalistą w swojej dziedzinie, człowiekiem pełnym dynamizmu, którym zarażał, ale również miłośnikiem przyrody dbającym o zachowanie jej piękna. Nie chował tych wszystkich wartości dla siebie, ale hojnie dzielił się sobą z tymi, którzy mieli przywilej być w kręgu jego przyjaciół.

Zdzisław odszedł w 2022 roku, ale nie odszedł „cały”. Zostały w naszej pamięci przeżyte wspólnie wydarzenia, których był inicjatorem, pobyty w jego pięknej Kamiennej, którą kochał. Kochał to gniazdo w zieleni, z tym szerokim pejzażem, z ptakami i czystym powietrzem oraz spokojem...

Dziękuję ci Zdzisławie za wspólnie spędzone chwile.

Twój przyjaciel

STEFAN DOUSA

19.12.2022

WŁODZIMIERZA ŁAJMINGA



Zmarł w wieku 89 lat w środę 17 sierpnia 2022r.

Prof. Włodzimierz Łajming, zasłużony malarz i rysownik, przez wiele lat związany był jako nauczyciel akademicki z Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku m.in. na Wydziale Malarstwa, Rzeźby i Grafiki.

Urodził się 7 lutego 1933 roku w Tczewie. Był synem kaszubskiej pisarki Anny Łajming.

W 1953 roku ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni-Orłowie, a następnie ukończył studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku (dzisiejsza ASP - przyp. red.). Dyplom zdobył w 1960 r. w pracowni prof. Juliusza Studnickiego. W czasach studenckich był współtwórcą Teatryku Rąk i Przedmiotów CO TO.

W latach 1988–1991 był kierownikiem Katedry Malarstwa i Rysunku, 1984–1986 prorektorem ds. studenckich, 1981–1984 dziekanem Wydziału Malarstwa, Rzeźby i Grafiki, 1975–1981 prodziekanem Wydziału Malarstwa, Rzeźby i Grafiki. (RED)

17.08.2022

**Redaktor Naczelny:**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
e-mail: joanna.kt@poczta.fm
tel. 12 429 70 40

**Sekretarz Redakcji:**

Barbara Korta-Wyrzycka
e-mail: wyrzycka@pk.edu.pl

**Sekretarz Redakcji:**

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
e-mail: trzebiatowska.izabela@poczta.fm

Wydawca:

Janusz Trzebiatowski
Stowarzyszenie Twórcze POLART
<http://polart-stowarzyszenie.pl/>

ISSN 1731-9668

ISBN: 83-8664855-11-6



Józef Baran,



Bolesław Faron,



Ignacy S. Fiut,



Wacław Krupiński,

Kolegium Redakcyjne

Irena Kaczmarczyk,



Ferdynand Nawratil,



Tadeusz Skoczek,



Marek Sołtysik

Redakcja:

30 – 250 Kraków, ul. Gajówka 25
tel. 12 4297040

Korekta:

Barbara Korta-Wyrzycka
Małgorzata Bylica

Skład i łamanie tekstu:

Joanna Krupińska-Trzebiatowska

Okładka:

str.2 Zbigniew Latała, pastel
str. 3 Eckehard Fuchs, obraz olejny

Zdjęcia:

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
Andrzej Makuch
Jerzy Nowakowski
Dariusz Kołakowski
Mariola Sternahl
Wojciech A. Sobczyński
Marta Walocho
Jan Zych
Andrzej Ziębliński

Druk:

Drukarnia Arda s.c.
32-100 Proszowice, ul. Zacisze 3

Naukowa Rada Redakcyjna:

dr Edward Chudziński

prof. dr hab. Stefan Dousa

prof. dr hab. Bolesław Faron

prof. dr hab. Ignacy St.Fiut

prof. dr hab. Józef Lipiec

prof. dr hab. Ewa Okoń-Horodyńska

prof. dr hab. Jerzy Nowakowski

prof. dr hab Elżbieta Stefańska-Kłtyś

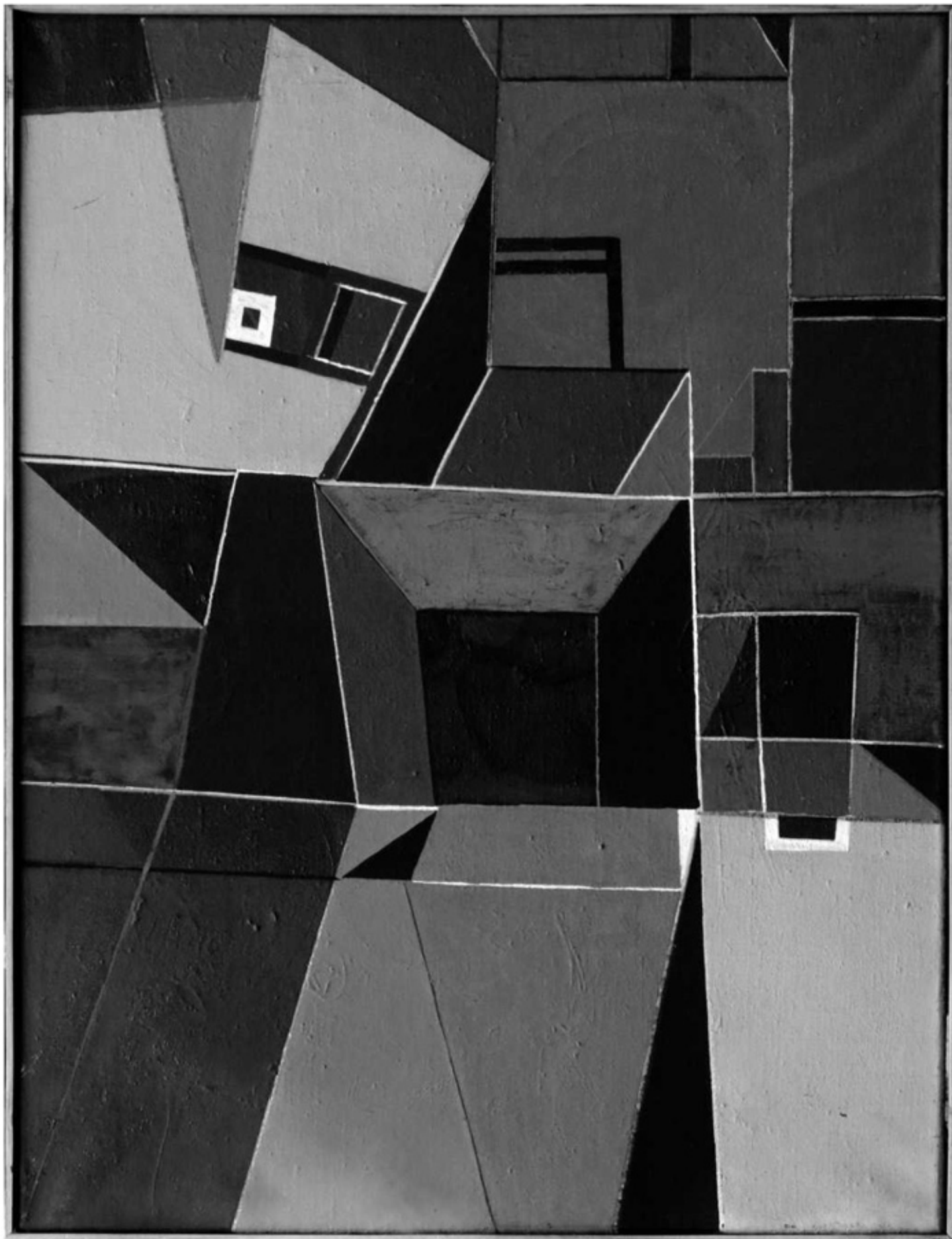
prof. dr hab. Zdzisława Tołoczko

prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

Numer konta:

Stowarzyszenie Twórcze POLART
30-250 Kraków, ul. Gajówka 25 A
40 1240 4533 1111 0010 3142 4771





Andrzej Ziębliński - Kadr Preludium 02 7060, 1971 akryl + temp.
/z arch. autora, z serii preludiów do realizacji w większym formacie/

